

SUSANNAH KEATING



Włoską przygodą

ROZDZIAŁ 1

Kiedy tamtego ranka zadzwonił telefon, Patrizia Orman nie była nań przygotowana. Udawanie nonszalancji, ba, obojętności, wobec pary Niemców, którzy już po raz trzeci w tym tygodniu zaglądali do galerii Holly Ardath i teraz krążyli wokół obrazu, pochłonęło ją tak całkowicie, że niemal nie zauważyła swej współpracownicy Mony, stojącej przed nią z zakłopotaną miną. Holly, szefowa Patrizii, twierdziła, że z punktu widzenia galerii trzecia wizyta klienta oznacza „teraz albo nigdy”. „Drugi raz niewiele znaczy - powiedziała kiedyś. - Ale gdy przychodzą po raz trzeci, najprawdopodobniej żona zaciągnęła tu męża siłą i coś sprzedamy. Rzadko kiedy wracają czwarty raz, chyba że są neurotyczni albo zupełnie zdziwaczali”.

„To co mam robić w takiej sytuacji?” - zapragnęła się wówczas dowiedzieć Patrizia.

Holly uśmiechnęła się po swojemu, tajemniczo, jak wyznawczyni zen.

„Nie staraj się zbyt, to nie działa - wyjaśniła. - To o ni muszą postanowić, że chcą wydać pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zachowuj się tak, jakbyś miała co innego do roboty, nawet jeżeli się nudzisz”.

Niemiecka para wyraźnie się o coś sprzeczała, więc Patrizia, zgodnie z zaleceniem Holly, oddaliła się, aby obejrzeć jakiś fascynujący zakątek galerii, którego rzekomo dotąd nie zlustrowała. Jednocześnie bacznie przyglądała się klientom, czekając na najmniejszy gest, wskazujący, że podjęli już ostateczną decyzję - nieznaczny ruch podbródka kobiety, pierwsze oznaki zmęczenia lub zniecierpliwienia na twarzy mężczyzny. Jednakże po dziesięciu minutach para nadal zatopiona była w rozmowie. Teraz kobieta cofnęła się o kilka kroków, z zatroskaniem marszcząc brwi, jakby wyobrażała sobie obraz wiszący na ścianie jadalni lub salonu tysiące mil od Nowego Jorku. Kiedy mężczyzna zaczął bawić się ciężką bransoletą złotego zegarka, Patrizia podeszła do nich.

- Czy mogę państwu zaproponować kawę, z ekspresu albo cappuccino?

Kobieta podniosła wzrok. Miała wspaniałą smagłą cerę i małe, równe zęby, przypominające klawisze pianina dla lalek.

- Ja chcę tylko mieć ten obraz - powiedziała figlarnie do mężczyzny, ignorując Patrizię.

Mężczyzna był przysadzisty i siwiejący w takim samym stopniu, jak kobieta smukła i młodzieńcza. Patrizia wyobraziła sobie, że to miliarder, gruba ryba telekomunikacji, wybiera prezent dla czwartej lub piątej żony.

- Okay. - Kiwnął wreszcie głową.

Okay. Międzynarodowy znak potwierdzenia, zgody na walkę, na kapitulację lub, w tym przypadku, na wyłożenie prawie czterdziestu pięciu tysięcy dolarów, w tym prowizji Patrizii, aczkolwiek, jak wspominała później, prawdę mówiąc, niewiele zrobiła poza udawaniem, że nic jej to wszystko nie obchodzi. Miała wrażenie, że unosi się w powietrze - interes szedł niemrawo i ostatej sprzedaży dokonała pół roku temu - kiedy Mona podała jej różowy kawałek papieru i odsunęła się, zagryzając wargę, kołysząc się na obcasach, czekając na reakcję, jakby od tego zależała jej własna decyzja.

- No to bierzemy go, co? - powiedziała kobieta do męża.

Niemiec chrząknął przytakująco. Żona odwróciła się i obdarzyła go wręcz zenująco intymnym uściskiem, więc Patrizia skorzystała z okazji, by zerknąć na kartkę, i ze zdumieniem stwierdziła, że jest na niej zapisana telefoniczna wiadomość od jej matki chrzestnej, Sarah Bogan.

Wracaj natychmiast do domu. Mama ciężko ranna w wypadku samochodowym.

Wiele dni później Patrizia pamiętała już tylko urywki i fragmenty tego poranka: ból żołądka, jakby ktoś walnął ją w dołek, a następnie nielogiczny odruch, by zadzwonić do matki - do kogóż innego mogłaby zadzwonić? - i przekazać jej nowinę. Zapamiętała wyraz zaskoczenia na twarzach pary Niemców, który ustąpił miejsca współczuciu, i dłoń kobiety na swoim ramieniu. Pamiętała, że gdy znalazła się na zewnątrz, ściskając w rękach torebkę, zdziwiły

ją codzienne, banalne widoki i odgłosy Manhattanu, smuga woni benzyny, kobieta na spacerze z tłustym jamnikiem, dźwięk klaksonów, wiosenne słońce i cienie przecinające chodniki SoHo, nade wszystko zaś zdumiało ją, że tak absurdalne nieszczęście mogło się przydarzyć w ciepły kwietniowy dzień.

Zapamiętała, że taksówkarz, Pakistańczyk, z początku nie chciał zabrać jej na lotnisko La Guardia.

- Nie jeżdżę na lotnisko - oznajmił, gdy Patrizia wdrapała się na tylne siedzenie.

- Błagam, moja mama miała wypadek. Może umiera. Musi mnie pan zawieźć.

Taksówkarz zapewne usłyszał rozpacz w głosie pięknej, ciemnowłosej, zapłakanej dziewczyny, gdyż spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Dobra, panienko - westchnął ciężko. - Ja też mam matkę. Niech pani zapnie pas, zawiozę panią, jak najszybciej się da.

I pognali przez miasto.

Pamiętała fragmenty lotu do Illinois, jakby przytrafiły się komuś innemu, ogłuszonej, wstrząśniętej bliźniaczce o tym samym nazwisku; szachownicę pół poniżej, dziecko płaczące gdzieś z tyłu, turbulencje nad jeziorem Erie i stewardesę, wykapaną Michelle Pfeiffer, która ujrzawszy twarz Patrizii, wręczyła jej dwie torebki solonych orzeszków zamiast jednej. Później, kiedy Patrizia znalazła się w rodzinnym mieście Argyle w Wisconsin, prawie nie odczuła wstrząsu - tego, iż prędkość podróży samolotem nie pozwoliła się jej przygotować na to, że rano była w jednym miejscu, po południu zaś w zupełnie innym. Prawie nie zauważyła, kiedy znalazła się w szpitalu Carneya, na oddziale intensywnej terapii, gdzie na korytarzu czwartego piętra chrestna chwyciła ją w objęcia z oczyma czerwonymi od łez.

- Przyjechałam w odwiedziny do twojej mamy na dwa dni - mówiła Sarah. - Miała zamiar wrócić ze mną do Chicago na weekend, chciałyśmy iść na wystawę Degasa w Instytucie Sztuki, ciągnęłyśmy przyczepę i wtedy ten idiota

w ciężarówce... - Sarah Bogan wpatrywała się w twarz Patrizii, jakby szukała tam odpowiedzi, choć jej własne oczy mówiły tylko: „Już za późno”.

Nigdy właściwie za nim nie tęskniła.

Od czasu do czasu ludzie pytali ją, jak to jest - wychowywać się bez ojca. Zawsze udzielała tej samej odpowiedzi: zwyczajnie. Czy mogła tęsknić za kimś, kogo nigdy nie poznała? Nigdy nie spotkała? Kogoś, czyją twarz widziała tylko na fotografii sprzed dwudziestu dwóch lat, na którą teraz prawie już nie patrzyła?

Równie dobrze mogłaby tęsknić za nieistniejącym miastem, za niezjedzonym posiłkiem, za widokiem z okna, z którego nie było jej dane wyjrzeć.

Co nie oznaczało, oczywiście, że przez te lata Patrizia nie odczuwała ciekawości, smutku, a nawet gniewu. A niekiedy wszystkich tych emocji naraz, jak przy okazji urodzin, świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, które przemijały bez najmniejszego prezentu od niego, choćby nagryzmołonej kartki, aczkolwiek wcale się tego nie spodziewała. Lub kiedy widziała, jak jej matka usiłuje być dla niej obojgiem rodziców na wywiadówkach w szkole, na rozdawaniu świadectw i cztery lata później, podczas wręczania dyplomów. W takich sytuacjach Patrizia mówiła sobie, że jest sentymentalną idealistką. Skoro jej mama i ona nie ucieleśniały powszechnej tradycji społecznej - rodziny złożonej z matki, ojca i dziecka - to przynajmniej poświęcony im był szlachetny nurt w sztuce. W końcu największe obrazy wszech czasów przedstawiały matki i ich dzieci, bez żadnych ojców w zasięgu wzroku.

Ale były też inne chwile, kiedy Patrizia czuła tęsknotę za ojcem, tym bardziej nieznośną, że nieokreśloną. Była to jakby obecność nieobecności, świadomość, że brakuje czegoś w niej samej. Znosiłaby ten brak łatwiej, gdyby ojciec po prostu nie żył, ale było inaczej. Gdyby nie żył, miałyby szansę opłakiwać jego na zawsze utraconą fizyczność, po czym zapomnieć o tym, że mogłaby kiedykolwiek jeszcze go zobaczyć albo z nim rozmawiać. Ale nie

umarł, żył, co znaczyło, że przez całe życie Patrizia hołubiła płonną nadzieję, iż kiedyś, gdzieś go spotka.

„Czy w ogóle myślisz o swoim ojcu?” - zapytał ją swego czasu chłopak. Patrizia nie powiedziała mu prawdy, która brzmiała: „Bez przerwy”, lecz wzruszyła ramionami zamiast odpowiedzieć: „A o czym tu myśleć?”.

Kiedyś, jeszcze na uczelni, próbowała namalować pejzaż za oknem akademika - dereniowy zagajnik, a za nim las przecięty wstążką polnej drogi, która znikająca za stodołą i stertą świeżo ściętych bali. Szary półmrok lasu przyprawiał Patrizię o frustrację; po dwóch godzinach wciąż nie mogła znaleźć właściwego odcienia. Zacierała płótno, nakładała farbę szpachlą, znowu zacierała, aż w końcu uzyskała pożądany kolor. Zapamiętała na zawsze niknące światło późnego popołudnia, kiedy stała w swej małej pracowni, patrząc na rozmazane, barwne plamy na palecie i na swój kciuk, dziwnie bezbronny, wystający przez otwór, i marząc o tym, aby ojciec obejrzał jej dzieło, aby powiedział, że jej wyszło.

Przez wszystkie te lata Patrizia często wyobrażała sobie, że go spotyka. Że jakoś zdobywa jego adres, jedzie do Europy i odnajduje go. W jednej z owych fantazji pewnego dnia pojawiała się na jego progu, naciskała dzwonek i czekała, aż otworzą się drzwi. Mieszkałby jako emigrant Londynie, w St. John's Wood (czytała gdzieś, że to dzielnica artystów, malarzy, aktorów, pisarzy i muzyków; logiczne było, by jej ojciec, włoski marszał, również tam mieszkał). „Tatusiu” - odezwałaby się; tak zawsze chciała się do niego zwracać, nie „tato”, nie „papo”, nie „papciu”, lecz „tatusiu” - a on patrzyłby na nią długo, bardzo długo, nie wiedząc, co powiedzieć, ale wiedziałby od razu, kim ona jest; jakże mógłby nie wiedzieć?

W innej fantazji mieszkał na jachcie na południu Francji i urządzał wystawne przyjęcia; w nocy oglądaliby fajerwerki na rufie. (Dlaczego na francuskim niebie miałyby się pojawiać fajerwerki? Nie miało to znaczenia, przecież i tak wszystko było zmyśleniem).

Lecz w najbarwniejszej fantazji, do której wciąż powracała, jej ojciec mieszkał w willi w Toskanii bądź Umbrii. Miał basen otoczony gąszczem kwiatów o ciężkiej, słodkiej niczym likier woni. Późnym popołudniem woda w basenie przypominała czarny marmur, upstrzony tu i ówdzie ciałami martwych owadów. Posiłki jedliby proste. Byłby tam biały hamak i gospodyni mówiąca słabo po angielsku, lecz często uśmiechająca się do Patrizii. Rankami, przed nastaniem upału, Patrizia chodziłaby z ojcem na długie spacerunki do wsi, a w drodze powrotnej torby ojca i córki kołysałyby się pod ciężarem zakupów.

Czasem, będąc w obcym mieście, Patrizia kartkowała miejscową książkę telefoniczną. W końcu jej ojciec mógł przeprowadzić się do Ameryki, nie nikomu nie mówiąc. Ale nigdy nie znalazła w spisie ani jego nazwiska, ani żadnego innego, które brzmiałoby choć trochę podobnie.

Kiedy Patrizia wracała z tych wyjazdów, ogarniało ją zwykle poczucie bezcelowości, jakby nigdzie nie miała swojego miejsca. Uczucie to towarzyszyło jej przez większość życia. Argyle w stanie Wisconsin, małe przedmieście Milwaukee, gdzie urodziła się i wychowała, nie było dla niej domem. Nie czuła się też u siebie w Kalifornii, dokąd matka zabrała ją na urodziny, aby obejrzeć Disneyland, ani w Minnesocie, gdzie studiowała na uczelni artystycznej, ani nawet w Nowym Jorku, gdzie przeniosła się dwa lata temu, aby zostać artystką, pomimo wielokrotnych ostrzeżeń matki, że umrze z głodu. Na razie jednak nie głodowała, choć kilkakrotnie była tego bliska.

Nie chodziło o to, że matka nie próbowała wynagrodzić jej braku ojca. Przez długi czas Lizzie Orman miała wręcz obsesję na punkcie najbardziej ponurych statystyk krajowych, dotyczących owych pozbawionych ojca dziewcząt, które na ogół nie kończyły szkoły i przedwcześnie zachodziły w ciążę. Martwiła się, że również Patrizię spotka taki los.

Kiedy Patrizia była młodsza, jej matka przynosiła do domu sterty książek o jedynakach i rodzicach samotnie wychowujących dzieci. Była to jedna z korzyści jej pracy w charakterze sekretarki na wydziale psychologii ogromnego

uniwersytetu na Środkowym Zachodzie - Lizzie miała dostęp do książek, poważnie wyglądających pism oraz profesorów.

Kiedyś, będąc jeszcze w szkole średniej, Patrizia po powrocie do domu ujrzała, że sufit nad kuchennym stołem wytapetowany jest barwnymi wycinkami z gazet, przedstawiającymi planety, od najbardziej masywnej, Jowisza, do najmniejszej, Plutona. Znalazła również stertę podręczników do matematyki i innych nauk ścisłych, począwszy od algebry początkowej po biologię molekularną. Matka poinformowała ją uprzejmie, że dziewczęta bez ojców miewają zazwyczaj gorsze wyniki z tych przedmiotów niż dziewczęta z pełnych rodzin.

- Dziś zaczniemy trygonometrię i Układ Słoneczny - oznajmiła wesoło. - Siadaj, proszę.

- Nie chcę, żebyś dorastała w przekonaniu, że mężczyźni to postacie mityczne - oświadczyła Lizzie, kiedy Patrizia wkroczyła w wiek dojrzewania. - Bo nie są; To zwykli ludzie. Właściwie, bardzo zwykli - dodała. - Z drugiej strony, naprawdę nie są zbędni. Nie chcę, żebyś popełniła i taki błąd.

Rzadko wspominała imię Massimiliana. Po raz pierwszy wymieniła je, gdy Patrizia zaczęła narzekać na swoje imię, które wyróżniało ją spośród koleżanek, i zapytała, czy mogłaby je zmienić na jakieś inne, jakiegokolwiek. Ku zdumieniu Patrizii matka nie okazała nawet cienia współczucia bądź rozbawienia.

- Patrizia to jedyne imię dziewczęce, co do którego Masi i ja byliśmy zgodni - oświadczyła. - Imię dla chłopca było łatwo wybrać, ale z dziewczynką naprawdę się namęczyliśmy. - Na jej wargach wykwitł nikły uśmiech. - Nie sądzę, bym ci wybaczyła, jeżeli zmienisz je na bardziej amerykańskie.

Niejednokrotnie powtarzała, iż Patrizia odziedziczyła po Masim swoją „zabójczą urodę” - ciemne, płomienne oczy, kasztanowe włosy, pełne usta oraz (choć kto wie, z czyjej strony, jej czy jego?) namiętność do sztuki, zwłaszcza malarstwa.

Były także fotografie. Wyblakłe, wytarte, w jaskrawych barwach lat siedemdziesiątych, popękane ze starości i od częstego oglądania. Dwa zdjęcia, przypominające kadry z dawno zapomnianej studenckiej etiudy, choć nie pochodziły z filmu, lecz z życia matki Patrizii. Na jednym, które zrobił jakiś bezimienny turysta, rodzice Patrizii przycupnęli na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Lizzie i Massimiliano, w skrócie znany jako Masi, mieli wówczas po dwadzieścia dwa lata. Ona śmiała się, skryta za przesadnie wielkimi, ciemnymi okularami; on teatralnym gestem wsparł łokieć na kolanie, jakby naśladując pozę słynnego *Myśliciela* Rodina.

Drugie zdjęcie przedstawiało samego Masiego, widzianego z pewnej odległości, obok kunsztownie rzeźbionej fontanny. Stał ze zmierzwionymi ciemnymi włosami, z rękami w kieszeniach zapiętej pod szyję, zniszczonej, skórzanej kurtki. Wyglądał na niezbyt zadowolonego, jakby nie lubił być fotografowany.

- Co to za fontanna? - zapytała kiedyś Patrizia. Ku jej zaskoczeniu matka zmarszczyła brew.

- To Fontana dei Fiumi. Na Piazza Navona. Projektował ją Bernini. - Zamilkła na chwilę. - W pewnym okresie Piazza Navona to było moje ulubione miejsce w Rzymie. Kiedy tam stałam, wydawało mi się, że jest żywym, oddychającym ucieleśnieniem tego miasta.

- Dlaczego tylko wtedy? - dopytywała się Patrizia. - Teraz już tego nie czujesz?

Ale matka zaczęła mówić o czym innym. Przez dwadzieścia lat fotografie nie zmieniały się, ale Patrizia - tak. Kiedy oglądała je jako dziecko, nie bardzo rozumiejąc, co widzi, ten cały Massimiliano, czy Masi, był dla niej obcym, charyzmatycznym, lecz nieznanym dorosłym mężczyzną. Dziesięć lat później miał tylko kilka lat więcej niż kolega szkolny, w którym się podkochiwała. W wieku lat dwudziestu dwóch patrzyła na zdjęcia z lekkim poczuciem winy; Masi był na nich dokładnie w jej wieku. Czy spodobałby się jej taki mężczyzna? A

potem znów zaczęła zadawać sobie zwykłe pytania. Gdzie mieszkał? Czy się ożenił? Czy miała przyrodnich braci albo siostry? Czy kiedykolwiek o niej myślał?

- Wydaje mi się, że dopóki w jakiś sposób nie pogodzisz się z ojcem, zawsze będziesz się czuła niepełna - powiedział jej Eric, kiedy widzieli się ostatni raz.

Patrizia od kilku miesięcy sporadycznie spotykała się z Erikiem Donovanem, ostatnim z mężczyzn, jakich poznała po przyjeździe do Nowego Jorku. Był wśród nich Richard, jasnowłosy i żarliwy, który podczas kilku romantycznych obiadów opowiedział jej prawie wszystko o swoim życiu - oprócz tego, że był żonatym ojcem bliźniąt, a jego żona była właśnie w ciąży z ich trzecim dzieckiem. Przed nim widywała się z Tomem, który lubił wypić kieliszek lub dwa, aż pewnego ranka wyszedł z łazienki i zwinął się na łóżku obok niej, trzymając w dłoni świeżo otwartą butelkę piwa Heineken.

- Pociągają cię mężczyźni, którzy z tego lub innego powodu są nie do wzięcia - orzekła jej matka brutalnie. Było to pod koniec jednej z ich cotygodniowych rozmów telefonicznych, kiedy Patrizia właśnie skończyła jej opisywać randkę z pewnym panem, który nadal miał wyraźną słabość do swojej byłej dziewczyny.

- Wcale nie - odcięła się Patrizia. - Po prostu mam fatalny gust do facetów, i tyle.

- Nie mówię, że to źle - powiedziała łagodnie matka. - Jeżeli mężczyźni, z którymi się umawiasz, są nie do wzięcia, no cóż, to oznacza, że kiedy coś wam nie wyjdzie, to trudno, nie twoja wina, prawda? Sądzę, że wybierasz sobie takich partnerów, bo nie chcesz, żeby cię ktoś skrzywdził.

Po odłożeniu słuchawki Patrizia nie mogła przestać myśleć o słowach matki. Rzeczywiście, nigdy do końca nie ufała płci męskiej. W towarzystwie mężczyzn na ogół zachowywała niezobowiązujący dystans, nie pozwalając im się zbliżyć. Ale Eric był dobry i zrównoważony, ponadto umiał słuchać i

rozśmieszał ją. Poznała go pewnego dnia pod koniec lutego, kiedy zaszedł do galerii Holly Ardath, mówiąc, że interesuje go obraz na wystawie, olej przedstawiający zwierzęta bawiące się pod białym namiotem cyrkowym.

- A w ogóle, to ile on kosztuje? - zapytał, a kiedy Patrizia wymieniła cenę, spojrzał na nią z rozbawieniem. - Hm. Dwadzieścia siedem tysięcy dolarów.

Niech się zastanowię. - Odczekał chwilę i spojrzał na nią wesoło. -

Zastanowiłem się. Gdybym sprzedał mieszkanie, stać by mnie było na ten obraz, ale wtedy nie miałbym gdzie go powiesić. Więc chyba nie zrobimy interesu.

Skoro jednak zaoszczędziłem tyle forsy, to może mógłbym zaprosić panią na obiad?

Na pierwszej randce, gdy siedzieli w zatłoczonej brazylijskiej restauracji w pobliżu mieszkania Erica, jeszcze przed złożeniem zamówienia popatrzył na nią i powiedział:

- Do twojej wiadomości: byłem już raz żonaty i mam sześcioletnią córeczkę. Jest dla mnie wszystkim. Oznacza to, że nie mogę zaprosić cię na całonocne tańce, bo w tym tygodniu mieszka u mnie i obiecałem opiekunce, że wrócę o wpół do jedenastej.

Tego wieczoru wymienili wszystkie informacje, istotne dla dwojga pragnących się poznać ludzi. Eric uczył angielskiego w prywatnej szkole na Manhattanie. Ożenił się tuż po dwudziestce z sympatią z uczelni, lecz dwa lata temu rozwiedli się i teraz sprawowali na przemian opiekę nad córką,

Katie. Patrizia, zaskoczona tym, jak swobodnie czuje się przy Ericu, zdała sobie sprawę, że jest to pierwszy mężczyzna, który zadał sobie trud dowiedzenia się czegoś o niej.

Przez następne półtorej godziny opowiadała mu o swoim życiu, o dorastaniu na Środkowym Zachodzie, o zimach tak mroźnych, że czasem powietrze zdawało się parzyć jak suchy lód, o amatorach okoni i leszczy wiercących dziury w pokrywie lodowej na jeziorach i o mieszanych uczuciach, jakimi darzyła swe rodzinne miasto.

- Czasem mam wrażenie, że wielu tamtejszych ludzi sądzi, iż nie wolno im mieć własnego zdania. Tutaj z kolei - Patrizia wskazała na sąsiednie stoły i tłumek dobrze ubranych, rozbawionych nowojorczyków - przez większość czasu muszę bronić swojego stanowiska.

Przy deserze opowiedziała Ericowi o swojej matce, Lizzie, która zanim zrezygnowała z kariery zawodowej, aby wychowywać ją, Patrizię, była konserwatorką dzieł sztuki we Włoszech. Mówiła o tym, że przeprowadziła się do Nowego Jorku, mając nadzieję, iż kiedyś zostanie artystką, lecz długie godziny pracy w galerii pozostawiają jej niewiele czasu na inne zajęcia, i o tym, że zaczęła wstawać wcześniej rano, aby malować.

- Proszę, powiedz mi, skąd to imię? - zapytał Eric w pewnej chwili. - Brzmi trochę jak nazwa jednego ze statków Kolumba. „Nina”, „Pinta” i „Patrizia”.

- Mój ojciec był Włochem.

- Był? Nie żyje?

- Żył, kiedy ostatnio sprawdzałam. - Widząc zmieszanie Erica, Patrizia dodała: - O ile wiem, ma się dobrze. Po prostu... - Urwała. - Nie kontaktujemy się ze sobą. Nigdy go nie widziałam. Mama rozstała się z nim przed moim urodzeniem.

- I jak było? - Eric lubił zadawać takie bezpośrednie pytania.

- O, znakomicie - odparła, starając się mówić spokojnie. - Żadnych wzorców męskich. Serdecznie polecam.

- Tęsknisz czasami za ojcem? No proszę, znowu pytania.

- Nie ma za czym tęsknić, Eric. On nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jest zupełnie nieprzydatny.

Eric gapił się na nią z otwartymi ustami.

- O mój Boże, naprawdę sądzisz, że ojcowie są nieprzydatni? Jak to dobrze, że mi powiedziałaś, nie będę już tracił czasu na swoją córkę.

- Wcale tak nie twierdzę. Wierz mi, nie wszyscy ojcowie są tacy jak mój.

- Skoro już mowa o córkach... - Eric przeprosił ją, aby zadzwonić do domu, i wrócił do stołu uśmiechnięty. - Katie mówi ci „cześć”. Chce wiedzieć, czy lubisz rajstopy. Powiedziałem, że moim zdaniem, nie nosisz ich teraz, ale jestem prawie pewien, że masz w szufladzie kilka par.

Później, prawie nie odzywając się do siebie, wracali pieszo do domu przez zatłoczone ulice Manhattanu. Był koniec zimy i na lśniących od mżawki jezdniach ledwie poruszał się zbity korek połyskliwych, trąbiących samochodów.

- Jak to jest mieć córkę? - zapytała wreszcie Patrizia.

Usłyszała nieznośne napięcie w swoim głosie, ale Eric zdawał się go nie zauważać.

- Dziewczynki są twarde i bezwzględne - żartował. - Może muszą być takie, ale mówię ci, Kocham mieć tę małą. Bez względu na to, co ludzie mówią, one są inne.

Zatrzymał się i popatrzył na Patrizię z przejęciem.

- Dam ci przykład. Nie chciałem, by oskarżono mnie o męski szowinizm, więc w zeszłym roku ofiarowałem Katie na urodziny samochodek, ciężarówkę. Okazało się, że natychmiast zawinęła ją w kocyk i zaczęła udawać, że to jest dzidzius prawdziwej, dużej ciężarówki. A potem karmić ją butelką. No i co, według ciebie, miałem na to powiedzieć?

Eric zawahał się przed drzwiami budynku, w którym mieszkała Patrizia.

- Czy tu, na dole, nie ma zamka?

- Wciąż się psuje - wyjaśniła. Od chwili, gdy przyjechała do Nowego Jorku, mieszkała przy tej samej ulicy, Avenue D, daleko na East Village, naprzeciwko garażu i pralni chemicznej, w podniszczonym lokalu na czwartym piętrze bez windy. „Gdybym mieszkała trochę dalej na wschód - lubiła żartować - pewnie wylądowałabym w East River”.

Usiłując uczynić budynek trochę schludniejszym, gospodarz pomalował hol wejściowy i korytarze odblaskową różową farbą, nie udało mu się jednak

ukryć oznak zniszczenia i starości. Z pewnością nie uzasadniało to również wysokiego czynszu, który Patrizia pokrywała na spółkę ze swą współmieszkanką, początkującą aktorką Lucy. Tuż po przybyciu do Nowego Jorku uważała dom i jego otoczenie za atrakcyjne, lecz teraz z niechęcią myślała o wieczornych powrotach do hałasujących rur, grubo pomalowanych kaloryferów, krzykliwego koguta w mieszkaniu po drugiej stronie schodów oraz do Lucy, całymi dniami chodzącej na przesłuchania do ról, których nie dostawała, i spędzającej resztę czasu na piciu kawy, paleniu rosyjskich papierosów i czytaniu branżowego pisemka „Za kulisami”.

- Tam, gdzie ty mieszkasz, to co innego, prawda? - powiedziała.

Eric zajmował ogromny, odziedziczony po babce apartament przy Upper East Side, w pobliżu szkoły, w której uczył, i parku, gdzie chodził z Kate jeździć na łyżworolkach.

- Chcę, żebyś była bezpieczna, i tyle.

- Radzę sobie, Eric - odparła lekko Patrizia. - Zawsze tak było.

W ciągu następnych kilku tygodni umówiła się z Erikiem jeszcze trzy lub cztery razy. Widziała, że się w niej zakochał - wręcz jej to powiedział - ale im bardziej o nią zabiegał, tym bardziej się opierała. Coraz częściej widziała w nim uroczego starszego brata, zabawnego, rozczochranego i opiekuńczego, a nie kochanka. Mimo to jego niezmienna wytrwałość stanowiła pewną ulgę po nieprzewidywalnych zachowaniach innych mężczyzn, z jakimi spotykała się po przyjeździe do Nowego Jorku.

Kilka tygodni po ich pierwszej randce Patrizia poznała córkę Erica, Katie. Była to mała, energiczna blondyneczka o przenikliwych niebieskich oczach, z którą wybrali się na pizzę do Chelsea. Katie uparła się, by iść między nimi, i zażądała, by na raz, dwa, trzy unosili ją do góry i huścili. „Tylko mnie nie puście, dobra?” - dodała.

Bawili się w ten sposób przez całą drogę do restauracji, lecz Patrizia czuła, że jej uchwyt na dłoni Katie słabnie, w miarę jak ogarnia ją zmieszanie i

niepewność co do własnych emocji; macierzyńskie ciepło wobec Katie mieszało się w niej ze złością, że jej samej nie było dane iść w ten sposób ulicą między matką i ojcem. Czuła się oszukana, lecz jednocześnie dławił ją żal, zwłaszcza kiedy weszli do restauracji i Katie puściła jej rękę, nadal jednak trzymając się ojca.

- Mam nadzieję, że słyszysz ochy i achy tych wszystkich pań, które, tu siedzą - zauważył Eric, kiedy przyniesiono im pizzę. - Kobiety wprost lecą na ojców w towarzystwie córek.

- Może dlatego, że to niewiarygodnie rzadkie zjawisko - odcięła się Patrizia.

Eric dotknął jej dłoni.

- Daj spokój, ojcowie nie są tacy źli.

Po chwili pozwolił Katie wejść na mały podest, z którego dzieci mogły obserwować buchający ogniem piec i kucharzy w białych czepkach, zręcznie podrzucających i chwytających pizzę. Kiedy mała odeszła, zwrócił się do Patrizii:

- Słuchaj, mój ojciec też nie odznaczał się serdecznością.

Jego ojciec był bankierem i nie bardzo umiał okazywać serce, choć Eric czasem widział, że chce go przytulić lub pocałować na dobranoc.

- Kiedy miałem cztery lata, zaczął podawać mi rękę przed pójściem do łóżka - wspominał. - Zupełnie jakby wymieniał uścisk dłoni z klientem. - Zamilkł. - Ale kiedy umarł, płakałem i płakałem. Nie chodziło tylko o to, że za nim tęskniłem, ale że straciliśmy szansę cudownego kontaktu. Wiesz, w życiu człowieka wielu facetów może odgrywać rolę ojca, ale prawdziwy ojciec jest tylko jeden.

Wracali pieszo do centrum Piątą Aleją, podczas gdy Katie podskakiwała przed nimi, przyglądając się wystawom w śródmiejskich domach towarowych. Padał lekki śnieg i Nowy Jork wyglądał czarująco.

- Zastanawiałem się, co ojciec może dać dziewczynce - odezwał się Eric. - Jest takie stare powiedzenie, które gdzieś przeczytałem. „Matka daje korzenie, a ojciec skrzydła”. Spodobało mi się to.

- Pewnie było tak napisane na torebce z herbatą w chińskiej knajpie - chłodno rzekła Patrizia.

Eric nic sobie nie robił z jej cynizmu.

- Nigdy nie lekceważ mądrości z torebki z herbatą! - zaśmiał się i dodał już poważniejszym tonem: - Po prostu próbuję być dla Katie najlepszy, jaki mogę być. Chcę, żeby wiedziała, że nie odejdę, cokolwiek się stanie. Że będę ją wspierał we wszystkim, co będzie robić. Wystarczy, że zawoła, a przyjdę.

Przy wejściu do swego domu zatrzymał się.

- Może miałabyś ochotę wpaść później? Muszę położyć spać, wiesz kogo, ale potem jestem wolny.

Patrizia już kilkakrotnie nocowała u Erica, gdy upewnili się, że Katie mocno śpi, a kiedy byli razem w łóżku, jej wątpliwości co do niego mimowolnie ulatniały się. Niemniej później zawsze czuła, że czegoś jej brakuje, czegoś istotnego: być może prawdziwego pożądanego lub tajemnicy? Tego wieczoru nie była w nastroju, by znosić pełne przeciągów mieszkanie Erica i jego czułe, lecz przewidywalne pieszczoty, nie chciała też wstawać o świcie, by zdążyć przebrać się w domu przed pójściem do galerii.

- Muszę wcześniej wstać - skłamała. - Ale bardzo dziękuję.

Katie była już w holu i pokazywała odzwrotnemu kawałek surowego ciasta na pizzę, który dostała w restauracji.

- Wiesz co? - powiedział Eric. - Nie zrezygnuję z ciebie tak łatwo.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz... - zaczęła Patrizia.

- Odpychanie mnie świetnie ci idzie. - Kiedy zaczęła protestować, położył palec na jej ustach. - Nie martw się, nie sądzę, żeby to było coś osobistego. Mam wrażenie, że traktujesz tak wszystkich mężczyzn. Jak długo trwał twój najdłuższy związek? Mam zgadywać? Dwa, trzy tygodnie?

- Właściwie to nie twoja sprawa - odcięła się Patrizia.

- Mogę powiedzieć coś jeszcze, zanim uznasz, że za dużo sobie pozwalam?

Wtedy właśnie wypowiedział słowa, które później przez wiele dni rozbrzmiewały w jej głowie niczym nierówna melodia:

- Wydaje mi się, że dopóki w jakiś sposób nie pogodzisz się z ojcem, zawsze będziesz czuła się niepełna.

Patrzyła na niego jak ogłuszona.

- Z jakiej racji sądzisz, że cokolwiek o tym wiesz?

Eric uklonił się lekko; po części były to przeprosiny, po części mądrość.

- Wiem tylko to, co mi mówiłaś, oraz to, co widzę, kiedy jestem z tobą. A nie na darmo robiłem dyplom z psychologii.

- Sądzisz, że powinnam skontaktować się z ojcem? - Nie potrafiła ukryć ironii. - Cześć, tato, pamiętasz mnie? Swoją córkę? Chcesz iść na kawę i ciastko? Chcesz mnie jeszcze raz odepchnąć? - Znow mówiła normalnie: - To, co prawda, nie twoja sprawa, ale na swój sposób pogodziłam się z ojcem, jak to nazywasz. Jeśli o mnie chodzi, on się nie liczy. Nigdy nie był częścią mojego życia i nie będzie, jeśli będę miała na to jakiś wpływ. Koniec pieśni.

Odwróciła się, aby odejść.

- Wiesz co? - zawołał za nią Eric. - Nie jestem twoim ojcem. A ty nie jesteś swoją matką.

- A to co niby ma znaczyć?

- Zastanów się, Patrizio.

- Czemu nie zajmiesz się własnymi sprawami? - odparła chłodno. - To nie ćwiczenia z psychologii, a ja nie jestem twoją pacjentką.

- Patrizio... - zaczął.

Nie dosłyszała, co mówił, gdyż maszerowała już ulicą, rozgniewana, mijając kiosk na rogu i widzów wychodzących z kina przy Lexington Avenue.

Nie usłyszała, co wołał za nią, ale bez względu na to, co to było, i tak postąpiłaby tak samo: po prostu by odeszła.

Nabożeństwo za duszę Lizzie Orman odprawione zostało w pochmurne piątkowe popołudnie i udział w nim wzięli przede wszystkim ludzie z wydziału - wykładowcy, studenci, sekretarki. Później Patrizia zaprosiła wszystkich na skromną stypę w swoim domu rodzinnym i stojąc przy drzwiach, odbierała kondolencje i uściski życzliwych. Późnym popołudniem, kiedy słońce wyjrzało zza chmur, dom opustoszał.

Patrizia została sama z Sarah Bogan, swoją matką chrzestną, która od kilku dni mieszkała w pokoju gościnnym, odbierała telefony i otwierała drzwi wejściowe, przyjmowała odwiedziny sąsiadów i znajomych, przynoszących posiłki pod folią, i ogólnie pomagała Patrizii.

Patrizia, która pierwszy raz zetknęła się z rzeczywistą śmiercią, stwierdziła, że prawdą było to, co słyszała: coś istotnie opuszczało ciało. Może nie dusza, ale z pewnością coś. Patrząc na twarz matki w szpitalu, widziała, jak to coś wyzwała się i płynie do góry, aby ostatecznie odejść. Chwilę później mogłaby przysiąc, że nic się nie stało, lecz kiedy spojrzała w dół, twarz jej matki była subtelnie odmieniona. Nękana od kilku lat drobnymi niedogodnościami i zmartwieniami, jak rachunki za światło i telefon, raty za dom, praca w świętek i piątek, którą Lizzie niespecjalnie lubiła, patrzenie przez cały dzień w wodnisty ekran monitora - ta znajoma twarz zmiękła, rozluźniła się i odmłodziła. Po śmierci Lizzie Orman znów stała się dwudziestodwuletnią dziewczyną.

Patrizii wydawało się czymś niewłaściwym, iż w dniach po pogrzebie wszystko toczyło się jak zwykle. Ludzie, którzy nic nie wiedzieli o życiu - nie mówiąc już o śmierci - jej matki, nadal budzili się rano, chodzili do pracy, spotykali się później przy drinku, zabierali psy do weterynarza, planowali wakacje, przyjęcia, rocznice. Samochody odjeżdżały rano spod domów i wracały w porze kolacji; słońce wschodziło i zachodziło; samoloty odlatywały i lądowały o czasie. Nekrolog w gazecie nic nie mówił o tym, jaką osobą była jej matka. Nie

wspominał o żadnej z rzeczy, które kochała - obrazach Renoira, całodniowych wyprawach do Instytutu Sztuki w Chicago, zapachu ziemi po deszczu, ogniu na kominku nawet wówczas, gdy nie było naprawdę zimno, tłuczonych ziemniakach z czosnkiem, Mozarcie, frytkach na przyładku Cod, i wszystkim, co miało związek z Włochami - ani których nienawidziła - było to chamstwo, tłum, mokasyny z frędzelkami, nalepki na tylną szybę samochodu, tofu, latanie samolotem. Podawał tylko datę urodzin i śmierci, wyliczał kolejne miejsca pracy i wymieniał nazwisko najbliższej krewnej. Patrizii.

W dzień pogrzebu czerwone światelko automatycznej sekretarki Lizzie Orman mrugało jak szalone niczym sygnał alarmowy. Wśród nagrań od przyjaciół i znajomych matki była również informacja od współmieszkanki Patrizii, Lucy. „Dzwonił Eric - oznajmiła Lucy swoim teatralnie zdyszonym głosem. - Nic nie wiedział o twojej mamie, więc mu powiedziałam. Chyba nie masz mi za złe, że podałam mu twój numer". Dwie wiadomości później Patrizia usłyszała Erica: „Patrizio, jestem tu, gdybym ci był potrzebny - powiedział niemal ze smutkiem. - Wystarczy, że do mnie zadzwonisz, a przyjadę". Ale Patrizia, zaabsorbowana powrotem do świata matki, który porzuciła, wyjeżdżając do Nowego Jorku, nie zatelefonowała do niego.

Zamiast tego spędziła najbliższy tydzień, porządkując matczyne rzeczy. Posłuchała rady chrzestnej i większość z nich oddała do przechowalni, aby spokojnie się zastanowić, co z nimi zrobić.

- Jesteś w szoku - tłumaczyła łagodnie Sarah po nabożeństwie. - Wiem, że zapewne nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale tak jest. Kiedyś wspomnisz tę chwilę i powiesz sobie: „Wydawało mi się, że panuję nad sobą, ale działałam jak automat".

Najgorsze były pierwsze dni, zwłaszcza gdy Patrizia poznała szczegóły wypadku. Wydarzył się on na autostradzie, jakieś trzydzieści kilometrów na północ od Chicago. Topniejące na równinie resztki zimowego śniegu spowodowały gęstą mgłę na drogach i, zgodnie z raportem policyjnym, cięża-

rówka jadąca przed autem matki Patrizii ostro zahamowała, aby nie zderzyć się z wjeżdżającym na autostradę samochodem.

Lizzie nie udało się zatrzymać w porę i jej zardzewiała honda accord wpadła na ciężarówkę, po czym się przewróciła. Sarah, która jechała kilka samochodów za nią, zdążyła nacisnąć hamulec.

- Mówiłam jej, żebyśmy pojechały tym samym autem i oszczędziły na paliwie - tłumaczyła cicho Sarah - ale powiedziała, że chce posłuchać z taśmy książki, która na pewno mi się nie spodoba, i wołała jechać sama.

Po pogrzebie Sarah zaproponowała, aby Patrizia zamieszkała w hotelu, kilka przecznic od domu, ale Patrizia uparcie kręciła głową.

- Nalegam - mówiła Sarah, dodając: - Zafunduję ci to. - Ale Patrizia była niewzruszona.

Cisza, panująca w domu matki, gdzie spędziła pierwsze osiemnaście lat życia, intrygowała ją bardziej, niż przerażała. Pierwszej nocy po pogrzebie chodziła z pokoju do pokoju, otoczona śladami życia, które zostało nagle ucięte, przerwane. Pozostawiony w zlewie talerz, z którego jej matka jadła tamtego dnia śniadanie, pusty pojemnik po jogurcie truskawkowym, niezasłane łóżko na piętrze, niedokończona książka na nocnym stoliku, odciski palców matki w słóiczku kremu do twarzy. Patrizia położyła się do łóżka, wciąż noszącego zapach matki, i tuliła ciepłą poduszkę, dopóki nie zasnęła.

- Tylko ty mi zostałeś - powiedziała do chrzestnej kilka dni później, kiedy pakowały rzeczy z jadalni.

Sarah Bogan była najbliższą przyjaciółką matki Patrizii; obie pochodziły z dużych rodzin ze Środkowego Zachodu, ale Sarah była jedynaczką, Lizzie natomiast jedyną dziewczynką wśród licznych braci. Kiedy Lizzie wyjechała do Europy studiować konserwację dzieł sztuki, Sarah wybrała bardziej konwencjonalną drogę, zapisując się do Smith College w Massachusetts, a następnie poślubiając jednego z najatrakcyjniejszych kawalerów w Chicago. Po narodzinach Patrizii

Lizzie nie zastanawiała się ani przez chwilę nad wyborem matki chrzestnej, a jej najstarsza przyjaciółka poczuła się zaszczycona. To Sarah ułatwiła Patrizii gościnę w rozległym apartamencie przyjaciół przy East Side, gdy ta po raz pierwszy przyjechała do Nowego Jorku, i to Sarah ułatwiła jej rozmowę z Holly Ardath, kiedy personalna w galerii powiedziała, że wprawdzie nie ma dla dziewczyny pracy, ale „chętnie zanotujemy pani nazwisko”.

A teraz Sarah pomagała chrzestnej córce porządkować dom matki: talerze, szklanki, filiżanki i srebra z kuchennych szuflad i kredensów; zawartość łazienki, bawialni i holu na piętrze; przepełnione półki z książkami; skrzynie pełne płyt, których ani Patrizia, ani jej matka już od dawna nie słuchały, lecz jakoś nie miały serca, ich wyrzucić; zbiory całego życia, teraz zostały umieszczone w pudłach z napisami KICZ oraz RÓŻNE JADALNIA i DROBIAZGI BAWIALNIA. I to Sarah poszła do banku, aby opróżnić niewielką skrytkę Lizzie.

Usłyszawszy słowa Patrizii, matka chrzestna spojrzała na nią.

- To nieprawda, że masz tylko mnie, Patrizio - powiedziała cicho. - Nikt nigdy nie zostaje sam. Masz krewnych, wuja, wszystkich swoich przyjaciół.

Mąż Sarah, wuj Bill, był dobrze prosperującym handlowcem, który rzadko zaglądał do domu, woląc zajmować się swymi posiadłościami, rozsianymi po całym kraju, w tym ranczami w Wyoming i Teksasie. Dla Patrizii zawsze stanowił postać dość mglistą. Był zabiegany, nie rozumiał i nie lubił dzieci, więc w gruncie rzeczy słabo go znała.

- Chodziło mi o to... - Patrizia nie dokończyła.

- Wiem, o co ci chodziło. - Sarah zwykle umiała czytać w myślach Patrizii i kończyła za nią zdania, choć tym razem sens był dość oczywisty: Patrizia nie miała już nikogo z bliskiej rodziny. Sarah długo wpatrywała się w punkt ponad ramieniem córki chrzestnej, a kiedy przemówiła, jej głos brzmiał płasko i chropawo.

- Wiesz, może ci się wydawać, że jesteś sama na świecie, ale to nieprawda. Bardzo się mylisz.

- Co masz na myśli?

Sarah zawahała się, po czym, najwyraźniej pogodziwszy się z tym, co musiała zrobić, zamknęła pudło z ozdobami choinkowymi i wyprostowała się. Podeszła do kanapy, na którą wcześniej rzuciła płaszczyz, i wyciągnęła spod niego wyświechtaną, czerwoną, sportową torbę.

- To jest zawartość skrytki - powiedziała, podając torbę Patrizii - cokolwiek o tym pomyślisz. Niech mnie Bóg ma w swej opiece, jeżeli się myślę, ale chyba jesteś już dostatecznie dorosła, żeby się dowiedzieć.

- Dowiedzieć się czego?

Ruchem głowy Sarah zachęciła Patrizię, by otworzyła torbę.

- Dowiedzieć się czego? - powtórzyła Patrizia, a kiedy Sarah nie odpowiadała, odpięła zatrzaski i pociągnęła za suwak.

Torba, lub jej zawartość, miała lekko zatechły, lecz nie przykry zapach, jakby całymi latami zbierała wilgoć i kurz na jakimś strychu lub w piwnicy, a nie w szczelnym sejfie bankowym. Po chwili Patrizia wyjęła z niej naszyjnik i paszport, oraz dwa świadectwa udziałowe, które wywołały jej mimowolny uśmiech. Pięć lat temu matka zapisała się do kobiecego klubu inwesterek i włożyła niewielką ilość pieniędzy w firmę farmaceutyczną, co do której „miała silne przeczucie”. Od tamtej pory akcje tej firmy spadały na łeb na szyję, w końcu całkowicie tracąc na wartości. Był to w ich domu dyżurny dowcip: Patrizia pytała, jak tam akcje matki, a Lizzie nieodmiennie odpowiadała: „Czekaj, czekaj, twoja matka jeszcze zostanie milionerką”.

Na dnie torby nie było nic poza paczką listów opasanych dwiema wesołymi w kolorze gumkami, czerwoną i zieloną.

Koperty były rozmaite, od błękitnawej lotniczej bibułki po zwykłe białe, urzędowe. Lecz uwagę Patrizii zwróciły przede wszystkim znaczki o nieznanym wzorach, opatrzone gęstymi, krętymi napisami.

- Co to jest? - zapytała.

Wiele listów lotniczych było rozerwanych, jakby ktoś pośpiesznie lub gniewnie je otwierał; inne wyglądały na nietknięte.

Patrizia od razu wiedziała, kto je przysłał.

Prawie nie słyszała głosu Sarah, łagodnie, z najwyższym szacunkiem zachęcającej:

- Przeczytaj któryś.

Po chwili podniosła leżący na wierzchu list lotniczy. Czek wypadł z niego, zanim się zorientowała, że tam jest, i poszybował pod stół do kawy, gdzie opadł zapisaną stroną do góry. Mocne, czarne, miejscami rozmazane pismo przykuło jej uwagę. A potem zauważyła datę.

- Ależ to sprzed dziesięciu lat - powiedziała, usiłując zachować spokój. Otworzyła kolejny list, adresowany do matki i nadal zapieczętowany. Starając się nie podrzeć delikatnego papieru, ostrożnie rozcięła go z boku paznokciem. Z koperty wypadł jej na kolana następny cieniutki niebieskozielony czek, tym razem sprzed pięciu lat.

Właśnie wtedy skończyła osiemnaście lat i z trudem mogła sobie pozwolić na przybory malarskie, a jej studia artystyczne matka opłacała, biorąc pożyczkę pod zastaw domu. Nagle przed oczyma Patrizii stanął obraz samej siebie jako kelnerki w restauracji „Pod Sercem i Chochlą” przy kampusie, w obowiązkowym fartuszkach i czepku z falbankami, wydającej swą nędzną pensję na wiotkie pędzle do olejów i akwareli; był to kolejny rok, gdy jej matka musiała obyć się bez urlopu i na nic nie mogła sobie pozwolić.

Następny list i następny czek, tym razem sprzed piętnastu lat. Piętnaście lat temu ośmioletnia Patrizia siedziała z matką na spotkaniu szkolnym, a wokół nich koleżanki z klasy śmiały się i wesoło rozmawiały z obojgiem rodziców. Zimą jej mama osłaniała okna płachtami plastiku, aby zmniejszyć rachunek za ogrzewanie elektryczne, i często jeździła do spółdzielczego gospodarstwa w sąsiednim mieście po tańsze owoce i warzywa.

Liczby nagryzmołone na czekach były oszłamiające. Dwa tysiące dolarów. Pięć tysięcy dolarów. Jeden czek opiewał nawet na dziesięć tysięcy. Żaden z nich nie został zrealizowany, ich wygląd wskazywał wręcz, że żadnego z nich nie dotknęła ludzka ręka. Właściwie, o ile Patrizia mogła się zorientować, matka rozcinała listy, pobieżnie je przeglądała i odkładała na bok, albo, w większości wypadków, wcale ich nie otwierała i wrzucała nierozpieczętowane do torby. Ani razu nie wspomniała o nich Patrizii.

W głosie Sarah pojawił się niepewny, przeprasający ton:

- Twoja mama... przez te wszystkie lata... oczywiście, przydałyby się pieniądze... ale z zasady... nie chciała mieć z nim do czynienia i doprawdy, nie mam jej tego za złe... chociaż mówiłam jej: „Liz, te czek i listy nie są dla ciebie, tylko dla Patrizii”.

Z miejsca, gdzie siedziała, Patrizia widziała czarny plastikowy ogon Kota Feliksa, czyli tandetnego zegara, kiwający się nad kanapą, i słyszała mruczenie lodówki w kuchni. Życie jej matki, naznaczone brakiem pieniędzy i niemożnością ucieczki, wydało się jej nagle niezwykle odważne. Wspomniała, jak całymi latami starały się ograniczać wydatki; stosik starannie wyciętych talonów obok telefonu w kuchni, bojler w piwnicy, który trzeba było naprawiać po prysznicu trwającym dłużej niż pięć minut, zajeżdżoną matczyną hondę accord, wciąż używaną, mimo iż w podłodze po stronie pasażera ziała nieregularna dziura, przez którą widać było pasy na jezdni.

- Dlaczego? - zapytała w końcu słabym głosem. - Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego?

Sarah patrzyła na nią przez chwilę zwilgotniałymi oczyma.

- O Boże. A to dopiero puszka Pandory. Czy źle zrobiłam, pokazując ci to?

Powoli, jakby w transie, Patrizia pokręciła przecząco głową.

- Nie - odparła z zaschniętym gardłem. - Właściwie cieszę się, że tak się stało.

Sarah wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i dyskretnie wytarła nos.

- Zgaduję, że nigdy nic ci nie mówiła.

- O czym?

- O sobie i Masim.

Patrizia była zdumiona lekkością, z jaką Sarah wypowiedziała to imię, Masi, jak gdyby robiła to przez całe życie. Kto jeszcze o nim wiedział? Czy z jakichś powodów Patrizię celowo utrzymywano w nieświadomości?

- Nie - powiedziała szczerze. - Nic mi nie mówiła.

- Żartujesz, prawda?

- A po co miałabym żartować?

Matka zawsze niezwykle powściągliwie mówiła na temat ojca Patrizii, zbywając jej pytania wykrętami w rodzaju: „Kochanie, to było tak dawno temu, chciałabym mieć pamięć jak słoń, ale, niestety, nie mam”. Innym razem oznajmiła ściszym głosem: „Nigdy nie będę źle mówić o twoim ojcu i mam nadzieję, że on nigdy nie powie nic złego o mnie”.

- Wiesz, dlaczego Lizzie - to znaczy, twoja matka - porzuciła go?

- Z powodów geograficznych - szepnęła Patrizia, choć zawsze wyczuwała, że to nie może być cała prawda, że to po prostu niemożliwe. - Chciała mieszkać w Ameryce, a on nie.

- I tak ci powiedziała?

- Tak. - Patrizię ogarnął niepokój, zdenerwowanie.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz o nim nic więcej? Jaki jest, z czego żyje, i tak dalej?

- Nigdy o nim nie mówiła. - Masi. Jej ojciec. - Wiem, że jest marszandem w jakimś mieście.

- Tak, w Rzymie. - Sarah zawahała się. - I nigdy jej nie pytałaś?

- Za każdym razem, gdy chciałam poruszyć ten temat, odpowiadała, że im się nie ułożyło. - I Patrizia dodała ze znużeniem: - I że z siebie tylko wiadomych powodów postanowił się z nią nie kontaktować. Wiem, że to brzmi głupio...

- A pragniesz poznać prawdę, Patrizio? Czy miałyby to dla ciebie znaczenie? Chcesz wiedzieć?

- Tak. - Patrizia ledwie słyszała własny głos. - Bardzo chcę wiedzieć - powtórzyła, po czym, zamieniona w słuch, wygodniej usadowiła się na kanapie.

ROZDZIAŁ 2

Lizzie Orman przede wszystkim zauważyła *gatti*.

Wszędzie w Rzymie były koty - wygrzewające się na schodach, biegające po Forum Romanum, leniwie wyciągnięte na potrzaskanych płytach, z których cesarz August niegdyś zapewne przemawiał do tłumów wiwatujących Rzymian. Prawie każdego popołudnia, kiedy wracała do swego mieszkania przy Via dei Pettinari, mijała kogoś, zwykle starą kobietę, zgarniającą resztki obiadu do płytkiej miski, wokół której zbierały się nieśmiałe, wygłodniałe koty. Były to koty włoskie i Lizzie kpiąco mówiła do siebie, że pewnie lepiej mówią po włosku niż ona. Ale spędziwszy w Rzymie niemal rok, zauważyła, iż prawie wszyscy, łącznie z dziećmi, płynnie władają językiem, który niewiele ma wspólnego z tym wykładanym na uczelni.

Rodzice Lizzie z niezadowoleniem przyjęli wieść, że córka chce jechać do Rzymu, by tam studiować konserwację dzieł sztuki.

- Dlaczego nie pobliska uczelnia stanowa? - zapytał jej ojciec.

Lizzie rozumiała, że martwi się, czy stać go będzie na to, by wysłać ją za granicę - był sprzedawcą w fabryce mebli w ich regionie - ale nie chce powiedzieć tego wprost.

- Tatusiu, to program organizowany przez stan - wyjaśniła łagodnie. - Dla Włochów jest bezpłatny, a dla Amerykanów prawie bezpłatny. - Widząc, że ojciec nadal jest niechętny, wytoczyła najcięższe działa. - Poza tym zawsze mi mówiłeś, że ktoś, kto skończył uczelnię artystyczną, nie ma żadnych

umiejętności praktycznych, a teraz wydaje się, że znalazłam coś, co mi nieźle wychodzi.

Ojciec nie odpowiadał, przeglądał program telewizyjny w gazecie.

- Słuchaj, tato, piszę na maszynie w tempie dwa i pół słowa na minutę - ciągnęła Lizzie rozpaczliwie - a i to wtedy, kiedy dobrze mi idzie.

Chociaż ojciec w końcu poparł jej decyzję, aby studiować w Rzymie, wyraz jego twarzy tego wieczoru zasmucił Lizzie. Wiedziała, że liczył na to, iż jego dzieci pozostaną w pobliżu przez resztę życia, ale ułożyło się inaczej. Dwóch jej braci i siostra opuścili już rolnicze miasteczko Argyle w stanie Wisconsin - czternaście tysięcy mieszkańców - lub zamierzali zrobić to wkrótce. Dwa miesiące temu jej siostra podjęła pracę w firmie produkującej oprogramowania komputerowe na Zachodnim Wybrzeżu, ostatnio zaś jeden z braci, obawiając się powołania do wojska, oznajmił, iż wyjeżdża do Kanady. Drugi brat już od kilku lat mieszkał i pracował w Luizjanie. Dzieci wyruszały w świat, lecz choć działo się tak od pokoleń, Lizzie, myśląc o ojcu, nie mogła powstrzymać skurczu żołądka, zwłaszcza iż wiedziała, że jako najmłodsza jest jego ulubienicą. W nagłym przypływie czułości pocałowała go w czoło.

- Tatusiu, nie mogę zawsze mieszkać w domu - powiedziała cicho.

- Nie chcę, żebyś została na zawsze - odpowiedział szorstko. - Tylko do pięćdziesiątki - dodał i odwrócił się, by nie zobaczyła, że jego oczy błyszczą od łez.

Odkąd Lizzie Orman pamiętała, zawsze chciała być malarką. W dzieciństwie fascynowały ją życiorysy wielkich malarzy - van Gogha, Moneta, Cezanne'a, Matisse'a, Rembrandta i jej ukochanego Auguste'a Renoira. Potrafiła wyliczyć kolory palety Renoira - srebrzysta biel, żółć chromowa i neapolitańska, ochra, sjena, cynober, róż, *vert Veronese*, kobalt i ultramaryna - oraz używane przezeń pędzle - płaskie jedwabne i z włosia kuny. Przy rzadkich okazjach, gdy rodzina zdecydowała się odbyć dwugodzinną podróż do Chicago, Lizzie

ciągnęła matkę do Instytutu Sztuki, ojciec zaś, który zawsze powtarzał: „Nie znam się na sztuce”, zostawał w hotelu, pilnując synów i drugiej córki.

W wieku lat osiemnastu Lizzie była już pewna, że najbardziej ze wszystkiego pragnie poświęcić się sztuce, malarstwu. Wiedziała również, iż rodzice zapewne nie pochwalą jej ambicji. Dziewczyna z dobrej mieszczańskiej rodziny ze Środkowego Zachodu powinna jak najszybciej wyjść za mąż, przykładowo prowadzić mężowi dom, wychować grzeczne dzieci i ewentualnie pracować gdzieś jako wolontariuszka, oczywiście jeżeli starczyłoby jej na to czasu. Malarstwo było zajęciem zbyt dziwnym i niepewnym dla młodej kobiety.

A zatem Lizzie nauczyła się ukrywać swoją miłość do malarstwa. Wczesne próby rysunków - toczona noga kuchennego stołu, granatowe spodnie od dresu brata, przewieszane przez krzesło w sypialni - podejmowała ukradkiem, ze szkicownikiem trzymany na kolanach i węglem ściszanym w garści niby tajemna broń. Gdy ktoś pytał ją, co robi, zamykała szkicownik, uśmiechała się słodko i mówiła: „Nic. A ty co robisz?”.

W końcu któregoś ranka, gdy wyruszała do szkoły, matka zwróciła się do niej ze słowami:

- Lizzie, nie ma przepisu, który mówi, że musisz ulegać konwenansom.

Lizzie wytrzeszczyła nierozumiejący wzrok na matkę, a ta powiedziała jej, że dawno temu chciała być pisarką, że będąc nastolatką, pisała opowiadania, potem zaś artykuły do uczelnianej gazety.

- Ale przestałam. Wyszłam za mąż i wmówiłam sobie, że jako gospodyni domowa i matka czworga drobnych dzieci nie mam na to czasu. Naprawdę jednak po prostu nie potrafiłam go sobie zorganizować. - W oczach matki malowała się sama dobroć. - Uwielbiam swoje życie, ale proszę cię, nie pozwól, by to samo przytrafiło się tobie. Zaryzykuj. Miej odwagę być inna. - Wepchnęła Lizzie do kieszeni banknot dwudziestodolarowy. - I, na litość boską, kup sobie porządny szkicownik.

Dopiero w college'u Lizzie zdała sobie sprawę, że jeżeli chce zostać malarką, będzie musiała opuścić Środkowy Zachód. Kochała swoje rodzinne miasto - farmy, jeziora, pola pszenicy oraz zimy, kiedy fale na jeziorach zamarzały, lśniąc w styczniowym słońcu jak niedokończone rzeźby - wiedziała jednak również, że nie jest to miejsce, gdzie można poważnie myśleć o karierze artystycznej. Chciała malować sceny, które kochała i pamiętała z domu, ale aby to robić, nie mogła tam mieszkać.

Podczas zimowego semestru ostatniego roku na uczelni Lizzie poszła na wykład konserwatoria dzieł sztuki z Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie. Spodziewała się nudy; zamiast tego zauroczyły ją szczegółowe opisy ratowania *Carmeliny*, jednego z późniejszych płócien Matisse'a. Podeszła do katedry po wykładzie i wykrztusiła:

- Jak mogę nauczyć się tego, co pani robi?

Konserwatorka roześmiała się, po czym, ku zdumieniu Lizzie, zaprosiła ją do hotelu, w którym mieszkała, aby z nią o tym porozmawiać.

Kiedy Lizzie zjawiała się na miejscu, konserwatorka czekała na nią w hotelowym holu i po kilku chwilach niezobowiązującej rozmowy zapytała:

- Czy pani sama maluje?

Słyszając odpowiedź twierdzącą, starsza kobieta wyjęła z torebki ciemnoczerwony zegarek, blok i pudełko akwarel.

- Dobrze, proszę spróbować odtworzyć ten kolor.

Zajęło to Lizzie trochę czasu, lecz w końcu udało jej się dokładnie uchwycić barwę zegarka. Rozmówczynie ani przez chwilę nie spuszczała z dziewczyny wzroku, skupiając się to na dłoniach Lizzie, to na jej oczach, oraz na doskonałej relacji między jednymi i drugimi.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała, kiedy Lizzie skończyła. - Większości ludzi pierwsza próba, zabiera godzinę.

Po czym wyjaśniła, że konserwowanie dzieł sztuki jest bardzo trudne i wymaga ciężkiej pracy, oraz że nie można zostać konserwatorem, nie będąc

artystą, albowiem wymaga to ogromnej masy szczegółowych studiów - nie tylko historii sztuki i technik rysunku, lecz także chemii - a przede wszystkim niezwyklej cierpliwości.

- Jeżeli nadal jest pani zainteresowana - zakończyła konserwatorka po dwóch godzinach - radziłabym pani studia we Włoszech. Nauczą tam panią rzeczy, których nie pozna pani nigdzie indziej na świecie. - I dodała z uśmiechem: - Cokolwiek z tego wyniknie.

- Jak mam się dowiadywać o studia we Włoszech? - zapytała Lizzie.

- Pomogę pani, oto jak.

Kilka dni później Lizzie wypełniła formularz zgłoszenia do Istituto Centrale dei Restauro w Rzymie, który przyszedł pocztą z konsulatu włoskiego w Nowym Jorku, i co dzień w porze lunchu pędziła do domu z pracy w miejscowym biurze handlu nieruchomościami, aby sprawdzić, czy w Istituto podjęto już decyzję. Po kilku tygodniach niecierpliwego oczekiwania nadeszła informacja, że została przyjęta; ze względu na rodziców starała się nie okazywać swej ogromnej radości, tym bardziej że zajęcia miały się zacząć prawie natychmiast. Na lotnisku, przy wtórce komunikatów o odlotach, nadawanych z głośników, Lizzie serdecznie uściskała ojca, który ujął ją za ramiona i powiedział poważnie:

- Chcę, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie bardzo dumny. Zdaję sobie sprawę, że z naszego powodu próbowałaś ukrywać podniecenie i radość, ale, mój Boże, przecież to wielka okazja! Wykorzystaj ją i na nic się nie oglądaj!

Pierwsze miesiące pobytu Lizzie w Rzymie stanowiły niejasny melanz szczęścia, oszołomienia i bezustannego zażenowania. Wszędzie - w kawiarniach, restauracjach, muzeach, kościołach, gdziekolwiek można było okaleczyć język włoski - słyszała swój głos, powtarzający: *Mi dispiace* oraz: *Scusi* - przepraszam, przepraszam. Wykłady w Istituto prowadzone były wyłącznie po włosku i przez pierwsze pół roku Lizzie z trudem rozumiała, co mówią wykładowcy. Dzięki miejscowej gazecie w języku angielskim znalazła

niedrogie dwupokojowe mieszkanie przy Via dei Pettinari, które wynajęła wspólnie z inną studentką Istituto, szykowną brunetką z Mediolanu imieniem Donatella.

W tym początkowym okresie jej przewodniczką po Rzymie była właśnie Donatella, która zabrała ją do galerii Borghese i na plac Hiszpański, do eleganckich sklepów przy Via Condotti i Via Veneto, a potem na cappuccino do słynnej herbaciarni „Babington's Tearoom”. Pod skrzydłem Donatelli Lizzie zwiedziła katedrę Świętego Pawła, dołączając do tłumu turystów gapiących się na sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej.

Później powędrowały do Palazzo dei Conservatori, gdzie podziwiały malarstwo Veronese, Tintoretta, Rubensa i Tycjana, i do kościoła dei Gesu z jego wspaniałymi freskami. Wspólnie zapuszczały się do wszystkich dzielnic Rzymu. Jednego tygodnia zwiedzały Palatyn, następnego Awentyn, jeszcze następnego Janikulum, a potem Campo dei Fiori, wielki, tłoczny targ warzywny i owocowy, gdzie stare Włoszki obierały karczochy, siedząc okrakiem na odwróconych wiadrach pod baczny wzrokiem mrocznego posągu Giordana Bruna.

- Co to za facet ten Giordano Bruno? I dlaczego tak gniewnie patrzy na świat? - zawołała Lizzie do Donatelli ponad gwarem targujących się o cenę cytryn, wiśni, grzybów i świeżych ryb rzymian.

Donatella powiedziała, że Giordano Bruno był uczonym epoki renesansu i pisarzem, a jego teorie zakwestionowała inkwizycja.

- Wtrącono go do więzienia na siedem lat, a potem przyprowadzono tutaj, na Campo dei Fiori, związano i spalono na stosie - wyjaśniła pogodnie. - Gdyby to przytrafiło się tobie, też nie miałabyś zbyt wesołej miny.

Donatella wprowadziła również Lizzie w codzienne rzymskie sprawy; powiedziała jej, jak kupować *francobolli* - znaczki pocztowe - oraz bilet miesięczny w *tabacchi*, gdzie znaleźć najświeższe truskawki (na straganach przy Via Portuensi), podała nazwę małej piekarni, gdzie sprzedawano takie *canolli*,

że - jak przysięgała - można było umrzeć i pójść do nieba. Choć przyjaciółka ostrzegała ją przed osławioną, zagmatwaną włoską biurokracją, Lizzie mimo to osłupiała, słysząc, że muszą czekać pół roku na założenie telefonu w mieszkaniu. Kiedyś, gdy przed popołudniowym wykładem w Istituto poczuła, że nie może się skupić, i zapytała Donatellę, gdzie można wypić szybką kawę, ta wyjaśniła jej, że we

Włoszech nie istnieje coś takiego, jak „szybka kawa” ani w ogóle *fast food*. Pomaszerowała z Lizzie do kawiarni, posadziła ją przy barze, zamówiła dla obu espresso i pouczyła, że Rzymianie traktują posiłki poważnie i nie lubią się przy nich śpieszyć. Co to za przyjemność złapać plastikowy kubek kawy i jednym haustem przełknąć zawartość, nawet nie poczuwszy smaku? Posiłki stanowią okazję, by docenić dobre jedzenie, nie mówiąc o ciekawej rozmowie. Lizzie wiedziała już, iż Rzymianie kupują żywność w dniu, w którym zamierzają ją zjeść.

- Nasz kraj, w odróżnieniu od twojego, przeżył wojnę - powiedziała Donatella, wzruszając ramionami. - Wiemy, jak to jest, kiedy nie ma dość jedzenia. Co dzień bardzo skrupulatnie wykorzystujemy to, co mamy, gdyż starsi z nas pamiętają, że wszystko to można stracić.

Po niefortunnym incydencie Lizzie z natrętnym mężczyzną w jednym z rzymskich autobusów Donatella doradziła jej, jakimi liniami można jeździć, a jakich należy unikać, grasują tam bowiem kieszonkowcy i zbyt poufali faceci.

- Jeżeli nie sprawia ci to przyjemności - a jestem tego pewna - nie powinnaś jeździć liniami, gdzie mężczyźni szczypią cię w tyłek i obmacują cię piersi. Nawet nie chce mi się mówić, ile razy zostałam uszczypnięta w tym mieście, zanim zrozumiałam, że mój lewy sierpowy jest lepszy, niż myślałam.

Z czasem Lizzie opanowała sposób korzystania z linii autobusowych. Wiedziała też, gdzie jest najlepsza pralnia - *tintoria* przy Via dei Fori Imperiali - mimo że dla oszczędności zwykle sama robiła pranie w małej pralce i rozwieszała rzeczy, gdzie się dało. Po kilku nieudanych próbach nauczyła się

także korzystać z automatów telefonicznych, odkryła również, iż w większości rzymskich kościołów obowiązuje niepisany kodeks ubraniowy, wedle którego zarówno mężczyźni, jak i kobiety muszą okrywać nagie ramiona i torsy. Dzień, kiedy jakaś Włoszka zapytała ją, jak trafić do Stazione Termini, dworca głównego, ona zaś potrafiła jej odpowiedzieć nienaganną włoszczyzną, był jednym z najszcześniejszych w jej życiu.

Co innego wykłady w Istituto. Raz, w pierwszym miesiącu pobytu, Lizzie użyła niewłaściwego określenia, mówiąc, że studiuje odtwarzanie dzieł sztuki, co słysząc, *professore* pouczył ją surowo, iż ona, Lizzie, uczy się konserwować dzieła sztuki. Odtwarzanie sugerowało, iż robi się coś podejrzanego, czego nie należy robić, zmieniając, a może nawet niszcząc, oryginalną wizję artysty. Właściwym słowem była konserwacja, jako że konserwowało się - czyli szanowało i czciło - intencję twórcy. A Włosi, jak odkryła Lizzie, wykorzystywali techniki i metody konserwacji, które pozostawały niezmiennie od zarania dziejów.

Na przykład, aby wzmocnić stare obrazy, których płótno rozpadało się, amerykańscy konserwatorzy przyklejali do niego drugą warstwę płótna, używając syntetycznego kleju. We Włoszech Lizzie przez dwa miesiące uczyła się mieszać i stosować kleistą maź, co należało robić z najwyższą starannością. Włosi uważali też, że odnawiając obraz, najlepiej pozostawić trochę zanieczyszczeń, patynę, jak to określali (*la patina* wydawało się ulubionym słowem większości nauczycieli Lizzie). Inaczej postępowali Anglicy i Amerykanie, którzy - wedle słów jednego z *professori* - czyścili obrazy „niczym kupa opętanych manią sprzątnia gospodyń”.

Lizzie dość wcześnie odkryła, ku swemu zdumieniu, że jest jedyną Amerykanką w Istituto; studiwali tu studenci ze Skandynawii, Anglii, Austrii, Szwajcarii oraz Europy Wschodniej, lecz większość osób w jej grupie była włoskiego pochodzenia. Ci zaczęli zwracać się do niej Betta - skrót od Elizabeth - jakby dokonując w ten sposób jej inicjacji w swoim kraju.

Życiem w Istituto rządziła rutyna, która pozostawała niezmienna z dnia na dzień, a nawet z miesiąca na miesiąc. Rano odbywały się zajęcia z historii sztuki, chemii i technik rysunku, a potem studenci mieli przerwę. Spędzali ją w pobliskim barze kawowym, gdzie stali oparci o kontuar, pijąc niezliczone filiżanki mocnej kawy z ekspresu, przekazując cienkimi kawałkami *pizza bianca* i paląc marlboro (ku własnemu zdziwieniu, Lizzie po raz pierwszy w życiu zaczęła palić; ale też palić zdawali się we Włoszech wszyscy). Od czasu do czasu mogła rzucić okiem na angielskie nagłówki „International Herald Tribune”, lecz w miarę jak jej włoski się poprawiał, coraz częściej przeglądała „La Repubblica” oraz „Il Messaggero”, dwa najpopularniejsze włoskie dzienniki. Po przerwie były kolejne lekcje rysunku, a następnie obiad w jednej z okolicznych trattorii. Popołudnia poświęcano pokazom rozmaitych technik konserwatorskich - myciu, podmalowywaniu i retuszowaniu - lecz studentom pozwalano na samodzielną pracę dopiero na drugim lub trzecim roku.

Pomimo morderczego planu zajęć i pracy na pół etatu, którą podjęła jako sekretarka w konsulacie amerykańskim, aby móc płacić rachunki, Lizzie czasem tęskniła za domem, zwłaszcza w wolne dni. Pozbawiona telefonu, zaczęła pisać do rodziców długie listy, lecz kiedy pierwszy raz zadzwoniła do nich z automatu i dowiedziała się, że żaden z jej listów nie dotarł, wybuchnęła płaczem.

- Już nawet nie chce mi się wysyłać listów miejscowych - powiedziała jej później na pociechę Donatella. - Włoska poczta jest sławna ze swego bałaganu.

Kiedy wreszcie firma telefoniczna - wsparta małą łapówką od Donatelli - założyła im aparaty, Lizzie nie posiadała się z radości. Od tej pory starała się co tydzień dzwonić do domu; zawsze zaskakiwało ją, że rodzice mówią do niej „Lizzie”, podczas gdy wszyscy, w tym także *professori*, nazywali ją po włosku Betta.

Pierwsze wakacje w Wisconsin Lizzie odczuła jako wstrząs. Życie w rodzinnym mieście wydało jej się płaskie i pozbawione wdzięku, jak monotony głos, a stara praca w nieruchomościach - nudna i przygnębiająca. Wiele jej

szkolnych koleżanek myślało o małżeństwie i mało która zamierzała wyjechać z Argyle, a tym bardziej ze stanu - nie mówiąc już o kraju. Rodzice Lizzie zestarzelili się, co zauważyła z bólem. Ojciec poruszał się wolniej, niż pamiętała, a kiedy wieczorem szedł do sypialni na górę, przystawał na schodach, łapiąc oddech.

- Tylko wacham róże - usprawiedliwiał się, kiedy przyłapywał ją na pełnym troski spojrzeniu.

Pewnego dnia Lizzie oznajmiła, że w najbliższy piątek przygotuje dla wszystkich kolację.

- Niech żadne z was nawet palcem nie ruszy - ostrzegła rodziców i przez dwa kolejne popołudnia prowadziła żmudne, lecz uwieńczone powodzeniem poszukiwania szaławii, rozmarynu i świeżych grzybów.

Lecz kiedy w piątek z fanfarami postawiła na stole misę spaghetti, zaskoczyła ją powściągliwość rodziców.

- Liz, to jest świetne - powtarzał w kółko ojciec, ale matka milczała, więc późnym wieczorem Lizzie zajrzała do sypialni rodziców, gdzie mama właśnie zapinała koszulę nocną.

- Naprawdę kolacja była taka okropna? - zapytała nieśmiało, stojąc w drzwiach.

- Była pyszna - odparła matka. Zamilkła na chwilę, po czym wyjaśniła: - Po prostu zabolalo mnie to. Poczulam się tak, jakbyś powiedziala, że moja kuchnia jest monotonna i nie najlepsza, a ty przyleciałaś z Rzymu i...

- Och, mam, przepraszam. Wydawało mi się, że sprawię wam przyjemność...

- Bo to była przyjemność. Ogromna przyjemność. Chyba po prostu moje życie wydało mi się trochę nieciekawe w porównaniu z twoim. - Głos matki nagle ożywił się. - Dlatego trzeba mieć miłość, ale trzeba także mieć co innego. - Patrzyła na Lizzie zwilgotnionymi oczyma. - Tak mi przykro. To nie fair wobec ciebie. Twoja kolacja bardzo mi smakowała, kochanie.

Lizzie trochę zasmucił fakt, że wracając do Rzymu na drugi rok nauki w Istituto, poczuła zadowolenie i ulgę. Cieszyła się, znów słysząc dźwięk porannych i wieczornych dzwonów, widząc setki kościelnych kopuł, rozsianych po mieście jak wysokie czapeczki, i piękne, samotne cyprysy. Cieszyła się, widząc rzymian, mężczyzn o mrocznej urodzie, i wyrafinowane, pełne temperamentu kobiety, jak również prześlicznie ubrane dzieci w wózkach, w parkach miejskich, przy obelisku na Piazza del Popolo. A najbardziej cieszyła się na widok dzieł sztuki - cudownych rzeźb, fresków, panneau - zauważając po raz pierwszy, jak swobodnie i niezauważalnie sztuka i przeszłość wtapiają się w rzymską codzienność.

Jestem w Rzymie, we Włoszech, wciąż powtarzała sobie w duchu uradowana Lizzie, i w takich chwilach Argyle w stanie Wisconsin wydawało się jej równie odległe, jak inna planeta. Nawet łączenie pracy w konsulacie amerykańskim i zajęć w Istituto nie wydawało się takie trudne.

Drogi Tato - pisała do domu po upływie kilku tygodni. - Uczę się, jak retuszować akwarele i rysunki! Jeszcze nie robię tego zbyt dobrze, ale za kilka miesięcy - być może w przyszłym roku - będę mogła pracować nad olejami, oczywiście jeżeli czegoś przedtem nie schrzanię.

Zdecydowanie najbardziej ulubioną przez Lizzie częścią miasta były okolice Piazza Navona, kilka przecznic od Panteonu.

Późnym popołudniem, po wykładach, wzięwszy szkicownik i węgiel lub akwarele i kilka pędzli, miała zwyczaj szkicować fragment jakiegoś budynku lub kościoła albo ozdobną kratę restauracji. Szczególnie podziwiała Fontana dei Fiumi Berniniego, ogromną fontannę na południowym krańcu placu, przedstawiającą cztery wielkie rzeki - Ganges, Dunaj, Nil i La Platę - pod postacią czterech ogromnych kamiennych gigantów. Co wieczór o zmierzchu, kiedy plac zapełniał się ludźmi, głównie młodymi cudzoziemcami, którzy rozmawiali, śmiali się, gestykulowali, ciągnęli za sobą smugi perfum lub dymu

tytoniowego, Lizzie najdobitniej czuła, że jest za granicą, w dziwnym, pięknym, tajemniczym kraju, zwanym Włochami.

Czasami miała ochotę podbiec do najbliższego Amerykanina i zacząć gadać po angielsku na jakikolwiek temat. Lecz równocześnie pragnęła potajemnie, aby amerykańscy turyści postrzegali ją jako jeszcze jedną ambitną miejscową artystkę, spędzającą wieczorne godziny na Piazza, podobnie jak inne Włoszki w jej wieku.

Pewnego wieczoru na początku grudnia Lizzie siedziała na swoim ulubionym miejscu, szkicując Fontana dei Fiumi. Światło na Piazza Navona było olśniewające i budynki po obu stronach promieniowały cytrynową, jakby glazurowaną poświatą. Zbliżało się Boże Narodzenie, w powietrzu czuło się zapach pieczonych kasztanów, a na placu wznosiły się rzędy namiotów, skrywających *presepi* - szopki - oraz postać Befany, gwiazdkowej wiedźmy, włoskiej odpowiedniczki świętego Mikołaja, która lata na miotle, rozdając grzecznym dzieciom prezenty, niegrzecznym zaś *carbone* - cukrowy węgiel.

Na dźwięk angielszczyzny dobiegającej z drugiej strony placu Lizzie przeszył ostry dreszcz tęsknoty za domem. Odłożyła na bok szkicownik i wyjęła z portfela zdjęcia rodziny. Oto mama siedząca na schodkach domu i mrużąca oczy z uśmiechem; oto ojciec w ulubionym fotelu z czerwonej skóry, z uniesioną lekko brwią i znajomym wyrazem znużenia w oczach. Lizzie wyobraziła sobie wielką choinkę w bawialni, kolędy w wykonaniu Nata Kinga Cole'a i Franka Sinatry, zapach domowego ciasta dolatujący z kuchni, śmiechy i rozmowy rodzeństwa. Chciała pojechać do domu na święta, lecz przelot kosztował za drogo. Teraz, kiedy Donatella wyjechała ze swym chłopakiem do Mediolanu, Lizzie po raz pierwszy w życiu spędzała święta samotnie.

Cudowne światło zniknęło. Wsunęła zdjęcia do portfela, zapięła torebkę i wróciła do szkicowania jednego z kamiennych gigantów przy Fontana dei Fiumi.

Kończyła właśnie jego brodę, gdy podniosła na chwilę wzrok i dostrzegła dwa metry od siebie grupę dzieci przyglądających się jej w skupieniu. Dzieci te - było ich sześcioro - nie wyglądały na włoskie, miały ciemną skórę i obszarpane ubrania.

Podniecona myślą, że są zainteresowane jej pracą, Lizzie uniosła szkicownik i odwróciła do nich. Wówczas jedno z nich, piękny, śniady chłopiec o zadartym nosie i wojowniczo lśniących oczach, szarpnął szkicownik ze zdumiewającą gwałtownością, popatrzył z bliska na rysunek i burknął coś w języku, który nie był włoskim. Po raz pierwszy od przyjazdu do Włoch Lizzie poczuła w żołądku skurcz strachu. Zamknęła szkicownik i wstała, aby odejść, lecz dzieci zastąpiły jej drogę, zacieśniając krąg wokół niej. Zanim zdążyła się zorientować, ich zwinne palce obmacywały już jej ciało i torebkę.

- *Va te ne!* - krzyknęła. - *Via! Lasciami!* - Czy to właśnie należało powiedzieć? Czy znów powiedziała coś nie tak?

Ale dzieci już zniknęły w tłumie, równie szybko, jak się pojawiły. Drżąc na całym ciele, stała przez chwilę nieruchomo.

Serce waliło jej jak młotem. Wreszcie spojrzała w dół, aby sprawdzić, czy jeszcze ma torebkę, i dostrzegła w skórze wielkie, półkoliste rozcięcie, niby okropny uśmiech. Nawet nie musiała sprawdzać; wiedziała, że wszystko - pieniądze, książeczka czekowa, karta kredytowa, którą ojciec dał jej na wszelki wypadek, a przede wszystkim rodzinne fotografie - zniknęło na zawsze.

Jak we śnie szła przez Piazza di Pasquino. Gdy zbliżała się do rogu Corso Vittorio Emanuele, poczuła na ramieniu dotknięcie. Obróciła się zaskoczona, spodziewając się najgorszego, i ujrzała jedno z dzieci, które przed chwilą ją okradły.

- *Lasciami!* - zawołała, zamierzając uciec.

Ale dziecko, ładna dziewczynka w starej sukience i zniszczonych sandałkach, rzuciła jej coś pod nogi i dała nura w nocny rzymski tłum.

Zdumiona Lizzie spojrzała w dół. Były to zdjęcia jej rodziny - matki, ojca, braci i siostry.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Złodzieje o złotym sercu, powtarzała do siebie. Wzruszona tym dziwnie serdecznym gestem, świadoma łez napływających do oczu, stała, czekając, aż przejadą samochody i będzie mogła przejść na drugą stronę ulicy. Ale wieczorny ruch był duży, zza rogu, nie zwracając uwagi na czerwone światła, nieustannie wypadały skutery i małe quattrociento, i za każdym razem, gdy Lizzie robiła krok na jezdnię, nadjeżdżał kolejny samochód lub vespa, zmuszając ją do cofnięcia się na chodnik.

Nie rozumiała, dlaczego właśnie wtedy rozplakała się na dobre. Dlaczego ocknęła się oparta o ścianę banku przy Corso Vittorio Emanuele, zakrywając usta i oczy rozdygotanymi dłońmi. Pomimo że opanowała niektóre elementy życia we Włoszech - bilety miesięczne, znaczki, zakupy, pralnię i tyle z języka, ile się dotychczas nauczyła - poczuła, że nie potrafi sprostać Rzymowi, temu rozległemu, gwarnemu, pełnemu zabytków starożytności miastu. Jeden incydent, jeden nieoczekiwany cios, i Rzym obnażył w niej amerykańską dziewczynę z małego prowincjonalnego miasteczka, która nie umie nawet przejść przez ulicę.

Nawet nie zauważyła młodego człowieka, który pojawił się obok i patrzył na nią pytająco.

- *Signorina, que te vai?* - zapytał cicho. - Czy pani się dobrze czuje?

Pierwszym odruchem Lizzie była ucieczka; skąd mogła wiedzieć, czy to nie kolejny złodziej? Ale podniosła wzrok i zobaczyła to, co zobaczyła - przystojnego młodego Włocha, który podawał jej chusteczkę. Po chwili wahania przyjęła ją.

- *Parla inglese?* - zapytała przez łzy. Młody człowiek skrzywił się zabawnie.

- No, trochę mówię.

Przemagając płacz, Lizzie opowiedziała mu, co się zdarzyło.

- Kupa dzieciaków! - zawołała. - A teraz usiłuję wrócić do domu, ale...

- Proszę dać mi rękę - zarządził nieznajomy zaskakująco szorstkim tonem, a Lizzie, choć z początku niepewna, zrobiła, jak kazał. Po chwili eskortował ją zdecydowanie przez jezdnię Corso Vittorio Emanuele, wpatrując się wyzywającym wzrokiem w samochody i skutery zwalniające, aby pozwolić im przejść, po czym znów dodając gazu. Po drugiej stronie ulicy niechętnie uwolnił jej ramię.

- *Mi dispiace* - powiedziała Lizzie. - Przepraszam. Nadal były to słowa, które znała najlepiej. Wciąż mówiąc po włosku, dodała: - Pewnie uważa pan, że jestem żalosna.

- Nic podobnego, niech pani nie będzie śmieszna. - Młody człowiek też mówił po włosku, ale powoli, aby mogła łatwiej zrozumieć. - Ruchem ulicznym w Rzymie rządzi zasada: zabij lub daj się zabić. Tysiąc lat temu po tych ulicach jeździły rydwany z ostrzami na przedzie i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Najwyraźniej miała pani okropny dzień. Mówi pani, że została okradziona, co pani zabrali, pani jest Amerykanką, prawda?

Usłyszawszy relację Lizzie, nieznajomy pokiwał głową.

- *Zinariemo* - rzekł z niesmakiem, dodając, iż cygańskie dzieci znane są we Włoszech z tego, że najpierw odwracają uwagę łatwowiernych turystów, po czym kradną im portfele i zegarki.

- Przecinają damskie torebki nożem lub nożyczkami i zabierają portmonetki, które ukrywają pod pachą. Złapanie - co nigdy się nie zdarza, bo są szybkie jak wiatr - mogą podnieść koszulę i pokazać, że nic nie mają w spodniach ani w spódnicach. *Cretini* - dodał z lekkim ukłonem. - Przepraszam za moje miasto, *signorina*. Jako rzymianinowi wstyd mi za to, co panią spotkało.

- To nie pana wina - zaśmiała się Lizzie. Ku swemu zdumieniu już czuła się znacznie lepiej.

- Moja wina, bo jestem rzymianinem. Ale proszę, niech pani da mnie i mojemu miastu jeszcze jedną szansę!

- Sądzi pan, że powinnam iść na policję? Młody człowiek skrzywił wzgardliwie usta.

- *I carabinieri sono incapaci, non fano un tubo* - odparł, po czym przeszedł na angielski. - Rzymscy Cyganie są wyjątkowo dobrze zorganizowani. A we Włoszech fundamentem wszystkiego jest rodzina, nie prawo. Dlaczego? - roześmiał się. - Bo prawo nie istnieje! No cóż, mamy za to dobre jedzenie i wspaniały klimat.

Po raz pierwszy Lizzie przyjrzała się uważniej swemu wybawcy. Był wysoki i szczupły - czy kiedykolwiek widziała kogoś tak szczupłego? - miał dumną, przystojną twarz o ciemnobrązowych oczach i pełnych wargach. Patrzył na nią bez skrepowania - a nawet z wyraźnym uznaniem - i Lizzie odniosła dziwne wrażenie, że nikt przedtem nie wpatrywał się w jej twarz tak dokładnie, jakby przewiercając ją wzrokiem na wylot, widząc w niej rzeczy, których sama nie dostrzegała. Po chwili młody człowiek wyprężył się i potrząsając dłonią Lizzie, przedstawił się jako Massimiliano Caracci.

- A pani jak się nazywa? - zapytał.

- Lizzie Orman.

Massimiliano Caracci pochylił się ku niej.

- Li, obraża mnie sama myśl, że Rzym mógł wykorzystać kogoś takiego jak ty.

Lizzie natychmiast oczarowało zdrobnienie „Li”.

- To wina mojej głupoty. Gdybym nie była taką fajtlapą...

- Fajtlapą? Co to jest fajtlapa? Nie znam tego słowa. To coś w rodzaju parasolki? Nie, czekaj, Zorro zakłada to koniowi... - Na migi pokazał zakładanie wędzidła, na co Lizzie wybuchnęła śmiechem.

- Fajtlapa to ktoś słaby i niezdarny. Tchórzliwa brzydula w okularach - wyjaśniła, choć wiedziała, że wcale nie wygląda i nigdy nie wyglądała na fajtlapę. Jej ciemnoblonde włosy opadały prawie do ramion, miała jasną, zdrową

urodę mieszkankę Środkowego Zachodu i większość mężczyzn uważała ją za piękność.

Masi wpatrywał się w nią.

- Może uważasz, że jestem niegrzeczny - powiedział - ale chciałbym trzymać cię za rękę i przeprowadzać przez wiele ulic podczas twojego pobytu w Rzymie. Więc kiedy się znów zobaczymy?

Później Lizzie wiele myślała o tym mrocznym rzymskim wieczorze, kiedy się spotkali po raz pierwszy. Wspominała ciemnofioletowe niebo, warkot skuterów, zapach rozgrzanej oliwy, dolatujący z pobliskiego domu. Gdyby trochę bardziej panowała nad sobą, mówiła sobie później, gdyby tamtego właśnie dnia Rzym nie sprzysiągł się przeciwko niej, gdyby nie czuła się tak samotna i stęskniona, uprzejmie podziękowałaby Masiemu Caracciemu i wróciła do siebie.

Dlaczego właściwie miałyby zaufać nieznajomemu? Zwłaszcza będąc w obcym kraju i nie znając zbyt dobrze języka? Ale Lizzie wiedziała, że nawet gdyby w owej chwili była doskonale pewna siebie i tak wyznałaby mu, gdzie mieszka i co studiuje. Słyszając o Istituto dei Restauro, Masi otworzył szeroko oczy z podniecenia.

- Kochasz sztukę, tak jak ja! Studiuję na Giulioesaro! To po prostu palec boży!

Powiedziała mu też, że nie, w zasadzie nie zna w Rzymie nikogo, i że *si*, chętnie zje z nim kolację w najbliższy piątek. A potem, czując, że wszystko dzieje się zbyt szybko, dodała gorączkowo:

- Ale ja cię właściwie nie znam, Masi!

Masi - wcześniej powiedział jej, że tylko matka nazywa go Massimiliano - trochę się zdenerwował, a zarazem zdziwił jej odpowiedzią.

- Przecież właśnie masz okazję mnie poznać! Jakże mogłabyś ją przegapić? - Wciąż się w nią wpatrywał. - Skuter czy własne nogi?

- Co, przepraszam?

- Skuter czy własne nogi? Mam cię odwieźć do domu skuterem czy pójdziemy pieszo?

Odprowadził ją na Via dei Pettinari. Z początku Lizzie czuła lekki niepokój na myśl, że Masi dowie się, gdzie ona mieszka, lecz podczas wędrówki bocznymi ulicami Rzymu jej zdenerwowanie szybko minęło.

- Chyba zwariowałeś, jeśli naprawdę sądzisz, że wsiądę na coś takiego jak skuter - rzuciła w pewnej chwili, lecz Masi skrzywił twarz w swoim charakterystycznym grymasie.

- Musisz spróbować, zanim odmówisz, jak wszystkiego w życiu.

Kilkakrotnie, gdy zerknęła na profil Masiego, Lizzie uderzało jego podobieństwo do pewnego portretu z przełomu wieków, ale zatrzymała tę myśl dla siebie.

- Co to jest Giulio cesaro? - zapytała.

Masi wyjaśnił, że jest to *liceo classico*, miejscowy uniwersytet, że on jest na ostatnim roku i że studia w większości państwowych uczelni są dla Włochów bezpłatne.

- Możesz mówić o Włochach, co chcesz, Li - dodał - ale dbają tu o nas.

- Mieszkasz w akademiku?

Masi wydawał się zdziwiony pytaniem.

- Mieszkam z rodziną, rzecz jasna.

Znaleźli się przed domem, w którym Lizzie mieszkała.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała po włosku. - Naprawdę.

Usta Masiego wygięły się w uśmiechu.

- *Dile si nuovo*. Powtórz.

Gdy Lizzie powtórzyła podziękowanie, uśmiechnął się ponownie.

- Uwielbiam to.

- Co uwielbiasz? Co powiedziałam źle?

- Podobają mi się twoje błędy, to wszystko. Nie obraż się - dodał pośpiesznie. - Wciąż zapominam, że kiedy ty mówisz po włosku lub ja mówię

po angielsku, jest tyle rzeczy, których nie możemy powiedzieć. Kiedy mówię po angielsku, to jest przekład. Kiedy ty mówisz po włosku, to jest przekład. - W jego oczach dojrzała cień smutku. - Być może kiedyś nadejdzie dzień, kiedy nie będzie przekładu, kiedy będzie - cmoknął lekko - o tak.

- To do zobaczenia w piątek, okay? - powiedziała Lizzie, nagle zbita z tropu.

- W piątek - potwierdził Masi i znów uściskał jej dłoń w ów zabawny sposób, który Lizzie zauważyła u wielu Europejczyków - potrząsając nią to w górę, to w dół, po czym nagle puszczając - i szybko oddalił się ulicą.

Tego tygodnia profesorowie w Istituto dei Restauro uczyli studentów kopiować dzieła w różnej skali z wykorzystaniem siatki i linijki. Była to praca wymagająca skrupulatności, gdyż nawet niewielkie rozproszenie uwagi mogło spowodować nieodwracalny błąd. Pomimo jednak intensywnej pracy Lizzie nie potrafiła przestać myśleć o Masim; przyłapała się wręcz na tym, że niecierpliwie liczy dni do końca tygodnia. Lecz kiedy w piątkowe popołudnie wręczyła *professore* pracę do oceny, ten obejrzał ją i rzekł surowo:

- Proszę próbować, dopóki pani nie zrobi tego jak należy.

Przez następne cztery godziny, długo po wyjściu innych studentów, Lizzie w kółko kopiowała trójkątny fragment obrazu Tintoretta, aż w końcu i ona, i profesor byli zadowoleni. Kiedy dotarła pod dom, czekał na nią rozzłoszczony Masi.

- Więc praca jest dla ciebie ważniejsza niż ja? - zapytał kwaśno. - Spotkałaś kogoś innego? Jakiegoś faceta?

Sądząc, że żartuje, Lizzie nie odpowiedziała, ale słysząc powtórne pytanie, zdała sobie sprawę, że Masi mówi serio.

- Nie znam w Rzymie zbyt wielu mężczyzn. Właściwie żadnego oprócz ciebie.

Ucieszyła się, że odpowiedź zadowoliła i uspokoiła Masiego.

- Pamiętasz nasz spór, kiedy się poznaliśmy, co jest lepsze, skuter czy własne nogi?

Lizzie przytaknęła.

- No więc własne nogi mamy już za sobą, teraz przyszła pora na skuter. - Masi podprowadził ją do małej, błyszczącej czarnej vespy i wskazał miejsce z tyłu za sobą.

- Chyba nie każesz mi jechać na czymś takim? - zachnęła się, lecz Masi się zniecierpliwił.

- Po prostu się mnie trzymaj. Prowadzę bardzo bezpiecznie. Szybko, ale bezpiecznie.

Restauracja, położona w starej dzielnicy żydowskiej, była odległa o półtora kilometra. Masi pędził przez zalane deszczem *vicoli*, wąskie, kręte uliczki, z Lizzie wczepioną kurczowo w jego plecy. Pomimo strachu czuła się wspaniale, obejmując młodego człowieka w pasie, wyczuwając jego serce, bijące pod kanciastymi żebrami. Po dziesięciu minutach znaleźli się przed małą trattorią.

- Chyba trochę za wcześnie? - zapytała Lizzie, zsiadając ze skutera i usiłując odzyskać równowagę. Od chwili przyjazdu do Rzymu często czuła się głodna o niewłaściwej porze, gdyż kolację we Włoszech na ogół jadano dopiero około ósmej wieczorem. Wywieszka na drzwiach głosiła *chiuso*, zamknięte, ale Masi mocno zastukał w drzwi. Po chwili ujrzeli mężczyznę w średnim wieku, który rozpoznając Masiego, otworzył je szeroko.

- Wiedziałem, że jako Amerykanka będziesz o tej porze już umierała z głodu - powiedział Masi do Lizzie - więc umówiłem się z przyjacielem, że zjemy trochę wcześniej.

Niewykluczone, iż była to najlepsza kolacja, jaką Lizzie jadła w życiu: *ribollita*, gęsta toskańska zupa fasolowa, potem *carciofi alla Giudea*, smażone serca karczochów, delikatne dyniowe *risotto*, a na deser *palle de nonno*, bezy wypełnione słodką *ricotta* z kawałkami czekolady.

- Co znaczy *palle de nonno*! - zapytała Lizzie. Masi popatrzył na nią poważnie.

- Obawiam się, *tesoro*, że to znaczy „jądra dziadka”.

Gdy jej czujność uśpiła butelka czerwonego stołowego wina, Lizzie skwapliwie opowiedziała Masiemu o sobie wszystko, co się dało - o swych ambicjach malarskich, o braciach i siostrze, o rodzicach pozostawionych na Środkowym Zachodzie.

Na myśl przychodzili jej inni mężczyźni, z którymi była związana, chłopcy w szkole i na uczelni, lecz nie umiała już nazwać ich inaczej, jak właśnie tak - chłopcy, zmienni, pobudliwi, nade wszystko pragnący zaciągnąć ją do łóżka, rozdarci między swoim pożądaniem a poczuciem, że zakochanie się w niej przynosi ujmę ich męskości. Chłopcy, dla których rozmowa była stratą czasu i którzy chcieli jak najprędzej mieć za sobą okres oficjalnej nauki, aby nigdy więcej nie podejmować ryzyka samodzielnego myślenia lub własnego zdania. Chłopcy, którzy traktowali rozmowę jak przeszkodę na drodze do miłości i seksu, zamiast widzieć w niej drogę do poznania i polubienia drugiej osoby.

Lizzie wiedziała jedno - nigdy dotąd żaden młody człowiek nie słuchał jej tak uważnie, jak Masi, nie patrzył na nią z takim ogromnym skupieniem, nie umiał dostrzec, że jej kieliszek jest pusty, nie doceniał tak wzruszenia, z jakim opowiadała o domu. W pewnej chwili starł okruch z jej wargi i dotyk jego palca sprawił, że poczuła słabość w kolanach. Kiedy uparł się, żeby spróbowała jego dania, a potem deseru, i własnoręcznie ją nakarmił, zagapiła się na niego zdumiona. Zdała sobie sprawę, że amerykańscy mężczyźni boją się kobiet, toteż nieskrępowane zachowanie i intensywne spojrzenie Masiego było dla niej tyleż niespodzianką, co objawieniem. Dwie godziny później pomyślała: ten człowiek rzucił na mnie urok.

Dowiedziała się też kilku rzeczy o nim. Masi wychował się w Rzymie, *borghese, non ricca, ma anche non povera* (niebogaty, lecz również niebiedny),

głównie pod opieką matki, gdyż jego ojciec spędzał większość czasu w fabryce. O matce mówił z uwielbieniem: „To zdumiewająca kobieta, drobna, ale silna”, kiedy jednak rozmowa zeszła na ojca, zawahał się, a potem rozgniewał:

- Nie jest dobry dla matki. Inne kobiety, wiesz, o czym mówię? -

Wzruszył ramionami: - Ale ciężko pracuje na nasze utrzymanie, to przyzwoity człowiek.

Lizzie nie spotkała dotąd nikogo równie kulturalnego, kto umiałby rozmawiać na tak wiele tematów: opera, polityka, finanse, teatr, nauka, literatura, historia, no i oczywiście sztuka i artyści. Choć studia na uniwersytecie były bezpłatne, Masi po wykładach pracował w galerii przy Via Margutta, specjalizującej się w sztuce współczesnej, której nienawidził.

- Nazywają siebie artystami; chlapią farbą na płótno, przyklejają kilka patyków i mówią, że to sztuka - mówił z obrzydzeniem. - Kiedyś zostanę marszandem. Nie mam wielkiego talentu jako artysta, ale zawsze miałem oko i wiedziałem, co jest dobre, a co nie. Szybko się uczę. Czego się nie nauczę od innych, dowiaduję się sam. Jak to nazywacie? Samouk? - Znów wzruszył ramionami. - Jeśli moje ambicje się spełnią, to dobrze. Jeśli nie, to drugie dobrze. - Zaśmiał się. - Nikt nie zastanawia się na łożu śmierci: „O rany, a może za mało pracowałem w życiu?”. Jest tyle rzeczy, które chciałbym zrobić, zanim się ustabilizuję i zacznę pracować. - Wpatrywał się w Lizzie płomiennym spojrzeniem ciemnych oczu. - Wiesz?

Pomimo jej sprzeciwów nalegał, że zapłaci rachunek.

- Chcę się z tobą widywać wciąż i wciąż, i wciąż - powiedział, odwożąc ją pod dom tego wieczoru. Niepewną angielszczyzną dodał: - Chciałbym przez cały dzień nosić cię w kieszeni. Żebyśmy się nigdy nie rozstawali.

Lizzie wpatrywała się w niego. Jeszcze żaden mężczyzna nie wzbudził w niej dotąd takich uczuć; czuła niebezpieczeństwo, jakby chwiała się nad brzegiem przepaści, której głębia, gdyby odważyła się spojrzeć, mogłaby stać się jej zgubą. Uwielbiała w nim wszystko: sposób mówienia, spojrzenie, ruchy,

poglądy. Nie przypuszczała nawet, że drugi człowiek może wzbudzać tak silne emocje.

- Ja też chcę być z tobą, Masi - odparła z prostotą. A potem odwróciła się i weszła do domu.

Przez następne kilka miesięcy byli praktycznie nierozłączni. Jak wielu Włochów, Masi był dumny ze swojego miasta i starał się zaprezentować je Lizzie, zwłaszcza te jego zakątki, które rzadko widywali cudzoziemcy. Gdy na pierwszą wyprawę Lizzie przysłała zaopatrzoną w plan Rzymu, wyrzucił mapę do kosza na śmieci.

- Mapy są dla głupców i turystów. Rzym ukrywa większość swych tajemnic przed ludzkim wzrokiem. Pomyśl o ostrygach, które kryją perły. Włochy są właśnie takie.

Zamiast prowadzić Lizzie do miejsc atrakcji turystycznych, z których wiele już widziała, pokazywał jej miejsca leżące na uboczu, takie jak kościół Sant'Augusto, gdzie zaprowadził ją do sali z tyłu.

- Kościół jest ostrygą - rzekł - a oto perła. - I wskazał na obraz Caravaggia, wiszący na odległej ścianie dla zwiększenia efektu.

Na Palatynie, na Piazza di Cavalieri di Malta, Masi pokazał jej maleńką dziurkę od klucza, przez którą roztaczał się rozległy widok na katedrę Świętego Pawła. Pewnego deszczowego popołudnia zabrał ją do galerii przy Via Margutta, gdzie pracował.

- Na tej ulicy będę miał kiedyś galerię - oznajmił. - Będę starym, szczęśliwym Włochem. Będę jeździł lancią lub alfa romeo, a po południu chodził do ogrodów Watykanu, kiedy tylko zechcę.

Ogrody Watykanu, wyjaśnił Masi, są zamknięte dla publiczności, i tylko papież oraz jego najbliżsi współpracownicy mają do nich wstęp.

- Powiadają, że to najpiękniejsze ogrody w Rzymie. Kiedyś się tam dostanę, zobaczysz. - W jego głosie brzmiała niezachwiana pewność. - Chodź -

dodał, biorąc ją za rękę i kierując się ku małemu targowi owocowemu. - Założę się, że nigdy w życiu nie próbowałaś krwistej pomarańczy.

Masi chciał zapoznać Lizzie nie tylko z widokami Rzymu, lecz także z jego smakami. Choć dzięki Donatelli dość wcześnie spróbowała *sambuca* i *tiramisu* (nie mówiąc o małych ośmiorniczkach, które, ku swemu zawstydzeniu, naprawdę polubiła), to Masi był autentycznie rozkochany w swej ojczystej kuchni, a gotowanie posiłków dla Lizzie sprawiało mu szczególną przyjemność. Dwa tygodnie po ich pierwszym spotkaniu, gdy Donatella znów wyjechała do swego chłopca do Mediolanu, Masi wprosił się do mieszkania Lizzie i zabrał się do gotowania. Patrzyła, jak wrzucił kilka główek brokułów na wrzącą wodę, a na drugim palniku obsmażył na oliwie kawałeczki czosnku, które po zbrązowieniu usunął.

- To tylko dla smaku - wyjaśnił.

Przyglądała się, zafascynowana, jak wrzucił na skwierczącą oliwę koreczki anchois i rozcierał je, dopóki się nie rozpuściły, a następnie dodał trochę ostrej papryki. Gdy brokuły były miękkie, odcedził je na durszlaku, a do wrzątku wsypał paczkę makaronu *orchiette*, który ugotował *al dente*. Wszystkie składniki starannie wymieszał i podał w parującej misce, kiedy zaś Lizzie zapytała, czy nie ma odrobiny parmezanu, zatrzęsł się z oburzenia.

- Li, nigdy, przenigdy, z tym rodzajem *pasta*!

Po jedzeniu usiedli na starej kanapie z twardym oparciem, którą Donatella znalazła na pobliskim pchlim targu. Masi przysunął się bliżej i objął ramiona Lizzie, ona zaś wtuliła się w jego pierś. Po chwili dotknął wargami ust dziewczyny, która oddała pocałunek. Lizzie, nabierając tchu, powiedziała ze śmiechem:

- Masz usta jak poduszki. Masi ciężko oddychał.

- Nic nie poradzę na swoje usta - oznajmił poważnie i Lizzie mimo woli znów się roześmiała.

- Właściwie bardzo lubię poduszki - powiedziała, całując go ponownie.

Nie panując już nad sobą, przenieśli się do małej sypialni Lizzie. Ciało Masiego było twarde, gładkie i doskonale wpasowało się w ciało Lizzie. Tulila go, wpatrzona w jego twarz nad sobą, aż poczuła ciepło, potem gorąco, a po zdyszonym końcu znów chłodny powiew październikowej nocy. Przywarła do Masiego, który leżał nagi obok niej. Jego pierś wznosiła się i opadała. Po chwili wstał i dumnie przeszedł przez pokój z ciałem lekko lśniącym od potu. W Ameryce Lizzie zapewne zdziwiłaby się nieco tym pokazem obnażonych męskich kształtów, lecz w Rzymie, gdzie wszystkie *piazzi* i muzea pełne były nagich posągów mężczyzn i kobiet, dawno przyzwyczała się do urody obu płci.

Jeszcze później oboje leżeli w miękkim półmroku sypialni. Masi sennie przywarł do jej pleców.

- Nie potrzebujemy już tłumacza, prawda? - zamruczał.

- Prawda - odparła sennie Lizzie. Odwrócił ją nagle.

- Li? - powiedział tym samym sennym głosem.

- Tak?

Jego angielszczyzna była ostrożna i niepewna.

- Kocham was.

Lizzie nie mogła powstrzymać chichotu.

- Was? A gdzieś ty się nauczył tak mówić?

- To niepoprawne? - Masi zdawał się obrażony. Wyjaśnił, że wprawiał się w języku, czytając starą angielską wersję Biblii, którą przyjaciel wyszukał dla niego w antykwariacie.

- Nie - odparła Lizzie. - Wszystko w porządku. Zamilkła.

- Ja też was kocham - powiedziała wreszcie. - Mam nadzieję, że kiedyś razem będziemy chodzić do ogrodów Watykanu.

Masi wziął ją w ramiona.

- Na pewno. Zobaczysz, pobierzemy się i zostaniesz matką naszych pięknych dzieci.

- Jak je nazwiemy? - zapytała, ciesząc się zabawą.

- Hm - zadumał się Masi, głaszcząc się po podbródku. - Jeżeli to będzie chłopiec, nazwiemy go Flavio albo Ulyse.

- Ulyse? - zdziwiła się Lizzie ze śmiechem. - To znaczy Ulisses?

Masi także się roześmiał.

- Tak. Wyrośnie na wielkiego podróżnika.

- Masi, te imiona niespecjalnie mi się podobają.

- A co, chciałabyś, żeby miał na imię Jeff, Bob albo Danny? - Jego płaski, amerykański akcent rozśmieszył Lizzie.

- A jeśli chodzi o dziewczynkę - ciągnął Masi - zawsze uwielbiałem imię Patrizia.

- Ja też lubię to imię - mruknęła Lizzie. - Sądzisz, że kiedykolwiek zobaczę, gdzie mieszkasz?

- Tak, tak, oczywiście. - Nawet w ciemności wyczuła niechętny grymas Masiego. - Któregoś dnia - powiedział cicho, zniecierpliwiony.

Gdy wreszcie pękły tamy, przez kilka następnych tygodni Lizzie i Masi kochali się prawie bez przerwy - aczkolwiek zawsze było to w małym łóżku w jej mieszkaniu przy Via dei Pettinari, z widokiem na trójkąt szarego nieba w ciągu dnia i gwiazdzisty trójkąt w nocy. Teraz Donatella już co weekend jeździła do swego chłopaka do Mediolanu, więc na ogół mieli mieszkanie dla siebie.

Lizzie miała kilku chłopców w szkole i na uczelni, ale nigdy nie pragnęła żadnego z nich tak zachłannie, nigdy nie czuła takiego pożądania. Umiała już radzić sobie z zazdrością Masiego.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - zapytał ją kiedyś szeptem po szczególnie namiętnym spotkaniu.

Pytanie zaskoczyło ją.

- Po prostu... tak wyszło. Zrobiłam to dla ciebie. To pewnie twój wpływ.

Nie odzywał się, więc zaczęła nalegać.

- Co się stało? Długo nie odpowiadał.

- Nie mógłbym znieść myśli, że mogłabyś robić to samo z innym mężczyzną - powiedział w końcu, i choć Lizzie przytuliła się do niego, zapewniając, że nigdy nie zechce kochać się z nikim innym, zły humor Masiego utrzymał się do następnego ranka.

Pewnego piątku, odprowadzając Lizzie do domu po wykładach, Masi zwrócił się do niej uroczyście:

- Dzisiaj - uklonił się - uczynisz mi ten zaszczyt i zjesz kolację w moim domu.

Już dawno Donatella ostrzegała Lizzie przed włoskimi mężczyznami i ich rodzinami.

- Ten kraj, wbrew pozorom, nie działa, kierując się zasadą *machismo*. Tu panuje coś, co nazywamy *mammismo*.

- Jak to *mammismo*? - zapytała Lizzie i Donatella popatrzyła na nią z pełnym rozbawienia współczuciem.

- Niestety, jest tak, jak słyszysz. Mama we Włoszech jest królową. Jest zarówno matką, jak i ojcem. Żaden syn nie ośmielił się jej sprzeciwić.

Owego piątku Donatella pomogła jej wybrać strój, choć Lizzie zdziwiło, że wyjmuje z szafy najbrzydszą sukienkę.

- Ta będzie świetna! - Donatella zaśmiała się. - Zaufaj mi, nie możesz wyglądać zbyt ładnie.

Masi zawiózł ją vespa do Fiumicino, na dalekie na przedmieścia Rzymu, w pobliże lotniska. Była to wyraźnie jedna z uboższych dzielnic, gdzie wśród odrapanych domów powiewała na wietrze susząca się bielizna.

Kiedy wchodzili na czwarte piętro domu, Masi był wyraźnie zmieszany, a przed naciśnięciem dzwonka pogładził Lizzie czule po ramieniu. To był ostatni raz, gdy jej dotknął tego wieczoru.

Przesadnie przejęta robieniem dobrego wrażenia, Lizzie nie zapamiętała zbyt dobrze szczegółów wizyty. Jak przez mgłę wspominała proste, niezwykle smaczne jedzenie, niską, władczą matkę Masiego i jej zdumiewająco silny

uścisk dłoni, oraz równie niskiego, przygnębionego ojca, który prawie nic nie mówił, lecz przez cały czas, nawet podczas kolacji, wpatrywał się w migocący ekran małego, czarno-białego telewizora w kącie jadalni. W pamięć wryło jej się tylko jedno: Masi przedstawił ją swojej rodzinie jako Amerykankę studiującą w Rzymie i przez cały wieczór prawie na nią nie spojrzął. Amerykańska studentka. Nie dziewczyna, nie narzeczona, nawet nie koleżanka. Toteż gdy znów znaleźli się na ulicy, rozzłoszczona Lizzie oznajmiła Masiemu, że wraca do domu sama, pieszo.

- Gniewasz się na mnie? - zawołał za nią Masi. - Za co? Lizzie odwróciła się gwałtownie.

- Za co? Jestem amerykańską studentką, tak? Jakaś przygodną znajomą? Tylko tym jestem dla ciebie?

- Nie rozumiesz. - Masi, ze względu na Lizzie, mówił po angielsku. - Muszę być ostrożny. W tym kraju wszystko jest bardziej oficjalne...

Lizzie przerwała mu.

- Wstydzisz się mnie? O to chodzi?

Gdy Masi chwycił ją za ramiona, początkowo próbowała się wyrwać.

- Posłuchaj mnie! - krzyknął. - Jesteś jedyną kobietą, jaką w życiu kochałem. Kiedykolwiek. Chcę być z tobą przez cały czas. W dzień i w nocy. - Przerwał. - Za miesiąc zaczną się wakacje. Nie będę miał zajęć i ty nie będziesz miała zajęć. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy, niewiele, ale wystarczy. Pojedziesz ze mną w podróż po Włoszech, pozwolisz, bym pokazał ci swój kraj?

Chociaż Lizzie wiedziała, iż rodzice spodziewają się jej latem - dostała kilka pocztówek, w których informowali ją, że dawny pokój czeka, ojciec zaś gotów jest opłacić przelot - nagle sama myśl o kolejnych klaustrofobicznych wakacjach na Środkowym Zachodzie, o kolejnych trzech miesiącach pracy w biurze sprzedaży nieruchomości, wypełnionych plotkami przy kawie i pączkach, wydała się jej nie do zniesienia. Wyobraziła sobie swój pokój w rodzinnym domu i zrozumiała z żalem, iż nie pasuje on już do kobiety, którą się stała. No a

perspektywa niewidywania się z Masim przez trzy miesiące była zupełnie nie do przyjęcia.

- Pojadę z tobą wszędzie - powiedziała.

Masiemu udało się pożyczyć od starszego brata samochód, stareńkiego jasnozielonego fiata. Wyjechali z Rzymu w ciepły, czerwcowy dzień, zamierzając najpierw zrobić krótki wypad na południe, na festiwal wina w Marino. Zatrzymali się w Castelli Romani, z zachwytem patrząc, jak z fontanny na głównym placu bije czerwone wino. Z Marino udali się na północ, do Todi, a następnie do Sieny. Ku swemu zdumieniu Lizzie stwierdziła, że Masi wie o innych miastach równie dużo, jak o Rzymie.

- Musisz pamiętać, że jesteśmy jednym krajem dopiero od stu sześćdziesięciu lat - wyjaśnił jej kiedyś. - Nadal są wielkie różnice między północą a południem, tak jak w twoim kraju.

- Ludzie muszą mieć wrogów. Taka chyba jest natura ludzka - zauważyła Lizzie po włosku. Opanowała już włoski w takim stopniu, że rozmawiała z Masim prawie wyłącznie w jego języku. Zaczęła nawet śnić po włosku, a także zwracać znacznie większą uwagę na swój wygląd. Tuż po przyjeździe fascynowała ją, a zarazem trochę peszyła staranność, z jaką Donatella ubierała się i czesała, wkładając pantofle na szpilkach i wąską spódnicę, nawet kiedy schodziła tylko po rogalik albo kilka znaczków. Zapytana, Donatella wyjaśniła, iż we Włoszech ludzie - aczkolwiek często niesprawiedliwie - osądzają innych po wyglądzie.

- Na przykład - powiedziała kiedyś - osoby, które nigdy nie były we Włoszech, myślą, że Włosi ze swym umiłowaniem jedzenia muszą być otyli, ale powiedz, czy widziałaś tu choć jednego tęgiego człowieka?

Lizzie musiała przyznać, że nie widziała.

- To samo z ubraniem - ciągnęła Donatella. - Wbrew opowieściom o naszym *dolce vita*, jakie krążą w Ameryce, jesteśmy sztywnym, oficjalnym narodem. Mężczyźni mają swoje mundury, a kobiety swoje.

W następstwie tej rozmowy Lizzie zaczęła dokładać wszelkich starań, aby wyglądać jak najlepiej, co najwyraźniej sprawiało Masiemu wielką przyjemność. Chyba jestem staroświecka, pomyślała w duchu, a co najdziwniejsze, to mi się podoba.

Nie było jej łatwo zawiadomić rodziców, że nie przyjedzie na wakacje do Wisconsin.

- No to jak się ten facet nazywa? - zapytał ojciec od razu.
- Tato... - westchnęła Lizzie, dodając po chwili: - No, dobrze. Masi.
- I jest dla ciebie dobry? - chciał wiedzieć ojciec.
- Tak. Bardzo.
- Powiesz mi, jak będzie niedobry?
- Tak, tatusiu. Ojciec zamilkł.
- Bądź ostrożna, kochanie - powiedział wreszcie.

Trzy dni później dostała przesyłkę, którą jej ojciec przesłał za pośrednictwem American Express, zawierającą czek na pięćset dolarów i krótki liścik:

Kochana Lizzie,

to żadna frajda być w obcym kraju i nie mieć pieniędzy. Zrozumiałem to podczas wojny w Korei! Mam nadzieję, że forsa przyda Ci się w czasie wakacji. Tęsknimy za Tobą, ale Cię rozumiemy. Całuję.

Tata

PS. Wyrazy uszanowania dla Twego przyjaciela Masiego. Skoro go kochasz, na pewno jest wspaniały. A jak nie, to już ja mu pokażę...

Wyruszając w podróż Lizzie i Masi zrobili zrzutkę, przeznaczając pewną sumę na codzienne wydatki; obejmowały one również benzynę, chociaż o trasie decydował Masi. Nocowali w niedrogich hotelikach lub u kolegów Masiego z

uczelni, od jego kuzyna w Todi wyjechali jednak wcześniej, niż zamierzali, Masi bowiem oświadczył: „Nie podoba mi się, jak on na ciebie patrzy”.

- Po prostu z nim rozmawiałam - odparła zirytowana Lizzie, której zazdrość Masiego pochlebiała i jednocześnie działała na nerwy.

Wszelako cudowne widoki i malowniczy krajobraz wkrótce sprawiły, że zapomnieli o niesnaskach. We Florencji zjedli posiłek na trawie w ogrodach Boboli, a następnie spędzili cały weekend, wędrując po placach i muzeach miasta. Kiedy podziwiali *Dawida* dłuta Michała Anioła, Masi powiedział:

- Słyszałaś, że Michał Anioł sądził, iż rzeźby ukryte są w kamieniu i czekają, aż on zjawi się ze swym dłutem, aby tchnąć w nie życie?

O Renoirze opowiadał:

- Wiesz, nie znosił określenia „ciało”. Za bardzo przypominało mu słowo „mięso”. Wolał mówić krytykom, że maluje „skórę”. I rzeczywiście, malował skórę lepiej niż ktokolwiek inny.

Pod koniec dnia, gdy Lizzie skarżyła się na zmęczenie i zawroty głowy, wręcz się ucieszył.

- Cierpisz na zespół Stendhala! - zawołał, tłumacząc, iż zespół Stendhala jest znaną dolegliwością, spowodowaną nadmiernie intensywnym kontaktem ze zbyt wieloma dziełami sztuki.

- Wracamy do schroniska, gdzie spełnię każde twoje życzenie.

Lizzie wpatrywała się w niego.

- Kocham was, Masi - powiedziała cicho. Był to ich prywatny dowcip, a jednocześnie najprawdziwsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu powiedziała lub czuła.

- Nie, to ja was kocham, Li.

Dwa dni później wsiedli do pociągu do Wenecji, gdzie Masi pokazał Lizzie Ponte de Sospiri - Most Westchnień - i leżącą pod nim dawną izbę tortur. Pili campari w „Harry's Bar”, a Lizzie spędziła całe popołudnie, szkicując gołębice na Piazza San Marco. Ostatniego dnia w tym mieście odwiedzili wraz z

Masim olśniewającą katedrę Santa Maria Assunta na Torcello. W drodze powrotnej obejrzeliby wysepki Murano i Burano, po czym wsiedli na *vaporetto* płynące na Lido i długo siedzieli na plaży przed ogromnym hotelem, gdzie Tomasz Mann napisał *Śmierć w Wenecji*.

Po powrocie do Rzymu Lizzie i Masi wrócili na swoje uczelnie. Lizzie miała wrażenie, że stęskniony po całodziennym rozłące Masi jeszcze bardziej jej nadskakuje. Bardzo to dziewczynie pochlebiało, a jednak czasem czuła się przytłoczona. Ani razu nie pozwolił jej kupić jedzenia, zapłacić za posiłek w restauracji, ponadto już dawno temu nauczyła się, że nie należy rozmawiać z nim o swoich dawnych chłopakach. Kilkakrotnie Masi zjawił się nieoczekiwanie po wykładach w Istituto; raz bardzo się zachmurzył, widząc Lizzie zatopioną w rozmowie z kolegą, musiała więc przez całe popołudnie zapewniać go, że to tylko znajomy z uczelni. Miała wrażenie, iż Masiego pociąga jej niezależność, którą jednak zarazem pragnął stłumić i kontrolować.

- Co mam ci powiedzieć? To typowy włoski samiec. Ma swoje wady i swoje zalety - wyjaśniła jej kiedyś Donatella.

Jednak w miarę jak zajęcia w Istituto nabierały rozpędu, Lizzie przestała zawracać sobie głowę tymi problemami. Zdawało jej się, że jest starą wyjadaczką w dziedzinie konserwacji. Gdy po raz pierwszy ujrzała zestaw narzędzi używanych przez konserwatorów - rzędy skalpeli, mikroskopów i strzykawek, przywodzących na myśl gabinet chirurga - doznała wstrząsu, lecz teraz instrumenty te były dla niej niczym starzy przyjaciele. W pierwszym okresie studiów poznała podstawy retuszowania, ucząc się dobierać kolory i trzymać się konturu. Jak większość studentów, naukę zaczęła od akwareli, po czym profesorowie pozwolili jej przejść do farb olejnych. Teraz opanowała już warsztat dostatecznie, by pracować samodzielnie w terenie, na Palatynie i Forum, przy ratowaniu starych, kruszących się kamiennych sklepień. Opukiwała kamienie w poszukiwaniu kieszonek powietrznych, po czym wstrzykiwała w puste miejsca mleczny klej, zwany ladonem, i czekała, aż stwardnieje.

Masi był bardzo przejęty studiami Lizzie i wykorzystywał każdą przerwę w swoich zajęciach na Giulio cesarzo, aby obserwować ją przy pracy.

- To, co teraz robisz, jest częścią Rzymu - oznajmił pewnego dnia. -

Trochę cię zostanie tu na zawsze.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- To nie jest takie trudne, na jakie wygląda, Masi. Stajesz się melodramatyczny.

Pół roku później *professori* przydzielili jej do oczyszczenia pierwszy obraz olejny.

Było to spore, o wymiarach metr na półtora, płótno znanego flamandzkiego malarza Jana Halsy, wyobrażające papieża w czerwonej szacie, siedzącego w fotelu w ogrodzie. *Professore* ostrzegł Lizzie, by oczyściła jedynie niebo i obłoki, stanowiące tło postaci papieża, gdyż gdzie indziej werniks był zbyt kruchy, aby go dotykać, toteż przez pierwsze kilka miesięcy skrupulatnie trzymała się tych zaleceń, zwilżając śliną bawełniany pędzelek i pracowicie zmywając brud i osady stuleci. Wciąż nie potrafiła oswoić się z faktem, że ludzka ślina jest jednym z najlepszych środków konserwacji obrazów, a przecież profesorowie byli co do tego zgodni. „Doskonałe napięcie powierzchniowe - zapewniał ją jeden z nich z błyskiem w oku. - Znakomite właściwości enzymatyczne, szczególnie po obiedzie z dużą ilością czerwonego wina”.

Jedną z podstawowych zasad konserwacji dzieł sztuki głosi, iż jak najczęściej prace należy wykonywać przy naturalnym oświetleniu, więc Lizzie odruchowo otworzyła żaluzje, aby wpuścić światło z Via della Laguna. Kiedy wracała do sztalug, poczuła dziwny zawrót głowy, który sprawił, że musiała wesprzeć się o stół. Nie był to bynajmniej pierwszy raz; w ciągu ostatnich kilku tygodni wielokrotnie czuła się słabo w tych samych porach dnia, ponadto wciąż była głodna i bez względu na to, ile jadła, po dwóch godzinach znów zaczynała odczuwać szaleńczy apetyt. Przypisując dzisiejszą przypadłość faktowi, iż nie zdążyła zjeść śniadania, Lizzie podjęła swe pędzle i szmatki i zabrała się do

roboty. Przez następny tydzień codziennie pracowała nad niebem i obłokami i co dzień widziała poprawę. Kiedy skończyła, była pewna, iż wyglądają tak, jak wówczas, gdy namalował je Hals.

Skończyła zadanie po dwóch tygodniach, o wiele szybciej, niż się spodziewała, i wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Dlaczegoż nie miałyby oczyścić całego obrazu? Zapewne przyjdzie tu ktoś następny, kto będzie musiał zająć się resztą - papieżem, czerwoną szatą, majestatycznym fotelem - więc czemuż nie oszczędzić tej osobie zachodu? Nie zamierzała być arogancka, ale czyż nie udowodniła, że robi to bardzo wprawnie?

Lizzie wzięła następny patyczek, umocowała na jego czubku kawałek bawełny i zaczęła delikatnie pocierać twarz papieża. Wyrzucając kolejne brudne waciki, była coraz bardziej przekonana, że postępuje słusznie. Zużywszy pół tuzina patyczków, zmyła papieski podbródek, zdjęła warstwę sadzy, która zebrała się wokół nosa, po czym zabrała się do oczu.

Kiedy lewe oko papieża zeszło z obrazu i znalazło się na bawełnianym waciku, Lizzie wrzasnęła.

Dwaj *professori*, słysząc hałas, wpadli do sali. Rzuciwszy okiem na obraz, spojrzeli wstrząśnięci na Lizzie, która nadal trzymała w dłoni patyczek z umazaną bawełnianą końcówką, i natychmiast przywołali trzeciego wykładowcę.

- *Mi dispiace, signore!* - powtarzała w kółko Lizzie. - Próbowałam tylko...

Nie mogła dokończyć, gdyż sama nie wiedziała, co próbowała zrobić. „Popisać się” - to były pierwsze słowa, jakie przychodziły jej do głowy. Udowodnić, że potrafi więcej, niż umiała naprawdę. Na zawsze zapamiętała słowa, jakich użyli professori: - *Idiota! Cretina! Scena! Ho detto che non dovemo permetterla di lavorare su quel quadro!* - i wzdorczywy gest swego nauczyciela, tego, który pierwszy pokazał jej, jak czyścić obrazy, a teraz potraktował ją jak nędzny pyłek.

Lizzie wybiegła z budynku, zalewając się łzami, nie widząc, dokąd zmierza. Lekkie mdłości, jakie odczuwała od dwóch tygodni, przybrały na sile, a rzymski upał, nadal uciążliwy mimo jesieni, sprawił, że jej mięśnie zwiotczały, jakby miała zaraz upaść. Zawiodła. Zmarnowała szansę.

Wyrzuca ją z Istituto i zhańbioną odeśłą z powrotem do Ameryki, a wszystko przez jej arogancję, nieposłuszeństwo, pragnienie pokazania, że potrafi oczyścić obraz lepiej niż ktokolwiek w grupie. Całkowicie zasłużyła na swój los, bez względu na to, jaki miał być.

Niewielu ludzi zauważyło potknięcie i upadek Lizzie - starszy pan z fajką, grupa pięciu czy sześciu włoskich chłopców, wyglądających na bardziej amerykańskich niż Amerykanie, oraz kilku handlarzy, którzy akurat zamykali swe sklepiki na przerwę obiadową. To właśnie chłopcy pierwsi wezwali *carabinieri*; gdy po dwóch godzinach Lizzie ocknęła się na szpitalnym łóżku, z czarnym mankietem aparatu do mierzenia ciśnienia na lewym ramieniu, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Przy jej łóżku siedziała pielęgniarka w średnim wieku, nadzorująca jej stan.

- Co mi się stało? - zapytała po włosku oszołomiona Lizzie.

Łagodnie - i jak wspominała potem Lizzie, ciepło - pielęgniarka powiedziała jej, że zemdląca na ulicy i rozcięła sobie niegroźnie czoło, że ciśnienie krwi niebezpiecznie jej spadło (choć teraz już jest stabilne) oraz - najlepsza wiadomość (na wypadek, gdyby o tym nie wiedziała) - że ona, Lizzie, jest *incinta*, w ciąży. Pielęgniarka patrzyła na nią, szeroko uśmiechnięta.

- Sześć albo siedem tygodni. Letnie dziecko.

Pielęgniarka, która całą piątkę dzieci urodziła w lecie, mogła, dzięki Bogu, na weekendy uciekać w góry, gdyż trzeci trymestr ciąży w Rzymie o tej porze - brrr, lepiej o tym nie myśleć. Jej radość i jawne podniecenie wzruszyły Lizzie i przedarły się przez jej szok i niedowierzanie. Nie miała pojęcia, że jest w ciąży, ale nagle wszystko stało się jasne: niedawne zawroty głowy, osłabienie, zmęczenie, wilczy apetyt.

Poprosiła o telefon, po czym zadzwoniła do Masiego, na uczelnię. Odebrała sekretarka wydziału i po niemal dziesięciu minutach oczekiwania Lizzie usłyszała zdyszany głos:

- *Pronto.*

Masi był zdumiony i zachwycony, że Lizzie dzwoni do niego w środku dnia, dopóki nie dowiedział się, że leży na. izbie przyjęć w szpitalu Gemelli.

- Co się stało? - zawołał. Lizzie zawahała się.

- *Sono incinta, Masi* - powiedziała wreszcie. - Pielęgniarka mówi, że dziecko urodzi się latem przyszłego roku.

Przez dłuższą chwilę Masi milczał. Świadoma kapryśków włoskiej telefonii, Lizzie przez moment niepokoiła się, że zostali rozłączeni. Ale potem znów usłyszała jego głos.

- Li, jestem naprawdę wstrząśnięty - oznajmił Masi. - Nie wiem, doprawdy nie wiem, co powiedzieć.

- A może mi pogratulujesz? - zapytała lekkim tonem, lecz on już odłożył słuchawkę.

Lizzie nie mogła w to uwierzyć. Dziecko - dziecko jej i Masiego. Często przecież rozmawiali o dzieciach, o założeniu rodziny i o tym, że Lizzie nie wróci już do Stanów, tylko zostanie w Rzymie po ukończeniu studiów. Teraz, leżąc w szpitalnym łóżku, nie mogła powstrzymać się od fantazji na temat ich wspólnego życia; Masi z powodzeniem prowadziłby galerię sztuki, ona przez kilka lat wychowywałaby dziecko, po czym wróciłyby do konserwacji, jeździłoby ze Stanów do Włoch i z powrotem z uroczym chłopczykiem, imieniem Flavio lub Ulysse - no, może niekoniecznie Ulysse - albo dziewczynką imieniem Patrizia.

Po chwili jednak uświadomiła sobie, że są to po prostu idiotyczne mrzonki. Rzeczywistością byłoby zapewne ciasne mieszkanie (być może nawet musieliby na jakiś czas zamieszkać z rodziną Masiego), dwoje młodych, nieprzygotowanych do wychowywania potomka rodziców i niekończące się

zabieganie o pieniądze. Może zresztą nie urodziłaby dziecka lub po urodzeniu oddałaby je do, adopcji? Ta myśl natychmiast zgasła jej radość.

Ale właściwie czego chciała? Nie wiedziała. Analizując ostatnich kilka lat, zrozumiała nagle, że wędrowała od jednego momentu bezradności i wahania do następnego. Najpierw, jako cudzoziemka, znalazła się w obcym kraju, którego języka nie знаła. Potem zaczęła od zera uczyć się konserwacji, łączącej w sobie cechy sztuki, rzemiosła i nauki. W końcu poznała mężczyznę, którego pokochała bardziej niż kogokolwiek w życiu, który jednak uparł się, by mieć wpływ na większość jej decyzji. Gdzie w tym wszystkim była ona, Lizzie?

Wróciwszy do domu wieczorem, znów zadzwoniła do Masięgo.

- Byłem już prawie za drzwiami - powiedział, ona zaś w jego głosie usłyszała coś, co sprawiło, iż pomyślała, że pił. Dziwne - Masi bardzo rzadko to robił, gdyż mimo obfitości wina i mocniejszych trunków nadmierne picie we Włoszech nie było dobrze widziane. - Zadzwonię do ciebie później, wtedy porozmawiamy.

Odmówiła Donatelli, która namawiała ją na kolację z przyjaciółmi, i przez cały wieczór czekała przy telefonie, ale na próżno. Masi nie zadzwonił, a następnego ranka jego numer był zajęty przez cztery godziny bez przerwy. W końcu po południu Lizzie złapała go w mieszkaniu rodziców.

- Muszę koniecznie się z tobą zobaczyć - oznajmiła.

- Znalazłem adres lekarza od skrobanek - rzekł Masi cicho. - Na Zatybrzu.

Lizzie poczuła się jak ogłuszona. Istotnie, urodzenie dziecka w tej chwili nie miało sensu, nie teraz, gdy kończyła studia w Istituto, a Masi był na ostatnim roku Giulioesaro. Ale fakt, że podjął już za nią decyzję, bardzo ją rozgniewał.

- Nie sądzisz, że powinniśmy najpierw to omówić? - zapytała. Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że mówi po angielsku, zupełnie jakby odzyskała tożsamość, którą utraciła po przyjeździe do Rzymu. - Czuję się trochę zagubiona, Masi - ciągnęła. - Naprawdę sądzę, że musimy porozmawiać.

Słyszała jego urywany oddech w słuchawce.

- Nie za bardzo rozumiem twój angielski.
- Musimy ze sobą porozmawiać - powtórzyła, wracając do włoskiego.
- Przecież rozmawiamy. Właśnie teraz.
- Nie, nie. Osobiście.
- Świetnie. - Lizzie nigdy przedtem nie słyszała u niego tak szorstkiego tonu. - Gdzie się spotkamy?

Umówili się tego samego dnia o wpół do piątej na Piazza Navona. Lizzie przyszła wcześniej i przysiadła na Fontana dei Fiumi, czując podniecenie i lekkie mdłości. Gdy ujrzała nadchodzącego Masię, załapała ją fala ulgi. Przytuliła się do niego, lecz jego ramiona były dziwnie sztywne, a całe zachowanie powściągliwe, na pograniczu smutku. Z początku oboje unikali tematu, który ich tu sprowadził, i rozmawiali o głupstwach - o utrzymującej się dusznej i pochmurnej pogodzie, o decyzji Donatelli, by zamieszkać ze swoim chłopakiem, który studiował medycynę w Mediolanie - lecz w końcu Masi przerwiał tę grę.

- To co z tą ciążą, jak to się w ogóle stało?
- Nie mam pojęcia - odparła Lizzie. - Może przybysz z obcej planety nawiedził mnie nocą. - Widząc jednak, że Masi się nie śmieje, dodała: - A jak ci się zdaje?

- Nie wiem, ty mi powiedz. Byłaś z jakimś innym facetem?

Patrzyła na niego, wstrząśnięta.

- Żartujesz, prawda?

- Byłaś?

- Nawet nie odpowiem na to pytanie.

Zmarszczył brwi, lecz kiedy dotknęła jego policzka, ku jej zdumieniu wzdrygnął się.

- Oczywiście, że nie. Jesteś jedynym mężczyzną, z którym byłam.

- I uważałaś?

- Tak. - Zawsze starali się zabezpieczać. - Ale nie podoba mi się, że sugerujesz, że tylko ja za to odpowiadam. - Urwała nagle. - Dlaczego się kłócimy? - zapytała. - Ani trochę się nie cieszysz?

- Skoro chcesz, żebym skłamał, dobrze, skłamię. - Jego twarz złagodniała. - Oczywiście, wiesz, że cię kocham i jestem szczęśliwy, wiedząc, że nosisz moje dziecko. Z tego akurat bardzo się cieszę.

- Naprawdę? - Lizzie przerwała mu, uradowana, lecz widząc, że znów zeszywniał, poczuła się głupio.

- Ale czy chcę, żebyś teraz, w tej chwili urodziła dziecko? - ciągnął Masi. - Z pewnością nie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Jej pytanie nagle go rozwścieczyło. - Dlaczego? Dlaczego? Z tysiąca powodów! Czemu nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy? Mamy po dwadzieścia dwa lata! Jesteśmy za młodzi! Chciałbym przeżyć jeszcze mnóstwo rzeczy, zanim wdepnę na dobre w kupę wrzeszczących bachorów! Najpierw chcę zrobić karierę! Nie myślę na razie o założeniu rodziny! Chyba nie mówisz poważnie, prawda? - Zbliżył twarz do Lizzie, która po raz pierwszy poczuła lęk. - Jestem wyznawcą maksymy: *Il mondo e fatto a scale; c'e chi scende e c'e chi sale*. - I przetłumaczył ją na angielski: - Świat jest jak schody: jedni nimi wchodzą, a drudzy schodzą. - Niemal wypluł z siebie ostatnie zdanie: - Gdybym miał teraz dziecko, to zacząłbym schodzić.

Wyraz twarzy Lizzie musiał odzwierciedlać jej ból i rozczarowanie, gdyż Masi pokręcił gwałtownie głową i krzyknął:

- Nie! Nie! - zwracając uwagę przechodniów na Piazza, którzy patrzyli na nich, jak na aktorów spektaklu ulicznego. - Nie będę zakładnikiem bachora! Nie zniszczę sobie życia dlatego, że jakaś kobieta nie chce być realistką i upiera się, żeby urodzić dziecko, chociaż sama jest jeszcze dzieckiem!

- Masi, porozmawiajmy o tym spokojnie, bez hysterii! - błagała rozpaczliwie Lizzie. - Wciąż mówisz, że dziecko zniszczy ci życie, ale przecież

nie zrobiłam go sobie sama! I, na litość boską, przestań wciąż podejmować za mnie decyzje!

- Nie ma o czym mówić. Już powiedziałem. Mam adres lekarza na Zatybrzu. Jest dyskretny i nie bierze drogo. Umówiłem cię na przyszły wtorek. Zrobisz, co ci każę!

- Co mi każesz? - zapytała Lizzie z niedowierzaniem. - Za kogo się uważasz, za mojego ojca? Traktujesz mnie jak małą dziewczynkę!

- Bo zachowujesz się jak głupia, mała dziewczynka. Lizzie nie ustępowała.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli urodzę...

Masi przerwał jej brutalnie, wyraźnie wymawiając każde słowo, jakby mówił do dziecka:

- *Questo ti dico molto chiaro: se decidi di continuare questa gravidanza, non voglio mai piu vedere ni te ni bambino.* Rozumiesz?

Dobrze to czy źle, Lizzie opanowała już na tyle włoski z jego niuansami i żywiołową intonacją, że doskonale zrozumiała, co powiedział Masi.

Mówię ci, że jeśli urodzisz to dziecko, nie chcę już nigdy widzieć ani ciebie, ani jego. Rozumiesz?

Lizzie skinęła głową potakująco. O tak, rozumiała doskonale. Kiedy Masi odchodził, rozplakała się.

W czwartek rano wiedziała już, co ma robić, lecz musiała najpierw wrócić do Istituto i stawić czoło konsekwencjom zniszczenia obrazu Halsy. Kiedy przechodziła przez hol w drodze na poranny wykład, podszedł do niej jeden z *professori*, ten sam, który tak żywo gestykulował w zdenerwowaniu.

- *Professore, mi dispiace...* - zaczęła Lizzie, lecz on przerwał jej, rozradowany i podniecony:

- *Ma che genio! Mi pare incredibile che sapeva che cosa ci sia sotto'l occhio!*

- Nie rozumiem - powiedziała Lizzie.

Otoczyli ją inni profesorowie, trajkocząc z ożywieniem po włosku. Jeden z nich wziął ją za rękę i poprowadził do laboratorium, gdzie rozpięty na stole widniał portret papieża.

- *Ma che genio!* - powtórzył pierwszy profesor i wskazał na twarz dostojnika.

Tam gdzie Lizzie usunęła rzekomo trzystuletnią warstwę farby, popełniając, jak sądziła, najgorszy błąd swego życia, widniało oko, o którego istnieniu nie wiedziała, gdy zaczynała pracę nad obrazem. Było ono zapewne ukryte pod warstwą farby, którą niechcący zmyła. Wpatrywała się z niedowierzaniem w twarz papieża, a tymczasem *professori* nie przestawali jej wychwalać. Jaką przysługę oddała Istituto dei Restauro! Jak przenikliwie rozpoznała, iż oko, które usunęła, było w istocie dziełem jakiegoś poprzedniego, nieudolnego konserwatora, *cretino, idioto*, który źle wykonał retusz! Teraz wszyscy mogą zobaczyć, jak wyglądało oko namalowane przez Halsę!

Owego popołudnia Lizzie odbyła rozmowę z dyrektorem Istituto w przestronnym, słonecznym gabinecie. Siedziała w wyściełanym skórzanym fotelu, nieuważnie słuchając komplementów - jaka to ona, Lizzie, jest niezwykła, jak intuicyjnie rozumie barwę i fakturę obrazu, jaką doskonałą koordynacją odznaczają się jej oko i ręka - to to samo, co absolutny słuch u muzyka. Lizzie teraz już świetnie rozumiała, co dyrektor mówił swoją szybką włoszczyzną:

- Chciałbym zaproponować pani posadę w naszym Istituto, na pełnym etacie. Pomagałaby pani studentom pierwszego i drugiego roku.

Lizzie długo nań patrzyła.

- Jestem zmuszona panu odmówić, *signore* - odparła w końcu płynnie po włosku. - Wracam do domu, do Stanów Zjednoczonych. Jestem w ciąży i latem przyjdzie na świat moje dziecko.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Sarah skończyła opowiadać historię związku jej matki z Masim, Patrizia długo siedziała jak ogłuszona, z walącym nierówno sercem. Targało nią tak wiele uczuć, że nie potrafiła ich opanować, więc po prostu zapadła się w poduszki kanapy. Kiedy słuchała opowieści, czuła podniecenie i niepokój, lecz teraz, po jej zakończeniu, bolał ją brzuch, a w głowie coś pulsowało. Przez kilka minut milczała, wciąż pełna niedowierzania, świadoma jedynie, że Sarah znów podjęła opowiadanie.

- A więc Lizzie, twoja matka, wróciła do Stanów - ciągnęła cicho matka chrzestna - i siedem miesięcy później, dwudziestego czwartego sierpnia, urodziłaś się ty, Patrizio. Chciałabym teraz powiedzieć ci coś niezwykle ważnego, o czym nie powinnaś nigdy zapominać. W całym swoim życiu nie widziałam równie upragnionego i kochanego dziecka. Dla swojej matki byłaś największym darem. Mając taką córkę jak ty, czuła, że spotkało ją najwyższe szczęście.

- Dlaczego nie podjęła pracy w zawodzie? - zapytała Patrizia po chwili, chociaż z góry znała odpowiedź.

- No cóż, sądziła, że bez względu na to, jak bardzo kocha Włochy i pracę nad obrazami, wychowanie dziecka jest najważniejszą rzeczą na świecie. - Sarah się uśmiechnęła. - Nie było to dla niej łatwe - kobiecie nigdy nie jest łatwo - ale zawsze mówiła, że jeśli schrzani się wychowanie dziecka, nie ma nic gorszego.

Ciche bohaterstwo matki, jej wieloletnie poświęcenie, którego pewnie nawet za poświęcenie nie uważała - wszystko to wstrząsnęło Patrizią. Lizzie zaproponowano pracę we Włoszech, w czołowym instytucie, zajmującym się konserwacją dzieł sztuki, a ona odmówiła i wróciła do Ameryki, aby urodzić dziecko, dać życie jej, Patrizii.

Sarah ciągnęła opowieść. Lizzie zamieszkała w domu rodziców - dziadków Patrizii - którzy pomogli jej wychowywać dziecko. A ponieważ poza

dużymi miastami nie było dorywczej pracy dla konserwatorów sztuki, Lizzie zaś nie chciała, by jej dziecko mieszkało w mieście, pomimo swych wysokich kwalifikacji podjęła pierwszą pracę, jaką jej zaproponowano, posadę sekretarki na wydziale psychologii pobliskiego uniwersytetu. Po śmierci dziadków Patrizii Lizzie udało się zebrać dość pieniędzy, by wpłacić pierwszą ratę na mały domek o kilka przecznic od jej domu rodzinnego, dokąd przeprowadziła się z Patrizią, kiedy ta miała cztery latka.

- Jak to się mówi, reszta jest historią - zakończyła Sarah, usiłując wprowadzić nieco lżejszą atmosferę.

- Więc przed wyjazdem z Rzymu już się nie widziała z Masim?

- Nie. Kiedy się dowiedział, że nie zjawiła się u lekarza na Zatybrzu, tak jak ostrzegał, całkowicie zerwał kontakt z twoją matką. - Sarah uśmiechnęła się kwaśno. - Nie można powiedzieć, by nie dotrzymywał słowa. Dzwoniła do niego kilkakrotnie na uczelnię, przekazywano mu wiadomość, ale nie odezwał się. Jego rodzina też wiele nie pomogła, nawet kiedy Lizzie tam poszła. Tamci uznali, że jest głupią amerykańską dziewczuchą, przez którą Masi ma kłopoty, choć było akurat na odwrót.

- Czy kontaktowała się z nim po moich narodzinach?

- Owszem, przesłała mu zawiadomienie - rzekła sucho Sarah i dodała: - Osobiście sądziłam, że to lekka przesada, ale z uporem twierdziła, że pewnie chciałby wiedzieć, jakiej płci jest dziecko. Więcej już się do niego nie odezwała. Ze względu na ciebie i na nią samą, jak sądzę. To było dla niej zbyt bolesne...

- Więc po co mnie urodziła? - zapytała Patrizia ku własnemu zaskoczeniu.

- Po co? - Sarah zamyśliła się. - To były lata siedemdziesiąte. Każdy robił, co chciał. Twoja matka zakochała się w samej myśli, że będzie cię mieć. A im mniej ta myśl podobała się Masiemu, tym bardziej stanowczo Lizzie pragnęła ją zrealizować. Przynajmniej tak mi powiedziała. - Zamilkła. - Sądzę, że nie mówiła z tobą o Masim, gdyż nie chciała sprawić ci bólu. Wiem, że teraz, być może, trudno to zrozumieć, ale kiedyś będziesz miała własne dziecko...

- Czy zakochała się ponownie?

- A jak sądzisz? - Sarah westchnęła. - Spróbuj to zrozumieć. Masi był pierwszą, wielką miłością twojej matki. Może trochę idealistycznie uważała, że skoro już nigdy nikogo tak nie pokocha, to nie ma sensu próbować. - Zamilkła. - Co nie znaczy, że była zakonnicą, jak zapewne ci wiadomo, ale chyba nigdy nie spotkała nikogo, kto by mu dorównywał. Wiem, że niełatwo w to uwierzyć po tym, co ci powiedziałam, jednak... - Nie dokończyła myśli.

Po chwili milczenia Patrizia wstała chwiejnie z kanapy.

- Zrobię coś do picia. Zaraz wracam.

W kuchni wypła duszkiem kilka szklanek wody, przyglądając się swemu odbiciu w nierdzewnej stali kuchenki. Nie powodowała nią próżność - szczerze mówiąc, wyglądała okropnie i bardzo mizernie; nic dziwnego, zważywszy na to, ile płakała przez ostatnie dwa tygodnie - chciała jedynie upewnić się, że jeszcze fizycznie istnieje. Naprawdę męczyło ją ogromne pragnienie, ale czuła także, że nie wytrzyma ani chwili dłużej w tamtym pokoju, gdzie nadal unosiły się mroczne echa historii opowiedzianej przez matkę chrzestną. Musiała się ruszyć, otrząsnąć z myśli, które kłębiły się w jej głowie.

Po chwili znalazła się przed niewielką półką na książki, gdzie przez wszystkie te lata przechowywały fotografie Masiego.

- Włóżmy je do włoskiej książki kucharskiej - powiedziała kiedyś matka z figlarnym błyskiem w oku. - W ten sposób zawsze będziemy pamiętać, gdzie leżą.

Patrizia otworzyła książkę kucharską, odszukała oba zdjęcia, metodycznie je podarła i wyrzuciła do śmieci.

Po wyjeździe Sarah do Chicago podniecenie, jakie odczuwała, wiedząc, iż jej ojciec żyje, mieszka w Rzymie i usiłował się z nimi wielokrotnie skontaktować, zastąpiła złość na matkę. Przez tyle lat Patrizia bezskutecznie dopytywała się, czy ojciec nie próbuje ich odnaleźć, a Lizzie zawsze odpo-

wiała przecząco! Kiedy pytała, dlaczego nie, nigdy właściwie nie uzyskała odpowiedzi, choć kiedyś matka powiedziała jej:

- Wiesz, kto to jest narcyz? To człowiek, który myśli tylko o sobie, ktoś, kto nie potrafi myśleć o innych.

- Ale co to ma do rzeczy? - dopytywała się Patrizia, matka jednak natychmiast zmieniała temat.

Co chciała przed nią ukryć? Że przez te lata Masi mimo wszystko o nich myślał? Że chciał zapewnić dobrobyt swemu dziecku, jak również jego matce? Dlaczego Lizzie nie zrealizowała żadnego czeku od niego? Czyżby jej duma i poczucie krzywdy były aż tak wielkie?

Patrizia czuła, że nie ma racji, gniewając się na matkę, którą kochała nade wszystko i za którą wciąż tęskniła. Przeniosła więc swój ból i wściekłość na ojca. Masi, ojciec - jedyny ojciec, jakiego miała - nie chciał jej. To było takie proste, a jednocześnie takie okrutne. Pieniądze - ojciec przysyłał jej pieniądze, podczas gdy Patrizia dałaby wszystko za odrobinę jego uwagi, zainteresowania, za jego fizyczną obecność. Przez następnych kilka tygodni spędzała długie godziny, próbując analizować własne uczucia, lecz nie znalazła odpowiedzi na zadawane sobie pytania. Przecież Masi tak naprawdę jej nie odrzucił, czyż nie? Alboż można odrzucić kogoś, kogo się nie poznało? Kogoś, kto się jeszcze nie urodził, lecz kto zagraża życiu, karierze człowieka, zanim ta jeszcze się zaczęła?

Il mondo e fatto a scale; c'echi scende e c'echi sale.

Świat jest jak schody: jedni nimi wchodzą, a drudzy schodzą.

Patrizia nie mogła przestać myśleć o tych słowach i wiedziała, że nigdy ich nie zapomni.

Przed wyjazdem Sarah, z trudem powstrzymując płacz, uściskała córkę chrestną mocno. Potem długo patrzyła jej w oczy.

- Jestem pewna, że zrobisz to, co należy - powiedziała.

Kilka tygodni później Patrizia dowiedziała się, że otrzymała z uniwersytetu rentę po matce, co ułatwiło dziewczynie decyzję, choć gdy później

o tym myślała, nie była pewna, kiedy właściwie dojrzał jej plan. Być może stało się to wówczas, gdy Sarah pokazała Patrizii listy od ojca, a może w kuchni, kiedy oglądała jego fotografie przed ich podarciem i wyrzuceniem do kubła na śmieci. A może podjęła decyzję po kilku dniach, gdy blakając się po domu, w którym się wychowała, nagle poczuła gniew tak wielki, że musiała usiąść, obezwładniona siłą swych emocji.

Wielokrotnie powracała do czerwonej torby podróżnej, do listów zwykłych i lotniczych, pisanych zaskakująco poprawną angielszczyzną. Pewnego wieczoru otworzyła jeden z nich i przeczytała:

Droga Elizabeth (uwagę Patrizii zwróciło oficjalne „Elizabeth” zamiast czulego zdrobnienia „Li”). W ciągu ostatniego półrocza to już mój czwarty list do Ciebie, który pozostaje bez odpowiedzi. Czy żądam zbyt wiele, prosząc, byś zrealizowała czeki, wysyłane przecież dla dobra Twojego i naszego dziecka, które powinno otrzymać przyzwoite wykształcenie? Czy żądam zbyt wiele, prosząc, byś udzieliła mi choćby najmniejszej informacji o nim?

W podpisie widniała litera M, przekreślona gniewną czarną kreską, przypominającą strzałę w cięciwie łuku.

Inny list, zawierający czek na pięć tysięcy dolarów, oznajmiał zwięźle:

Nawet jeżeli nie odpowiesz na ten list, proszę, załóż naszemu dziecku konto i zachowaj dla niego te pieniądze na przyszłość.

Wydawało się, że milczenie Lizzie jeszcze bardziej rozbudzało upór Masiego w usiłowaniach, by się z nią porozumieć. Ostatni czek, jak znalazła Patrizia, datowany na szóstego lutego, był sprzed dwóch lat.

Droga Elizabeth - zaczynał się towarzyszący mu list. - Twoje milczenie i kolejna informacja z banku, że żaden z czeków, które Ci przesłałem, nie został zrealizowany, powoduje, iż nie będę od tej chwili próbował skontaktować się z Tobą. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, podaję Ci mój adres w Rzymie.

Kilka tygodni później Lizzie uporządkowała sprawy swojej matki i poleciała do Nowego Jorku. Tam powiadomiła Holly, właścicielkę galerii, że

bierze urlop, powiedziała Lucy, by poszukała sobie innej współlokatorki, i uprzedziła Erica, iż wyjeżdża na dłuższy pobyt do Europy.

- W ten oto taktowny sposób informujesz mnie, że nie chcesz się już ze mną widywać? - zapytał Eric, kiedy jedli obiad w pizzerii nieopodal mieszkania Patrizii.

- Daj spokój, nie wygłupiaj się - odparła Patrizia. Wiedziała, że będzie tęsknić za Erikiem, ale uwierzyła ją nieco świadomość, iż właściwie nie brała go pod uwagę, decydując się na wyjazd za granicę.

Przy tych nielicznych okazjach, kiedy rozmawiali o swoim związku, było jasne, że Eric uwzględnia ją w swoich planach, Patrizia natomiast nie była pewna, czy jej przyszłość obejmuje także i jego. Nie chodziło bynajmniej o Katie - Eric z upodobaniem określał Patrizię i swoją córkę łącznie jako „towarzystwo wzajemnej adoracji”. Nie, chodziło raczej o to, iż Patrizia marzyła o czymś więcej niż narzeczony, któremu największą przyjemność sprawia poprawianie prac uczniów, oglądanie starych filmów z wypożyczalni na parterze i zamawianie na wynos chińskich i meksykańskich potraw. Jednocześnie wiedziała jednak, że tysiące kobiet w Nowym Jorku chciałyby mieć to, co ona - uroczego, wesołego, zabezpieczonego finansowo mężczyznę, który ma dobrą pracę i kocha dzieci.

- Kiedy zamierzasz wrócić?

- Nie wiem - odparła Patrizia. - Pewnie za miesiąc. - Zamilkła. - Eric, nigdy nie byłam w Europie. Ale ona jest we mnie, na dobre i na złe.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz znała swój numer telefonu?

- Tak.

- Słowo honoru?

- Obiecuję.

Następne tygodnie były pełne zamętu. Patrizia załatwiła umieszczenie swoich mebli w przechowalni w New Jersey, podarowała ulubiony fikus galerii (Lucy miała dwie lewe ręce do roślin), przedłużyła ważność paszportu i bez

końca wisiała na telefonie, usiłując wycofać swoje nazwisko z rachunków za gaz, prąd i telewizję kablową, które dotąd opłacała razem z Lucy.

- O Boże - jęknęła jej współlokatorka w pewnej chwili. - Skąd ja wezmę drugą taką normalną dziewczynę? Pewnie trafi mi się jakaś wariatka, która nienawidzi dymu z papierosów.

W jasny, wietrzny poranek sierpniowy, gdy temperatura wynosiła około 20° Celsjusza - idealna pogoda do latania, jak powiedziała urzędniczka przy bramce - Patrizia Orman wsiadła do samolotu linii Alitalia na międzynarodowym lotnisku Johna Fitzgeralda Kennedy'ego w Nowym Jorku, aby po ośmiu godzinach wylądować na rzymskim lotnisku Leonarda da Vinci.

Po raz czwarty lub piąty tego dnia przyszło Patrizii do głowy, że niemal dokładnie podąża śladami matki.

Gdy wymięta i wyczerpana wysiadła na ogromnym lotnisku w Rzymie, panujący tam upał sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Zabrała bagaże z obracającej się powoli karuzeli i nie mogąc odszukać w pamięci włoskiego słowa „wyjście”, ruszyła za tłumem ludzi, którzy wydawali się zmierzać w stronę ruchomych schodów.

Według przewodnika po Rzymie, który Patrizia przed wyjazdem wepchnęła do torebki, pociągi z Fiumicino do położonego w centrum Stazione Termini odjeżdżały co godzina. Lecz gdy dotarła na peron i zaczęła studiować rozkład jazdy, zauważyła, że tłum wokół niej faluje w zdenerwowaniu, stojący natomiast na peronie pociąg jest pusty i ciemny. Jakiś mężczyzna bez przekonania walił w drzwi wagonu, a ludzie wokół mieli pełne niesmaku i zirytowane miny. Patrizia usłyszała męski głos, mówiący po angielsku niemal pogodnie:

- Kolej strajkuje. Tutaj wciąż się to zdarza.

Prawie godzinę później wsiadła razem ze wszystkimi do autobusu jadącego do centrum Rzymu.

Podróż była długa i męcząca. W autobusie panował upał; kierowca już na początku oznajmił, że klimatyzacja nie działa, wzruszając przy tym ramionami, jakby chciał powiedzieć: Tak bywa. Patrizia odpięła guzik bluzki pod szyją, a gdy to nie przyniosło ulgi, zaczęła się wachlować paszportem. Nowy Jork tuż przed jej wyjazdem też był okropny - duszny i cuchnący od gorącego wiatru, który wiał od rzeki Hudson, wzbijając tornada śmieci na ulicach - lecz Patrizia nigdy nie czuła tak dławiącego upału jak tutaj. Oto Rzym latem - a przecież ostrzegały ją przed tym pożyczone z biblioteki przewodniki.

Autobus nabierał prędkości. Patrizia sprawdziła, czy ma wszystkie bagaże. Starła się pakować rozważnie, zabierając ze sobą jedynie najpotrzebniejsze rzeczy; oczywiście nie tylko garderobę na różne pory roku - nie miała pojęcia, jak długo zostanie we Włoszech - ale także małe sztalugi, a poza tym pędzle i tuby farby olejnej. Pod swetrami ułożyła kilka przyciętych płócien, pudełko z pinezkami i przenośny zestaw akwareli. Teraz, uspokojona, że nic nie zaginęło ani nie zniszczyło się w podróży, skupiła się ponownie na problemie, który nurtował ją od kilku miesięcy:

Czy przyjeżdżając tutaj, nie popełniłam strasznego błędu?

W końcu, upomniała się surowo, zawsze, w każdej chwili może wsiąść do autobusu jadącego z powrotem na Fiumicino i kupić bilet lotniczy Stanów. Tyle że w Nowym Jorku nie czekało jej nic i nikt oprócz Erica - sama się o to postarała. W istocie bezwiednie zaplanowała swoje życie w taki sposób, że dalszy pobyt w Nowym Jorku stał się prawie niemożliwy. Trzęsąc się w autobusie wjeżdżającym na autostradę, poczuła przyływ determinacji, pomieszany ze znajomym gniewem, który towarzyszył jej niemal bez przerwy od dwóch miesięcy. Tak, niewątpliwie zrobiła dobrze, przyjeżdżając tutaj. Po usłyszeniu historii Lizzie i Masiego nie mogła postąpić inaczej. Było zbyt wiele pytań, na które chciała znaleźć odpowiedź, a jedyny człowiek, który mógł jej udzielić, mieszkał tu, w Rzymie, spędził w tym mieście całe swoje życie.

- Mój ojciec - mruknęła Patrizia do siebie, jednakże dostatecznie głośno, by mężczyzna obok niej na chwilę przerwał rozmowę przez telefon komórkowy i spojrzał na nią ciekawie. Słowa te w jej ustach miały obcy dźwięk. Mój ojciec.

Omawiając z Erikiem podróż do Europy, Patrizia nie wdawała się w szczegóły, po trosze dlatego, że sama nie była całkiem pewna, jakie są motywy jej wyjazdu.

- Jestem malarką - powiedziała mu. - Jeżeli człowiek interesuje się sztuką i ani razu się nie wybierze do Europy, to coś jest z nim nie w porządku.

Ma zamiar zacząć od Włoch, oznajmiła, a potem... no cóż, sama dobrze nie wie.

- Może odszukasz swego ojca, kiedy już tam będziesz - rzucił lekko Eric.

- Właśnie - odparła z uśmiechem Patrizia.

Czuła się nieswojo na myśl, że miałyby powiedzieć mu prawdę.

Wiedziała, że gdyby poznał jej zamiary, zapewne byłby zaszokowany i trochę rozczarowany. Mogła sobie wyobrazić, co by powiedział: „Myślałem, że cię znam, ale okazuje się, że się myliłem”. Lecz kiedy samolot podchodził do lądowania, Patrizia uświadomiła sobie, że to nie Eric wymawiał te wyobrażone słowa, lecz ona sama. To była prawda. Mając dwadzieścia dwa lata - tyle, ile jej matka, gdy wyjechała na studia do Włoch - wciąż nie znała samej siebie.

Patrizia, którą znała - zdystansowana, lękliwa, niepewna, nieufna wobec mężczyzn, w pewien sposób nawet zablokowana - przestała jej się podobać. Nie była zła, nigdy nie uważała też, że jest mściwa lub podstępna. Ale teraz, ku własnemu zdumieniu, ogarnęło ją tak silne pragnienie sprawiedliwej zemsty, że wręcz się przestraszyła.

Również przed Sarah Bogan Patrizia nie przyznała się do swego zamiaru wyjazdu do Włoch. Wiedziała, że jej matka chrzestna w żadnym wypadku nie chciałaby, aby ją, Patrizię, spotkała jakaś krzywda. Ponadto Sarah z pewnością byłaby wstrząśnięta faktem, że jej naturalny odruch - pokazanie Patrizii pliku listów Masiego - uruchomił cały plan odwetu.

Co ja tu robię? - pytała siebie Patrizia. Odpowiedź, a przynajmniej ta jej część, którą powtarzała sobie w kółko, była prosta: leciała do Rzymu odnaleźć ojca. Lecz w tym punkcie kończyły się wszelkie podobieństwa do dziecięcych fantazji. Nie była już zainteresowana pojednaniem z ojcem. Nie była zainteresowana oglądaniem z nim fajerwerków na rufie wyimaginowanego jachtu. Pragnęła tylko sprawić mu ból, taki sam, jaki on zadał jej matce dwadzieścia dwa lata wcześniej. Zamierzała najpierw się z nim zaprzyjaźnić, a potem, kiedy Masi już jej zaufa, zdradzić go równie łatwo i zręcznie, jak cygańskie dzieci ongiś okradły jej matkę. Przynajmniej tyle była winna Lizzie i samej sobie.

Po śmierci matki, gdy Patrizia przez kilka tygodni wciąż powracała do czerwonej torby podróżnej oraz pliku listów z nadrukiem *officio postale*, zawsze zwracała uwagę na adres pod ostatnim listem - adres, który teraz mogłaby wyrecytować nawet przez sen:

Massimiliano Caracci, 31 Via Giulia, Roma 90039, Italia.

Trzy kwadransy później autobus zajeżdżał na parking przy Stazione Termini w centrum Rzymu i jego silnik zgasł z jękiem. Tłum wysiadających pasażerów wysypał się na chodnik i Patrizia udała się ich śladem, na drugą stronę Piazza dei Cinquecento, zatrzymując się po drodze jedynie przy kantorze, gdzie wymieniła dolary na liry.

O wpół do jedenastej przed południem Rzym już skwierczał pod wczesnosierpniowym słońcem. Woskowoblada powłoka cienkich chmur nad głową Patrizii zdawała się palić płyty pod jej stopami. Jednak pomimo wyczerpania poczuła wzbierającą w piersi falę podniecenia. Była w Rzymie, we Włoszech; była w mieście, gdzie jej matka zakochała się w jej ojcu i gdzie jej ojciec kochał jej matkę, przynajmniej przez jakiś czas. I choć splekany chodnik, na którym stała, wyglądał dokładnie tak samo, jak trotuar przed budynkiem, w którym mieszkała w Nowym Jorku, zdała sobie sprawę, że to włoski chodnik. Niebo nad jej głową było niebem Włoch, pędzące obok niej małe auta i skutery

były włoskimi autami i skuterami. Nigdy przedtem nie odwiedzała Włoch, ale Rzym wydał jej się dziwnie znajomy, nie tylko dlatego, że stanowił tło tysiąca filmów, jakie widziała w życiu. To miasto jest częścią mnie, uświadomiła sobie ze zdumieniem. W końcu jej ojciec był Włochem i jej korzenie tkwiły głęboko w Rzymie. Minęło ponad dwadzieścia lat od chwili, gdy jej rodzice spotkali się tutaj i zakochali w sobie, lecz miasto prawdopodobnie nie zmieniło się ani odrobinę, tylko po prostu nieco się postarzało.

Do *pensione* przy Campo dei Fiori Patrizia pojechała taksówką. W niewielkim, uroczym hotelu nie było windy, więc odebrawszy klucz w recepcji, wspięła się schodami do swego pokoju na czwartym piętrze, na każdym podejściu przystając, aby na chwilę odstawić ciężkie walizy, i pamiętając, że będzie dzielić łazienkę z innymi gośćmi. Ale nie miało to znaczenia, gdyż dotarwszy na drugie piętro, ujrzała przez okno rozległy, gwarny plac Campo dei Fiori, stragany z owocami i warzywami, ponury posąg Giordana Bruna, wąziutkie *vicoli*, czyli boczne uliczki, prowadzące do Tybru, po drugiej zaś stronie placu popularną, tłumnie odwiedzaną restaurację, zwaną po prostu „U Alfreda”, w której jakiś przedsiębiorczy lub po prostu mający szczęście kucharz lansował *fettuccine Alfredo*.

Patrizia umyła twarz i zęby, po czym mimo zmęczenia zeszła na dół i zapytała recepcjonistę, jak dojść na Piazza Navona. Wydawało jej się, że uczyni słusznie, natychmiast podążając na miejsce owej ostatniej, straszliwej rozmowy Lizzie i Masiego. Dwadzieścia minut później stała już przy pięknych Chiesa del Gesu i Chiesa di Sant'Ivo alla Sapienza, mając przed sobą Fontana dei Fiumi, Fontannę Czterech Rzek Berniniego, posągi czterech muskularnych kamiennych gigantów, do których jej matka wciąż powracała; tę samą fontannę, którą Lizzie usiłowała namalować dwadzieścia pięć lat temu, kiedy okradziona przez cygańskie dzieci, po raz pierwszy spotkała Masiego.

Przebywanie na realnym, rzeczywistym placu, który w pewien sposób przyczynił się do jej istnienia - i braku ojca - przyprawiło ją o dreszcz

niepokoję. A przecież nic na Piazza Navona nie przypominało przeszłości. Turyści tłoczyli się przy kawiarnianych stolikach, zagłębione w rozmowie pary przechadzały się pod rękę wokół placu, kilku chłopców na chodniku rzucało sobie czerwone kółko.

Niewinność rzymskiego poranka, skonstrastowana z ostatnią, jakże brutalną rozmową rodziców, którą opisała jej Sarah Bogan, wywołała w Patrizii przypływ oburzenia. Czy ojciec naprawdę sądził, że porzucenie matki jego dziecka ujdzie mu na sucho?

Powróciwszy różnym krokiem do pokoju w *pensione*, Patrizia przebrała się w nocną koszulę i natychmiast zasnęła. Obudziła się po siedmiu godzinach, czując, że w żołądku burczy jej z głodu, jednakże pamiętna informacji w przewodnikach, iż rzymskie lokale otwierane są na kolację o wpół do ósmej, wyszła z hotelu dopiero o dziewiątej wieczorem. Znalazła małą restauracyjkę tuż za rogiem Campo dei Fiori i urządziła sobie ucztę, zamawiając tosty z czosnkiem i plasterkami żółtych pomidorów, a jako danie główne - makaron wstążki z grzybami *porcini* i serem *romano*. Przy sąsiednim stole para otyłych Amerykanów spierała się o wybór potraw i Patrizia usłyszała, jak mężczyzna mówi:

- Kiciusiu, jesteśmy w Rzymie. Tutaj w kwestii jedzenia nie można się pomylić.

Marudząc nad kieliszkiem wina, zastanawiała się nad tym, co właściwie czuje - lęk, podniecenie, a może nawet lekką melancholię. W końcu jedyną osobą, której Patrizii brakowało przy stole, była Lizzie; matka, wróciwszy do Stanów, nigdy już nie pojechała do Europy. Obie często rozmawiały o tym, że chciałyby kiedyś razem się tam wybrać, załatwić sobie okrężny bilet kolejowy i podróżować z miasta do miasta bez ustalonego z góry planu. Ale zawsze brakowało na to pieniędzy albo czasu. Musiały im wystarczyć krótkie wypadki samochodem do Kanady do Yosemite, do Chicago, do Muzeum Sztuki w Clevelandzie oraz do Galerii Narodowej w Waszyngtonie.

Kiedyś matka planowała nawet wycieczkę do Florencji, ale w ostatniej chwili coś jej wypadło i musiała ją odwołać. Aby złagodzić rozczarowanie Patrizii, urządziła wtedy imprezę, którą nazwała wieczorem włoskim.

Patrząc na śnieg, miękko padający w zimną, środkowoamerykańską noc, Patrizia i jej matka siedziały w kuchni, jadły *risotto milanese* i słuchały pojękiwań piosenkarki nazwiskiem Patti Prado, dobiegających z gramofonu. Nieco później Lizzie ni z tego, ni z owego oznajmiła, że urządza noc paryską, i nim upłynęła godzina, obie, ubrane w idiotyczne berety, tańczyły w salonie przy wtórze piosenek Juliette Greco i Serge'a Gainsborough. Ostatnia w serii była noc londyńska, której główną atrakcją stanowiła smażona ryba z frytkami, pokropiona octem i podana na kolumnie gospodarczej „Chicago Tribune”.

„Ale pamiętaj - powtarzała Lizzie - że takie namiastki nie zastąpią ci wszystkich tych miejsc. To tylko moje wygłupy”.

Jednakże w pewien sposób matka i dziś była przy niej. Czyż nie brała udziału w restaurowaniu tego miasta? Czyż nie pomogła odtworzyć fragmentu Forum? Czyż kamienie na Palatynie nie nosiły śladów jej pracy?

Patrizia uniosła w niemym toaście kieliszek w stronę ciemnego okna trattorii.

- Twoje zdrowie, mamó - szepnęła. - W końcu dojechałam. Bardzo bym pragnęła, żebyś siedziała razem ze mną przy tym stole.

Podróż samolotem i sześciogodzinna różnica czasu między Włochami i Nowym Jorkiem sprawiły, że Patrizia gwałtownie zerwała się ze snu o czwartej rano. Dwie godziny później wyszła ze swego pokoju i na palcach przemknęła do urządzonego na dachu ogrodu hotelowego, skąd długo obserwowała wschód słońca, barwiący niebo po kolei na fioletowo, różowo, białe i niebiesko.

Plan Patrizii uwzględniał zabranie ze sobą przyborów malarskich, choć nie przyszło jej do głowy, że podczas pobytu w Rzymie zapragnie malować dla przyjemności. Teraz jednak, oczarowana poranną ciszą ogromnego miasta,

zaczęła szkicować ogromny kościół obok hotelu, jego misterne sterczyny i gargulce.

Odkąd pamiętała, nauczyciele uważali ją za niezwykle uzdolnioną plastycznie. Jak wiele innych dzieci, z przyjemnością rysowała proste kształty i postacie - słońce, kwiaty, drzewa, ludzi i zwierzęta - lecz w wieku lat sześciu zdumiała swoją matkę, kopiując obraz Gauguina z albumu, który Lizzie zostawiła na wierzchu. Wystarczył jeden rzut oka na dzieło Patrizii, by matka zapisała ją na lekcje rysunku. Dopiero później Patrizia zorientowała się, że początek jej edukacji artystycznej był zarazem ostatnią chwilą, gdy widziała ulubioną złotą bransoletę matki, którą ta odziedziczyła po swojej babce. I to Lizzie nieśmiało zachęcała Patrizię, by wybrała uczelnię artystyczną.

- To dar - powiedziała po prostu. - Dałabym wszystko, by być tak utalentowaną jak ty, kiedy miałam siedemnaście lat.

Również profesorowie na uczelni wróżyli Patrizii wielką przyszłość, lecz ona po przyjeździe do Nowego Jorku zorientowała się, że maluje coraz mniej, zupełnie jakby znalazłszy się sama w wielkim, obcym mieście, zaczęła się tego bać. Obrazy, które udało jej się stworzyć, były doskonale technicznie, lecz całkowicie pozbawione ciepła i pasji. Kiedy jednak, sfrustrowana, zastanawiała się, czy w ogóle nie zrezygnować z malarstwa, Holly powiedziała rozważnie:

- Nie jestem pewna, czy ta decyzja należy do ciebie.

- Jak to?

- Jesteś artystką - wyjaśniła Holly - co oznacza, że to twój talent podpowiada ci, co powinnaś robić, a nie na odwrót.

Jeszcze przed śmiercią matki kilka galerii w kraju wyrażało zainteresowanie pracami Patrizii, pytając, czy mogłaby przedstawić swój dorobek, lecz gdy Lizzie umarła, Patrizii przeszła wszelka ochota na twórczość.

Kiedy Rzym zaczął się budzić i wąskie ulice w dole ożywiły się, Patrizia spakowała akwarele i wróciła do pokoju. W milczeniu włożyła przygotowane skrupulatnie ubranie - dżinsy, sandały i bawełniany podkoszulek z wycięciem w

serek - a przed wyjściem z *pensione* z uznaniem przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze; nie różniła się niczym od typowych amerykańskich turystek, tysięcy studentek odwiedzających Rzym po raz pierwszy.

Poczucie, iż jest sama i wolna w obcym mieście, przepelniało ją dziwnym podnieceniem. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, nikomu nie musiała się opowiadać, mogła robić, co chciała, być tym, kim zapragnęła. Tylko jeden jedyny raz czuła się podobnie, kiedy na ostatnim roku studiów pojechała samochodem na Florydę, aby odwiedzić koleżankę. Pamiętała mieszaninę przestachu i zachwytu, jaka ogarniała ją, gdy zatrzymywała się w przydrożnych motelach, by odpocząć lub coś zjeść, świadoma, że nikt nie wie, gdzie ona jest, gdyż do nikogo nie dzwoniła. Pewnego wieczoru, uprzytamniając sobie ten fakt po raz kolejny, wpadła w panikę. Z ogromną ulgą wykręciła numer matki, a gdy Lizzie podniosła słuchawkę, niemal wykrzyczała:

- To ja!

Tym razem jednak nie czuła najmniejszego lęku. Wręcz liczyła na swoją anonimowość, która była osią jej planu.

O dziewiątej rano temperatura wynosiła już ponad trzydzieści stopni; panowała duszna, letnia spiekota, typowa dla rzymskiego sierpnia, miesiąca, gdy według przewodników, większość sklepów i restauracji jest zamknięta, a mieszkańcy miasta - przynajmniej ci zamożniejsi - szukają wytchnienia na plażach lub w górach. Wyjąwszy z torby mapę turystyczną, Patrizia odszukała drogę na Via Giulia i podążyła Via dei

Giubonbari do Via dei Botteghe Oscure, obok Chiesa dei Santa Maria in Aracoeli, i dalej, Via dei Fori Imperiali. Gdy wreszcie dotarła na Via Giulia, jej kark był mokry od potu. Mijani przez nią rzymianie zdawali się znosić upał równie źle; pot kapał spod kasków robotników pracujących na rusztowaniach, wilgotne ramiączka biustonoszy lepiły się do pleców i ramion kobiet. Niektórzy mieszkańcy najwyraźniej skapitulowali przed upałem - dwie panie w średnim

wieku chłodziły nogi w ozdobnej fontannie, dopóki policjant im tego nie zakazał, a kilku mijających Patrizię nastolatków ściągnęło koszulki na jej widok.

- *Te adoro* - zawołał jeden z nich - i chcę, żebyś ty mnie też kochała!

Via Giulia była szeroką aleją, która - ku zdumieniu Patrizii - po jednej stronie nie miała chodnika, lecz jedynie wąski krawężnik, na który przechodnie mogli uciec przed pędzącymi samochodami i skuterami. Okolica była wyludniona, a większość sklepów i restauracji - zamknięta na cały sierpień. Na przeciwnym chodniku stały zaparkowane byle jak samochody, dotykając tępymi nosami ścian budynków - najwyraźniej w Rzymie miejsca parkingowe były na wagę złota.

Po raz pierwszy Patrizia poczuła, że ogarnia ją fala niepokoju, a nawet lęku. Przystanęła, aby spojrzeć na swe odbicie w wystawie małej piekarni, już nie po to, by sprawdzić, czy wygląda na autentyczną Amerykankę, tylko czy jest ładna. Istotnie, wyładniała; upał zarumienił jej policzki i wyostrzył rysy.

Czy to ważne, by ojciec uznał mnie za ładną? - zadała sobie w duchu pytanie.

Zaczęła zwracać uwagę na numery domów. Oto numer 25, dalej numer 29. Po drugiej stronie dostrzegła numer 30. I nagle znalazła się przed numerem 31, gdzie na witrynie widniał półkolisty napis: Galleria Massimiliano Caracci.

Massimiliano Caracci zdążył się nieźle urządzić przez te wszystkie lata.

Patrizia długo stała przed galerią ojca, patrząc na jaskrawe czerwone litery. Miała uczucie, iż wpatruje się w twarz - twarz, jaką jej ojciec prezentował światu. Wywieszka na drzwiach informowała, że galeria jest nieczynna, ale Patrizia mimo to nacisnęła dzwonek i, ku jej zdumieniu, drzwi otworzyły się prawie natychmiast, ukazując piękną ciemnowłosą kobietę.

- *Buongiorno* - powiedziała niepewnie Patrizia. - *Parla inglese?*

Kobieta rozjaśniła się.

- O Boże, czy mówię po angielsku? Pochodzę ze stanu Vermont! Nie ma pani pojęcia, jak to przyjemnie usłyszeć kogoś, kto mówi zrozumiałym

językiem! - Zawahała się. - Ale galeria jest zamknięta w tym miesiącu. Cały Rzym zamyka się w sierpniu, mówię to na wypadek, gdyby pani się dziwiła, że miasto jest takie wymarłe.

- Właściwie szukam pana Caracciego - rzekła Patrizia.

- Och, Masiego na razie nie ma. - Nieznajoma wymówiła imię jej ojca z intymną poufalością, co dało Patrizii do myślenia. - Ale może ja mogę w czymś pomóc?

- Nie wie pani, czy będzie później?

Po raz pierwszy kobieta zmarszczyła czoło.

- Czy to sprawa osobista, czy zawodowa?

Patrizia, która nie spodziewała się zastać w galerii nikogo obcego, jęła w myślach gorączkowo szukać odpowiedzi.

- Osobista - odparła wreszcie. - Masi jest dawnym znajomym mojej matki. Mówiła, że powinnam go odwiedzić, jeśli kiedyś będę w Rzymie. - Zdumiała ją łatwość, z jaką przyszło jej to częściowe kłamstwo. - Nie mam w zwyczaju odwiedzać nieznajomych, będąc w obcym mieście, ale dziś rano powiedziałam sobie: w końcu czemu nie?

Jej słowa najwyraźniej odniosły skutek, gdyż kobieta znów zaczęła zachowywać się przyjaźniej. Jednak gdy wyjaśniła, że Masi do września, jak zwykle, pozostanie na letnisku w Ponto Ercole w południowych Włoszech, Patrizia poczuła znajomy ucisk w piersi. Do września. Nie mogła czekać tak długo. Wydawało jej się wręcz, iż ojciec porzucił ją po raz drugi.

- Skoro już tu jestem, czy miałaby pani coś przeciwko temu, bym obejrzała galerię? - zapytała.

- Nie powinnam... - Kobieta zawahała się. - Och, ale chyba to nie szkodzi - powiedziała w końcu. - Przy okazji, nazywam się Becky.

Galeria składała się z czterech sal o podłogach pokrytych szarym dywanem; każde pomieszczenie było większe od poprzedniego, a ich nastrój stwarzało przede wszystkim światło wpadające przez duże świetliki w suficie.

Ostatnia sala otwierała się na otoczony murem ogród, pełen pnączy i kwitnących roślin, gdzie na środku cicho szemrała fontanna - dwa lśniące marmurowe delfiny, tryskające wodą z uniesionych pysków. Patrizia przypomniała sobie opowieść Lizzie o tym, jak we Florencji Masi wyznał jej, że nienawidzi muzeów, gdyż sprawiają, iż sztuka staje się martwa. Dzisiaj, pomimo braku obrazów, Patrizia nie mogła powstrzymać podziwu dla życia obecnego w galerii Masiego dzięki zieleni, wodzie, wysokim stropom i świetlikom, które zdawały się zapraszać do środka rzymski poranek, a nie odcinać się od niego. Gdy wolnym krokiem zmierzała do wyjścia, za jej plecami odezwała się Becky:

- Masi urządza wielki wernisaż dwudziestego września. Wystawę młodych artystów z całego świata. Dlatego teraz ściany są puste.

- Właściwie nie wygląda to na galerię, prawda? - powiedziała Patrizia, lecz w tej chwili gdzieś w oddali zadzwonił telefon i Becky pośpieszyła go odebrać.

Patrizia skierowała się w stronę recepcji, małego kantorka przy wejściu, mieszczącego stare drewniane biurko, roślinę doniczkową, urządzenie do odczytu kart kredytowych i stos papierów.

- Nie wyobrażasz sobie, jak spokojnie - mówiła Becky do słuchawki, po czym dodała z przejęciem: - A jak się dziś czujesz?

Obok kantorka stało duże biurko z wiśniowego drzewa i choć nie było na nim żadnej tabliczki, Patrizia wiedziała, do kogo należy. Obrzuciła wzrokiem rzeczy swego ojca: złote wieczne pióro, złoty budzik, srebrny nóż do papieru, spinacze, pinezki, stosik służbowych wizytówek, przenośny komputer. Po czym, schyliwszy się, zauważyła ogromną, ofrankowaną szarą kopertę - do przekazania na adres pana Massimiliana Caracciego w Ponto Ercole.

- Nie - mówiła dalej Becky. - Bardzo bym chciała, ale moi rodzice jeszcze tu są. Zamierzałam zabrać ich do Ostia Antica lub w podobne miejsce. Mama myślała o Pompejach, ale to za daleko i za gorąco.

Zapamiętawszy adres z koperty, Patrizia odwróciła się i zdążyła jeszcze usłyszeć:

- Tak, Masi, ja też cię kocham. Nie zmęcz się zanadto, dobrze?

Zobaczymy się za dwa tygodnie.

Tak, Masi! Jej ojciec! Przez cały ten czas Becky rozmawiała z jej ojcem! Ten pośredni kontakt olśnił Patrizię, a jednocześnie trochę ją speszył. Ja też cię kocham? Zobaczymy się za dwa tygodnie? Nic dziwnego, że Becky tak swobodnie mówiła o nim po imieniu, Masi to, Masi tamto. Są małżeństwem? Narzeczeństwem? A może Becky ma z nim romans? Patrizia ruszyła w stronę drzwi.

- Och - zaśmiała się Becky do słuchawki. - Co się ze mną dzieje? Właśnie jest tu ktoś, kto chce się z tobą zobaczyć. - Zakryła dłonią mikrofon. - Przepraszam panią! - zawołała. - Jakie nazwisko pani podała?

Patrizia, która się nie przedstawiła, była już jedną nogą na chodniku.

- Nieważne, przyjdę kiedy indziej! - odkrzyknęła i pobiegła Via Giulia, nie oglądając się za siebie.

- Mógłby mi pan powiedzieć, jak najlepiej dojechać z Rzymu do Porto Ercole? - zapytała Patrizia recepcjonistę w hotelu.

Dzień się kończył i była straszliwie zmęczona. Po wyjściu z galerii ojca desperacko szukała miejsca - muzeum lub cichego placzyku na uboczu - by złapać oddech. Wreszcie, posługując się przewodnikiem, wyruszyła na cmentarz protestancki na Awentynie, gdzie spędziła prawie całe popołudnie, po czym idąc wzdłuż rzeki, wróciła na Campo dei Fiori. Dotarła do hotelu złana potem, z nogami obolałymi od chodzenia.

Paolo, recepcjonista o nienagannych, lecz lekko nonszalanckich manierach, który od dnia przyjazdu Patrizii zwracał się do niej z ukłonem *per madame*, przerwał rozmowę z jakimś mężczyzną i spojrzał na nią.

- To nie takie proste, niestety - odparł. - Czy *madame* ma samochód?

Patricia pokręciła przecząco głową.

- Ale może mogłabym coś wynająć? - zapytała z nadzieją.

Paolo skrzywił się.

- Nawet jeżeli pani samej życie niemiłe, *madame*, to ja martwię się o panią. Poza Rzymem jedzie się świetnie, cała sztuka to zeń wyjechać. - Zawahał się. - Czy ma pani gdzie się zatrzymać w Porto Ercole? Może załatwić pani rezerwację?

- Byłabym bardzo wdzięczna - powiedziała wolno Patrizia. Nie ufała swojej znajomości włoskiego i nie wiedziała, jak długo będzie miała szczęście spotykać ludzi mówiących po angielsku. - Ale nie mogę wiele zapłacić - dodała przepraszająco. - Gdyby znał pan jakiś tani hotel...

- Proszę się nie martwić, *madame*, zajmę się tym - odparł Paolo, podnosząc słuchawkę. Wykreślił numer, chwilę czekał, po czym zaczął szybko mówić po włosku, nie spuszczając Patrizii z oka. Odłożywszy słuchawkę, napisał nazwę hotelu na skrawku papieru, który następnie jej podał.

- *Grazie*. - Schowała adres do kieszeni. - Czy jest jakiś pociąg lub autobus do Porto Ercole?

Z wybrzeżem Argentario nie ma bezpośredniego połączenia kolejowego ani autobusowego, poinformował ją Paolo, a nawet gdyby było, dodał, to konduktorzy w całym kraju właśnie strajkują.

- Powinniśmy byli o tym pomyśleć, zanim zrobiłem pani rezerwację. - Wzruszył ramionami. - Zawsze może pani wynająć samochód.

- Ale to chyba bardzo drogo wypadnie, prawda?

Paolo ściągnął usta. Najwyraźniej przyzwyczajony był do bogatych Amerykanów, którzy mogli pozwolić sobie na wszystko, czego zapragnęli.

- Owszem - odparł bezradnie, po czym z lekkim ukłonem dodał: - *Madame*, w dzisiejszych czasach nic nie jest tanie. To będzie kosztowało dwieście, trzysta dolarów w jedną stronę.

- Chyba mnie na to nie stać - powiedziała cicho Patrizia po chwili.

- Nie ma pani przyjaciół, którzy mogliby panią zawieźć? Żadnego chłopaka, wuja, siostrzeńca?

- Jej siostrzeniec miałby teraz około pięciu lat! - wtrącił się młody człowiek za kontuarem i patrząc na Patrizię, dodał, wskazując gestem Paula: - Wyobraża sobie, że mówi po angielsku najlepiej na świecie i wie, co znaczy „siostrzeniec"! A jest do niczego!

Był to uderzająco przystojny mężczyzna po dwudziestce, o krótkich czarnych włosach, ciemnej, gładkiej karnacji i oczach niezwyklej, turkusowej barwy. Gdy obaj mężczyźni zaczęli niezrozumiale spierać się po włosku, Patrizia wycofała się i usiadła na ławce w holu *pensione*. Poczula się samotna i bezradna jak jeszcze nigdy w życiu, lecz po chwili ta bezradność przerodziła się w gniew na samą siebie. Co właściwie robiła tutaj, we Włoszech? I cóż za plan sobie obmyśliła? Odpowiedź brzmiała: to nie żaden plan. To skutek zwykłego impulsu, nieopanowanej popędliwości. Czyż jej współlokatorka Lucy nie ostrzegała jej, by nie podejmowała ważnych decyzji zaraz po śmierci matki? „W końcu zrobisz jakieś głupstwo" - powiedziała, wspominając, jak po śmierci ojca zaręczyła się z mężczyzną, którego nie kochała, „żeby znów należeć do jakiejś rodziny", choć na szczęście w porę z nim zerwała. Tak, przyjazd do Włoch był błędem. Patrizię bolały łydki i swędziały stopy w brudnych skarpetkach. Chciało jej się jeść i pić. Czego się spodziewała? Że przyjedzie do Rzymu, a tatuś będzie na nią czekał? Po jej policzku spłynęła łza, której nie miała nawet siły obetrzeć.

- *Signorina* - usłyszała zniienacka i podniósłszy głowę, ujrzała, iż drugi mężczyzna zza kontuaru, ten o turkusowych oczach, przygląda jej się z niepokojem. - Proszę, niech... - Urwał i zaczął ponownie: - Okropnie mi przykro, że... - Urwał znowu. - Zawiozę panią, dobra? - powiedział wreszcie, zniecierpliwiony.

- Dokąd mnie pan zawiezie?

- Do Monte Argentario.

- Ale mnie nie stać na wynajęcie samochodu.

- Później. Będziemy się o to martwić później, dobra? Teraz chcę pani powiedzieć, że to nie jest nadzwyczajny samochód, ale dowiezie nas, gdzie trzeba, a to najważniejsze.

- Nawet pana nie znam... Młody człowiek wyciągnął rękę.

- Andrea Pisanelli.

Paolo dorzucił zza kontuaru:

- Andrea jest w porządku. Daję pani słowo. Można na nim polegać.

- Tylko jest problem. Problem taki, że dziś nie pojedziemy. - Udzielając tej informacji, Andrea miał niemal tragiczną minę. - Samochód robi dziwny hałas, silnik jakby wrzeszczy, i wóz będzie gotowy dopiero późnym wieczorem. Jutro z samego rana, może być?

O wpół do ósmej następnego ranka przy krawężniku naprzeciwko *pensione* czekał na Patrizię brudny niebieski samochód. Andrea porwał jej walizki, włożył do bagażnika, po czym otworzył drzwi z tyłu i gestem zaprosił ją do środka. Pomimo zniżki, jaką z nim uzgodniła, Patrizia denerwowała się kosztami podróży, gdy jednak Andrea usadowił się za kierownicą, jej nastrój szybko się poprawił.

- Jak się pani spało, *signorina!*

- Świetnie, dziękuję - odparła, choć, prawdę mówiąc, skutki lotu oraz klimatyzacja, która bynajmniej nie chłodziła pokoju, sprawiły, że przez pół nocy nie zmrużyła oka.

- Nie znam pani nazwiska? - rzekł pytająco Andrea.

- Patrizia. Patrizia Orman.

- Pani jest Amerykanką, prawda? Ale ma pani włoskie imię? - Nie czekał na odpowiedź. - Od razu wiedziałem, że pani jest z Ameryki - powiedział z satysfakcją.

- Tak? A skąd?

- Nie wiem. Z tego, jak na pani leżą te dzinsy. Bardzo mi się to podoba. Tu, w Europie, dzinsy zawsze wyglądają trochę dziwnie. Na Włochach, a także

na Francuzach, zauważyła pani? Zawsze jest coś nie tak, coś śmiesznego, centymetr tu, centymetr tam. Ale na pani leżą dobrze, bardzo, bardzo dobrze.

Tłumiąc śmiech, zażenowana Patrizia mogła odpowiedzieć jedynie:

- Dziękuję.

Kiedy Andrea zaoferował się zawieźć ją do Porto Ercole, wyobraziła sobie długiego, smukłego mercedesa, czarnego jak atrament, wyposażonego w podnóżki i lampę do czytania. W końcu czyż nie płaciła drogo za samochód z szoferem? Ale wewnątrz tego samochodu było ciasne i zniszczone, cuchnęło tu dymem tytoniowym, a z silnika wydobywało się dziwne pobrząkiwanie. Cicho nastawione radio nadawało jakąś operę.

Kiedy wyjechali na południową autostradę, Patrizia skorzystała z okazji, aby przyjrzeć się krajobrazowi. Zieleń wsi była miłą odmianą po zatłoczonych ulicach Rzymu, ospałego od letniego upału. Minęli dzielnice robotnicze i nowoczesne tereny przemysłowe, gdzie nazwy fabryk - między innymi Olivetti i Fiat - obwieszczwały kolorowe neony, po czym zaczęły się pola, na których pasły się owce i kozy. Jednak, ku swemu zdumieniu, po pewnym czasie Patrizia stwierdziła, iż wcale nie patrzy przez okno, lecz wpatruje się w tył głowy Andrei, w lekkie zagłębienie na jego karku i krótkie włosy, przypominające ukośny deszcz. Był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego spotkała od dłuższego czasu, i czuła nieznaną ucisk w żołądku.

- Więc to pani pierwsza podróż do Włoch? - zapytał Andrea.

Patrizia dostrzegła w lusterku górną część jego ciemnych okularów.

- Tak.

- I dotychczas wszystko w porządku?

- Dotychczas tak.

Nie chciała wiele mówić, po pierwsze dlatego, że wyczuła, iż angielszczyzna sprawia Andrei kłopot, po drugie dlatego, że jego uroda trochę ją onieśmiała. Zwróciła uwagę na stojące przy drodze smagłe kobiety w skąpych

ubraniach i swą łamaną włoszczyzną zapytała Andreę, co one tu robią. Ku jej zdziwieniu odwrócił się i spojrzał na nią otwarcie.

- To prostytutki - odparł. - Przynoszą wstyd temu krajowi. Przykro mi, jeżeli panią krępują.

- W porządku, Andrea - powiedziała Patrizia. - Nie wiedziałam. Szybko zmienił temat.

- Paolo mówił mi, że pani nie zna nikogo w Porto Ercole.

- Widać, że pan sporo rozmawiał o mnie z Paolem.

- To mój młodszy brat. Kocham go bardzo. Czasem jest do niczego, ale...

- Urwał.

A więc stąd Andrea wiedział tak wiele o Patrizii!

- Jest pani tak piękna, jak mówił Paolo - ciągnął. - Oczywiście zobaczyłem to na własne oczy wczoraj, kiedy panią poznałem.

Patrizia, podejrzliwie podchodząca do śródziemnomorskiego charme'u - w końcu wystarczy wspomnieć, co przytrafiło się jej matce! - zignorowała komplement.

- Jestem zwykłą... malarką - powiedziała. - Słyszałam, że w Porto Ercole jest bardzo pięknie, więc chciałam obejrzeć tę miejscowość.

- Nie zna pani żywej duszy w Porto Ercole i chce pani zjawić się tam, ot tak, po prostu, mówiąc: „To ja”? - zapytał z niedowierzaniem Andrea i nie czekając na odpowiedź Patrizii, dodał: - Podziwiam pani odwagę.

Przez chwilę patrzył na szosę, zręcznie wyprzedzając jadący przed nimi samochód.

- To kolejny powód, dla którego lubię Amerykanów. Macie śmiałość, która pozwala wam pytać: „I co z tego?”. Włoskie społeczeństwo jest bardziej zamknięte niż amerykańskie. Ale czasem chyba trzeba... jak to się mówi? Iść za głosem serca. Tak?

Ku swemu zdumieniu Patrizia odkryła, że z Andreą rozmawia się jej równie łatwo, jak kiedyś z Erikiem. Od chwili przyjazdu do Włoch po raz

pierwszy wspomniała Erica i poczuła ukłucie winy. Czyż nie obiecała, że zadzwoni do niego tuż po przyjeździe? Tymczasem przytłoczona nadmiarem wrażeń, widoków i dźwięków innego kraju, jak również pochłonięta swoją misją, zupełnie o tym zapomniała.

- Chciałbym kiedyś pojechać do Ameryki - mówił Andrea. - Oczywiście musiałbym mieć ważny powód. - Zawahał się. - Na przykład ukochaną dziewczynę.

- A jest pan w kimś zakochany? - zapytała Patrizia nierozważnie i o mało nie kopnęła się w kostkę za taką poufałość. Co się z nią dzieje?

Zapadło milczenie, po czym Andrea na kilka chwil złowił jej wzrok w lustrze.

- Właściwie nie znam odpowiedzi na to pytanie - rzekł w końcu. - Przepraszam, czy możemy zatrzymać się na chwilę?

Zjechał samochodem do zatoki przy drodze, raptownie zgasił silnik, otworzył drzwi i wysiadł. Wyjąwszy z kieszeni koszuli paczkę papierosów, włożył jeden do ust i przypalił, obejmując go dłońmi. Odwrócony plecami do Patrizii, zaciągnął się powoli, niemal uroczyście. Po chwili zapukał w jej okno.

- Palę, ale wiem, że Amerykanie mają purytańskie podejście do papierosów - powiedział, gdy otworzyła. - Więc...

- Nie szkodzi. Właściwie dym specjalnie mi nie przeszkadza - przerwała Patrizia.

- Kiedy palę, papieros jest jak korek, a ja czuję się jak butelka. Wie pani? - Patrizia nie bardzo wiedziała, ale na wszelki wypadek przytaknęła. - Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę, bo się boję albo denerwuję. Więc zamiast mówić, wsadzam ten - poszukał właściwego słowa - ten paskudny korek do ust i go palę.

- Naprawdę, nie szkodzi - powtórzyła Patrizia, gdy Andrea zgasił papierosa i znów usiadł na przednim siedzeniu. - Dlaczego... co takiego chciał mi pan powiedzieć i się pan przestraszył?

Andrea wzruszył ramionami.

- Powiem pani następnym razem, dobra?

Patrizia chwilę wierciła się na tylnym siedzeniu, po czym uspokoiła się i zapadła w drzemkę. Obudził ją wpadający przez okno świeży zapach morza. Teren był bardziej płaski i wkrótce zauważyła mały, niemal niewidoczny drogowskaz do Porto Ercole oraz wysokie drzewa wzdłuż drogi, posadzone z geometryczną precyzją. Kilka kilometrów dalej, gdy samochód wspinał się na strome wzgórze, ujrzała za drzewami grupkę zacumowanych żaglówek, a za nimi rozkwitające żagle kolejnych łodzi. Z lewej strony pojawiła się góra, a potem magiczny, doskonały owal błękitnej zatoki, otoczony domami, blokami mieszkalnymi, sklepami i restauracjami.

- To jest Morze Tyrreńskie - objaśnił Andrea. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział niemal od godziny, choć Patrizia kilkakrotnie przyłapała go na tym, że przygląda się jej w lusterku. - Zmienia barwę, kiedy się na nie patrzy. Starożytni Rzymianie zwali to miejsce Bramą Herkulesa.

Patrizia poczuła skurcz w sercu; klamka zapadła, znalazła się w tym samym mieście co jej ojciec. Patrzyła przez okno, nieuważnie słuchając tego, co mówi Andrea.

- Czasem przyjeżdża tu król Holandii... prosto z jachtu wskakuje do czekającego samochodu i jedzie do swojej posiadłości w górach... najlepsze w Porto Ercole są białe, piaszczyste plaże, gdzie można się kąpać, żeglować, wiosłować i jeździć motorówką... są tu grotty, dostępne tylko od strony morza... widzi pani te fortyfikacje na wzgórzach, to z czasów wojny z Hiszpanami...

Centrum Porto Ercole było pełne turystów i Andrea musiał wielokrotnie naciskać na hamulec, zjeżdżając powoli na nadmorską ulicę, gdzie tłoczyli się handlarze ryb.

- Jak się nazywa pani hotel? - zapytał.

Patrizia była zbyt zaabsorbowana, by odpowiedzieć mu od razu.

Przyglądała się każdemu mężczyźnie, którego dostrzegła na ulicy. Czy Masi to

był ten człowiek w szortach i płóciennej koszuli, który szedł szybko pod górę z torbą zakupów w rękę? A może ten, przycupnięty przed *gelateria* z papierosem tłącym się między palcami i kupką niedopałków obok bosych stóp? A może tamten, który płynął łodzią, wiosłując między innymi łodziami, kołyszącymi się na fali? Lub ten wracający z plaży w mokrych kąpielówkach, obejmujący ramieniem małą dziewczynkę, trzymającą niebieski lizak?

A przecież Masi mógł już wrócić do Rzymu; być może rozminęli się z nim na autostradzie, nawet o tym nie wiedząc? Mógł znużyć się Porto Ercole i pojechać na północ, nad jezioro Como lub Garda, do Wenecji, Umbrii czy Pizy...

Podawała Andrei nazwę swego *pensione* i po chwili zatrzymali się przed jaskrawo otynkowanym nadmorskim hotelikiem. Andrea wyjął z bagażnika jej walizki i zaniósł je do holu.

- Ile jestem panu winna? - zapytała, kiedy wrócili na chodnik.

Ściągnąwszy wargi, Andrea przyłożył do czoła palec wskazujący i udał, że się zastanawia.

- Jaki dziś dzień?

- Czwartek - odparła zaskoczona Patrizia. - Dlaczego pan pyta?

- Patrizio, we Włoszech obowiązuje zasada, o której wielu turystów nie wie. Wszystkie przejazdy samochodem w czwartek są bezpłatne.

- Nie... - zaczęła Patrizia.

- To mało znana zasada. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby cały świat się o niej dowiedział! Coś strasznego! Włoska gospodarka upadłaby w dwa tygodnie, jestem tego pewien! Ale może pani coś dla mnie zrobić.

- Co takiego? - zapytała, wciąż oszołomiona jego hojnością.

- Może pani zjeść dzisiaj ze mną kolację? Albo spotkać się ze mną jutro?

Zdumiona Patrizia wymamrotała:

- Ale przecież jutro musi pan wracać do Rzymu!

- Nic pani nie rozumie, prawda?

- Nie rozumiem czego?

Andrea splótł przed sobą dłonie, przypominając Patrizii zawstydzone dziecko.

- Muszę wyznać, że nie jestem zawodowym kierowcą. Jestem studentem posiadającym niezbyt fantastyczny samochód. Paolo mówi mi, że w hotelu mieszka piękna dziewczyna, w dodatku w moim typie. Mówi też, że nie dzwonił do niej żaden mężczyzna - a każdy mężczyzna dzwoni natychmiast, żeby sprawdzić, czy ukochana dojechała bezpiecznie do celu - i nie ma chłopaka w Porto Ercole. Wnioskuje więc, że jest wolna. - Odchrząknął. - Potem myślę sobie, że chętnie wyjechałbym z Rzymu i towarzyszył dziewczynie na Monte Argentario. Bardzo mnie pani nienawidzi za to, że panią trochę oszukałem?

Patrizia spoglądała na Andreeę, urzeczona jego wykretami. Nic dziwnego, że samochód jest w takim złym stanie - po prostu nie było to auto na wynajem. Pod pewnymi względami ona i Andrea byli do siebie podobni; oboje udawali, że są kim innym. Przed jej oczami przeplynał obraz Erica i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Wcale cię nie nienawidzę, Andrea - zwróciła się do niego na „ty”, czując w piersi nieoczekiwany przypływ podniecenia.

- Więc kolacja? Albo śniadanie jutro?

- Nie mogę - odparła niezdecydowanie. - Jutro mam mnóstwo rzeczy do roboty...

- A może lunch?

- Jutro w ogóle odpada.

- Dlaczego, co zamierzasz robić? Mówiłaś, że nie znasz nikogo w Porto Ercole.

- Bo nie znam. Po prostu... - Patrizia nie umiała tego lepiej wyjaśnić - ...muszę załatwić parę rzeczy.

- Dobra, zrozumiałem. - Andrea wyglądał na urażonego. - Dlaczego nie powiesz mi wprost, co?

- Andrea, nie o to chodzi - zaprotestowała dziewczyna, widząc, że zrobiła mu przykrość.

- Więc czemu nie chcesz się ze mną umówić?

- No dobrze, spotkajmy się na śniadaniu - powiedziała Patrizia, z trudem rozpoznając swój własny głos.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie o ósmej albo o dziewiątej.

- Ale gdzie będziesz spał? - zawołała za nim. Andrea odwrócił się.

- Ja? Wszystko jedno. W każdym hotelu znajdę pokój. I tak nie zmruję oka teraz, kiedy cię poznałem.

W co się wpakowała?

Patrząc, jak Andrea odchodzi, otwiera drzwi samochodu i siada za kierownicą, poczuła dziwną mieszaninę pożądania i winy. Eric - jakie było jego miejsce w tym wszystkim? Jednak obraz Erica wkrótce ustąpił wspomnieniu lśniących oczu Andrei i jego zmieszania, dziwnie połączonego ze śmiałością. Lecz nagle miejsce obu mężczyzn w myślach Patrizii zajął dwudziestodwuletni Masi, taki, jakiego pamiętała ze zdjęć, z rękami w kieszeniach, o ciemnej, szczupłej twarzy, patrzący z niezadowoleniem w obiektyw Lizzie. Masi - przecież po to tutaj przyjechała, czyż nie?

Patrizia zaniósła bagaże do pokoju i przebrawszy się w szorty i podkoszulek, wyruszyła na zwiedzanie miasta swego ojca. Oczarowana zapachem morza, podążyła wąską drogą, biegnącą wzdłuż nabrzeża. Pod tym względem nadal była typową mieszkanką Środkowego Zachodu, zafascynowaną każdym zbiornikiem wodnym, który nie był jeziorem, nie miał wyraźnych granic i brzegów. Skrzyp wiosel, łopot żagli i stukot takielunku odbijały się od niskiego falochronu na tle nieustannego szumu fal. Jednak woda w porcie nie wyglądała zachęcająco. Andrea miał rację, mówiąc o barwach Morza Tyrreńskiego; w niektórych miejscach było zielone, w innych brązowe, w jeszcze innych dziwnie jaskraworóżowe. Wodorosty, pocięte silnikami łodzi, kotłowały się wśród strzępków tłustej piany.

Aby dodać sobie energii w śródziemnomorskim upale, Patrizia wstąpiła do restauracji i łąpczywie pochłoneła dwa kawałki *pizza bianca* oraz dwie filiżanki *espresso*, następnie zaś zatoczyła łuk do centrum miasta, mijając po drodze rząd sklepików. Była tu *frutteria*, gdzie sprzedawano warzywa i owoce, *latteria* z butelkami świeżego mleka i śmietanki oraz kręgami sera, a także *panificio*, gdzie na wystawie, wysypując się ze słomianych koszy, leżały ciemne bochny chleba.

Ku zdumieniu Patrizii liczba mieszkańców Porto Ercole najwyraźniej uległa potrojeniu w ciągu kwadransa, który zajęła jej przechadzka nadbrzeżną drogą. Letarg późnego popołudnia ustąpił nagłej eksplozji ludzi, z których większość zdawała się podążać gdzieś bez celu i kierunku. Tłum mężczyzn, kobiet, nienagannie ubranych dzieci i całych rodzin wędrował nieśpiesznie wzdłuż przystani. Nagle przypomniała sobie - była to *passeggiata*, tradycja, zgodnie z którą Włosi całymi rodzinami paradują o zmierzchu ulicami miast. Właśnie wyjmowała z torebki przewodnik, aby dowiedzieć się czegoś więcej, kiedy dostrzegła jego.

Nie rozpoznała go dzięki dwóm zniszczonym fotografiom, które tak długo leżały w książce kucharskiej Lizzie; Masi nie był już młodym mężczyzną w ciemnej skórzanej kurtce, zbyt poważnym rzymskim chłopcem, który nie lubił się fotografować na Piazza Navona. Nie zawdzięczała tego rozpoznania także mętnym opisom matki, które słyszała przez te wszystkie lata. Nie chodziło też o to, że Masi był jednym z niewielu Włochów na wąskich ulicach Porto Ercole, którzy nie brali udziału w *passeggiata*, gdyż szedł pod prąd, niosąc dwie plastikowe torby pełne zakupów, wody mineralnej, chleba i wina.

Nie rozpoznała swego ojca dzięki zdjęciom czy opowieściom. Jej natychmiastowa wiedza miała osobliwsze źródło - rozpoznała siebie w nim, a jego w sobie. Wszystko w Masim - rozluźniony krok, linia bioder, pochylenie ramion - składało się na sylwetkę, o której sądziła, że jest wyjątkowa i należy tylko do niej. Patrząc na ojca idącego nabrzeżem w luźnych szortach i wydętej

na wietrze koszulce, ujrzała siebie w ciele mężczyzny. Jak to było możliwe? Mężczyzna to mężczyzna, a kobieta to kobieta - całkiem co innego. Jakim sposobem jedno mogło stanowić część drugiego?

Patrizia nadal stała, wpatrzona w Masiego, gdy ten zatrzymał się w połowie wzniesienia, aby porozmawiać ze znajomym. Zobaczyła, że ma najwyżej metr siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt dwa wzrostu i w porównaniu z towarzyszem wydaje się niski. Pomimo czterdziestu czterech lat ruchy Masiego nie były powolne, typowe dla wieku średniego, nie zdążył także wyhodować sobie brzucha. Wydawał się wręcz zbyt chudy, prawie wątły. Ponadto miał jeszcze jedną cechę, którą Patrizia mogła określić dopiero później, gdy udało się ją wyodrębnić w stanie czystym. Ta właśnie cecha Masiego zdumiała ją bardziej niż jakakolwiek inna.

Jej ojciec był ludzki. Był rzeczywisty. Nie był wymysłem, postacią zastygłą na fotografii, kimś wspomnianym od niechcienia podczas rozmowy z Sarah lub z matką. Był prawdziwym człowiekiem i stał piętnaście metrów od niej. Po raz pierwszy Patrizia uświadomiła sobie, że bez względu na to, co myślała o nim przez cały ten czas, obraz, jaki wytworzyła sobie w wyobraźni, nie ma nic wspólnego z realną istotą ludzką.

Łzy, które napłynęły jej do oczu, zaskoczyły ją. Kiedy ojciec ruszył wiodącą pod górę drogą, nawet nie przyszło jej do głowy, by go śledzić. Nie, na to przyjdzie pora jutro. Dzisiaj stała nieruchomo w miejscu, patrząc, jak znika jej z oczu.

Tego wieczoru, obserwując z okna *pensione* odbijające się w wodzie światła portu, Patrizia z wysiłkiem przypomniała sobie, po co w ogóle przyjechała do Włoch, dlaczego porzuciła swoje życie w Nowym Jorku, aby przybyć najpierw do Rzymu, a potem do Porto Ercole. Zniknął obraz Masiego idącego beztrąsko chodnikiem w szortach i sandałach. Jego wyobrażenie zastąpił obraz mężczyzny wędrującego pod tę samą górę, lecz żyjącego bez

żadnej odpowiedzialności za kobietę i dziecko, które odepchnął dwadzieścia dwa lata temu.

Przypomniała sobie również, jaką władzę nad jej życiem miał zawsze Masi, choć dzieliły ich tysiące kilometrów. Był obecny przy każdym życiowym wyborze, jakiego dokonała lub jakiego nie mogła dokonać. Bez niego dorastałyby gdzie indziej - na przykład w Rzymie albo nawet w Porto Ercole. Spoglądając wstecz, na swoje dzieciństwo, Patrizia widziała samotną matkę, wychowującą samotne dziecko. Samotność związana z tym wspomnieniem także była dziełem Masiego.

Ale teraz władza, jaką ojciec posiadał nad jej życiem przez te wszystkie lata, miała ostatecznie dobiec końca.

ROZDZIAŁ 4

Wymyślenie imienia i nazwiska zajęło Patrizii zaskakująco dużo czasu.

Szczerze mówiąc, znacznie łatwiej przychodziło jej rozważanie tych imion, których nie miała zamiaru użyć. Na przykład imię Sophia - wiadomo, Sophia Loren - narzucało się automatycznie, ale nie wchodziło w grę jako zbyt oczywiste. To samo dotyczyło imion Gina lub Anna - wszystkie znanadto kojarzyły się ze słynnymi aktorkami o namiętnym, płomiennym wejrzeniu, których filmy Patrizia oglądała wraz z Lizzie w długie zimowe wieczory w Wisconsin. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że imię, które wybierze, nie musi koniecznie mieć włoskiego rodowodu. Przecież przyjechała do Włoch jako turystka, prawda?

W istocie naprawdę była turystką. Czyż nie miała bez przerwy pretensji do matki, że ochrzciła ją Patrizia? Czyż nie dorastała ze znieawidzonym imieniem, które wyróżniało ją spośród koleżanek, tych wszystkich Kriss, Amber, Nin i Jennifer? Czyż nie była to szansa, by wybrać sobie imię, jakiego zawsze pragnęła?

Ostateczną decyzję podjęła dopiero w samolocie do Rzymu, gdy usłyszała komunikat wzywający jedną z pasażerek: „Anna Dineen proszona jest o zgłoszenie się do stewardesy”. Gładki, profesjonalny głos powtórzył wezwanie kilka chwil później i Patrizia niemal nieświadomie postanowiła, że od tej pory - przynajmniej we Włoszech - będzie Anną Dineen.

Dla znajomości z Andreą jej nazwisko nie miało znaczenia. Zakładała, że odwiózłszy ją do Porto Ercole, chłopiec zniknie z jej życia na zawsze, gdy jednak okazało się, że nie zamierza wyjechać, cieszyła się, że powiedziała mu, jak się naprawdę nazywa. W końcu nie miał nic wspólnego z jej ojcem; ich drogi nigdy się nie przetną, przynajmniej jeżeli ona, Patrizia, będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia.

Wszystkie te rozważania o własnej tożsamości kłębiły się w jej głowie, kiedy następnego ranka pakowała przybory malarskie: kilka tub farb olejnych, paletę i nóż do palety, płótno, gwoźdźniki oraz małe przenośne sztalugi, które przywiozła ze sobą ze Stanów. Tak wyposażona zeszła na dół i właśnie zastanawiała się, co zrobić - wypić kawę czy zaczekać na Andreę przed hotelem - gdy, ku swemu zdumieniu, ujrzała go w holu, rozpartego w wiklinowym fotelu. Co ciekawsze, w niczym nie przypominał wczorajszego studenta, lecz ubrany był w elegancki sportowy strój, a na ramiona narzucił lekki sweter.

Na widok Patrizii poderwał się.

- Mówiłem ci, że teraz, kiedy cię poznałem, nie będę mógł spać - powiedział, całując ją w oba policzki, po czym dodał z pewną dumą: - Jestem na nogach od wpół do szóstej.

Patrizia poczuła, że się rumieni. Kiedy ostatni raz się zaczerwieniła? Czy w ogóle kiedykolwiek jej się to przytrafiło? Próbując ukryć zakłopotanie, energicznym ruchem wręczyła Andrei torbę i sztalugi, a następnie zapytała:

- No to gdzie pójdziemy na śniadanie?

- Może do mojego hotelu? Miałem szczęście; ktoś zrezygnował i dostałem domek dla siebie. Bardzo ładny i ustronny. Nie martw się - zakpił, widząc jej

minę - śniadanie podają przy basenie, nie do sypialni. Chodź, przyjemnie będzie się przejść.

Piętnaście minut później Patrizia siedziała już pod śnieżnobiałym, rozświetlonym parasolem nad ciemnoniebieskim basenem w hotelu „Pellicano”, jedząc papaje i *cometti* i popijając je najświeższym sokiem z pomarańczy, jakiego kiedykolwiek dane jej było skosztować. Najwyraźniej hotel „Pellicano” obsługiwał zamożną międzynarodową klientelę, co więcej, ku zdumieniu Patrizii, Andrea czuł się tu jak w domu. Gdy przyniesiono rachunek, zlekceważył jej protesty i kazał kelnerowi dopisać należność do opłaty za pokój.

- Nie chcę, żebyś za mnie płacił - rozgniewała się. Andrea wykręcił się:

- Jesteś gościem w tym kraju i będę się tobą zajmował, dopóki nie wyjedziesz, dobra?

- Andrea, mogę sama za siebie płacić.

- Oczywiście, że możesz. Tylko że ja na to nie pozwolę. Może kiedyś, jak przyjadę do Ameryki, postawisz mi coca-colę i hamburgera. Wtedy będziemy kwita, dobra? Dopóki to nie nastąpi, jesteś moim gościem. - Przerwał na chwilę.

- Patrizio, mam szczęście należeć do zamożnej rodziny. Mój ojciec jest bogaty. *I soldi non sono importante*. Nie chcę, aby pieniądze stanowiły problem między nami.

- Ale Paolo... - Patrizia ugryzła się w język.

- Co Paolo?

- No wiesz... - Dziewczyna speszyła się. - Paolo pracuje w hotelu. W recepcji. A sam przed chwilą mówiłeś, że twoja rodzina...

- Tak. - Andrea patrzył na nią z rozbawieniem. - Tamten hotel również należy do nas. Mamy w sumie trzy hotele, dwa w Rzymie, a jeden w Todi. - Wzruszył ramionami. - Wszyscy pracują. A Paolo ciężej niż większość z nas.

Po śniadaniu Patrizia i Andrea zeszli do portu. W milczeniu przyglądali się łodziom wypływającym na codzienny połów, po czym Andrea wziął dziewczynę za rękę. Patrizia zerknęła na zegarek.

- Muszę iść - powiedziała cicho.

- Dokąd?

Nie bardzo potrafiła mu to wyjaśnić.

- Po prostu muszę. Malować - dodała bezradnie.

- Naprawdę musisz?

Nade wszystko pragnęła zostać tutaj - ręka w rękę z Andrea na portowym molo, skąpana w coraz cieplejszym słońcu, czując zapach morza, coraz silniej przenikający miasto - ale nie mogła. Nie w sytuacji, gdy chciała, by jej plan się powiódł.

- Więc kiedy się znów zobaczymy? - zapytał Andrea.

- Jutro.

- Kiedy jutro? - nalegał.

Umówili się na lunch nazajutrz o drugiej. Andrea odniósł torbę Patrizii do *pensione*, a kiedy przyszła pora, by się pożegnać, wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Patrizia roześmiała się.

- O co chodzi? - zapytał szorstko Andrea.

- Po prostu się śmieję.

- Z czego? Mam nadzieję, że nie ze mnie.

- Śmieję się, bo palisz, a wczoraj powiedziałaś, że palisz tylko wtedy, gdy nie możesz wyrazić tego, co byś chciał.

Andrea spojrzał jej w oczy, po czym wyrzucił napoczętego papierosa do rynsztoka.

- Dobra, wygrałaś - rzekł, wzdychając. - Chodzi o to, że bardzo pragnę pocałować cię w usta. Pragnę tego od chwili, gdy zobaczyłem cię w Rzymie. I nie wiem, czy powinienem o to poprosić, czy też mam być bardzo, ale to bardzo niegrzeczny i po prostu to zrobić.

Patrizia oniemiała.

- Może po prostu to zrobisz? - szepnęła, niemal nie poznając własnego głosu.

- Teraz? Tu, na chodniku?

- Tak.

Pocałunek trwał całą minutę. Usta Andrei miały smak pomarańczy i tytoniu. Kiedy się od niej oderwał, mruknął z goryczą, jakby do siebie:

- *Penso che stia cadendo nell'amore con voi.*

- Co to znaczy? - wyszeptała zmieszana, ale odwrócił się i odszedł; po chwili widziała już tylko jego plecy znikające w labiryncie sklepów i restauracji.

Nadeszła pora.

Zgodnie z informacją recepcjonistki, Via dei Pantera, gdzie mieszkał Massimiliano Caracci, leżała wysoko na wzgórzach za miastem. Patrizia ruszyła wąską drogą obok portu, a następnie skręciła w jednokierunkową asfaltową szosę, wijącą się zakosami pod górę. Wspinaczka zajęła jej trzy kwadranse i kiedy dotarła do małego, ledwie widocznego drogowskiego, z trudem chwyciła oddech.

Wszystko w posiadłości ojca wydało jej się fascynujące: biały żwir na podejździe, zardzewiała zielona skrzynka na listy, drzewa oliwne, otaczające niedużą willę barwy dojrzałych brzoskwiń, a przede wszystkim wspaniały widok na zatokę Porto Ercole. Zauważyła jednak, że teren jest zarośnięty i zaniedbany, jakby właściciel postanowił zostawić go naturze. Czarne wyblakłe litery na małej tabliczce, na poły skrytej w kępie wysokich traw, oznajmiały: „I Perazzi”.

Woń dzikiego rozmarynu, zmieszana z odurzającym zapachem słonego powietrza, niemal Patrizię obezwładniła. Nie rozglądając się na boki, przeszła wolno przez podjazd, minęła willę i wkroczyła na spadzisty trawnik. Tutaj rozłożyła swój sprzęt.

Umieściła sztalugi w taki sposób, by mieć za sobą jasne słońce włoskiego poranka, po czym rozwinęła płótno i umocowała je gwoździkami. Te zwykłe przygotowania, które mogła wykonać z zamkniętymi oczami, zajęły jej nie więcej niż dziesięć minut. W tym czasie czujnie nasłuchiwała wszelkich odgłosów życia z willi Masiego, ale na razie, o wpół do dziesiątej rano,

panowała tam głucha cisza. Jedyne dźwięki na tym idyllicznym skrawku trawy pochodziły od nawołujących ptaków, wiatru szumiącego w gałęziach pinii i oliwek oraz warczących w oddali motocykli i skuterów.

Jej plan polegał na tym, by malować dokładnie to, co widziała: odległą niebieskozieloną górę i rozciągający się za nią przestwór błękitnego nieba nad spokojnym Morzem Tyrreńskim. Mała żaglówka znikła właśnie za zboczem góry i przez następne pół godziny Patrizia zajęta była malowaniem wydętego żagla na tle ciemnozielonych fal.

Trzy godziny później dom nadal trwał w bezruchu. W porze lunchu Patrizia, niezadowolona, że jej plan się nie powiódł, odłożyła farby i niepewnie podeszła do drzwi frontowych. Willa była ładna i solidna, choć płyty otoczonego trawnikiem tarasu gdzieś się kruszyły. Z tyłu dostrzegła zarys pergoli, a pod nią mały stolik i krzesła, za nimi zaś niewielki okrągły basen, upstrzony opadłymi liśćmi.

Odczekawszy chwilę, zapukała trzykrotnie - kołatka miała kształt podkowy ozdobionej wymyślnym kwiatem lili - i zaczęła, owładnięta przemożnym uczuciem *deja vu*.

Czyż nie wyobrażała sobie tego momentu po wielekroć - córka na ganku przed drzwiami, gotowa na spotkanie ojca i przeszłości? W swych fantazjach Patrizia była uosobieniem spokoju i pewności siebie, lecz teraz zauważyła, że palce jej drżą.

Zapukała ponownie, lecz bez skutku. Zniechęcona, zebrała swoje akcesoria i ociągając się, ruszyła w dół, z powrotem do *pensione*.

Gdy znalazła się w pokoju, ogarnęły ją wątpliwości. Czy miała absolutną pewność, iż ujrzany na ulicy mężczyzna był jej ojcem, a nie tylko kimś bardzo do niego podobnym? A może mylnie odczytała nazwę miasta na szarej kopercie w galerii? W końcu nad morzem istniało wiele miast, których nazwy zaczynały się od „Porto”... ale nie, przecież we Włoszech nie mogło być wiele ulic o

nazwie dei Pantera. A człowiek, którego widziała tak beztrosko maszerującego ulicą, na pewno był Masim.

Tego wieczoru długo błądziła po wąskich, krętych uliczkach, mając nadzieję zobaczyć ojca, ale bez skutku. Sądząc po jachtach, skupionych wokół molo, Porto Ercole przyciągało bogatych ludzi z miasta, i Patrizia, czując się trochę obco, zjadła kolację w taniej pizzerii, potem wróciła do siebie. Pełna poczucia winy, o północy zadzwoniła do Erica do Nowego Jorku i nie zastawszy go, zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość: „Tęsknię za tobą”. Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, zdała sobie sprawę, że nie zostawiła numeru i Eric nie może do niej zatelefonować.

Następnego dnia, w sobotę, rano wstał słoneczny i wietrzny. Po lekkim śniadaniu, składającym się z cappuccino i *cometti*, Patrizia znów ruszyła na górę. Znała na pamięć drogę do ojcowskiej willi: kilka wąskich schodów, piętnaście minut drogą, potem na przełaj przez łąkę, a w końcu stromo pod górę na Via dei Pantera. Wyczerpana, dotarła na biały podjazd willi równo o dziesiątej.

Tym razem zauważyła coś nowego: błyszczące fioletowe auto, które stało, ukośnie zaparkowane, na podjeździe. Podeszedłszy bliżej, odczytała na bagażniku napis: lancia.

Serce o mało jej nie pękło z podniecenia. Ale musiała zachować spokój i trzeźwość umysłu. Podobnie jak wczoraj, ustawiła sztalugi na trawniku za domem, skąd rozciągał się widok na port i góry. Rozpięła rozpoczęte płótno na ramie i wyjęła farby, które mieszała przez kilka następnych minut. Jednakże skoncentrowanie się na obrazie stawało się coraz trudniejsze.

Z willi wyszedł jej ojciec.

Massimiliano Caracci najwyraźniej pojawił się tylko po to, aby oczyścić samochód z liści. W jednej ręce trzymał turkusową śmietniczkę, w drugiej białą zmiotkę. Odgarnął liście ze ścieżki i z dachu samochodu, po czym wrzucił je do

jednego z dwóch niskich zielonych kubłów na śmieci, stojących u wylotu podjazdu.

Odwrócił się, by się skierować do domu, i dostrzegł Patrizię.

- Halo! - zawołał, i gdy nie odpowiedziała od razu, podszedł bliżej.

- Co pani tu robi? - zapytał surowo. - To teren prywatny! Pani nie ma prawa... Czy mam wezwać policję?

Patrizia, ujrawszy mroczną i gniewną twarz Masięgo, po raz pierwszy poczuła strach. Nie ruszyła się jednak z miejsca i patrzyła nań, zapominając na chwilę, że jest Anną Dineen, amerykańską turystką, która przyjechała do Włoch tylko w jednym celu - aby malować.

Po raz pierwszy w życiu znajdowała się tak blisko ojca i zdała sobie sprawę, że jakąś małą częścią duszy marzy, by ją poznać. Czyż nie była to jedna z jej odwiecznych fantazji? Czyż nie wyobrażała sobie, że jej ojciec raz na nią spojrzy i natychmiast zrozumie, kim ona jest, że krew rozpozna własną krew? Ale w oczach Masięgo nie było zrozumienia, tylko najprawdziwsza złość.

- *Mi displace, signore* - wykrztusiła Patrizia, starając się nadać swemu głosowi możliwie zakłopotane brzmienie. - *Parla inglese?*

Masi zatrzymał się w pół kroku.

- Tak. - Skinął głową. - Tak, mówię po angielsku. Kim pani jest? Co pani robi na moim terenie?

Aby zmylić jego czujność, Patrizia zaczęła trąkotać:

- Przepraszam, szukałam najlepszego miejsca do malowania. Wydawało mi się, że nikogo tutaj nie ma, więc pozwoliłam sobie wejść na wzgórze i rozstawić sztalugi.

Nerwowym, bezwiednym ruchem odgarnęła opadający kosmyk włosów za ucho. Masięgo wpatrywał się w nią, oceniając sytuację. Jego twarz była bardziej koścista, niż Patrizia początkowo sądziła, a cera zaskakująco żółta, lecz brązowe oczy miały skupiony, inteligentny wyraz.

Odłożyła pędzel i niepewnie wyciągnęła dłoń.

- Nazywam się Anna Dineen. Przyjechałam ze Stanów Zjednoczonych. Jestem we Włoszech pierwszy raz.

Dotknięcie ręki ojca było dla niej niczym wstrząs elektryczny i aby ukryć to wrażenie, Patrizia znów zaczęła przeproszać:

- Naprawdę nie sądziłam, że to czyjś teren. Myślałam... właściwie nie wiem, co myślałam. Zdawało mi się, że nikt tu nie mieszka.

- A jednak mieszka.

- Przepraszam - powtórzyła, wciąż sparaliżowana bliskością ojca.

- Może tam, skąd pani pochodzi, wchodzenie na cudzy teren jest dozwolone, ale tu nie.

- *Mi dispiace, signore* - powtórzyła Patrizia. Mina Masięgo złagodniała.

- Pani drży. Dlaczego pani drży? Teraz mnie jest przykro. - Ukłonił się lekko i oficjalnie. - Zaskoczyła mnie pani, mieszkam tu sam - powiedział, po czym niemal zalotnie dodał: - Czy mam coś na twarzy? Dlaczego pani mi się tak przygląda?

Patrizia szybko spuściła wzrok.

- Bez powodu, *signore, mi dispiace* - odrzekła, choć, ku jej zdumieniu, Masi wydawał się już jej nie słuchać. Jego wzrok przyciągnęło płótno rozpięte na sztalugach za jej plecami, na którym widniały zarysy żagłówek i góry.

- Więc dla pani Włochy są dobrym miejscem do malowania? - zapytał znacznie przyjaźniejszym tonem.

Niespodziewane pytanie speszyło Patrizię.

- Tak, oczywiście - odparła stropiona. - Tak, naturalnie, tu jest bardzo pięknie. Cały kraj jest piękny. Zwłaszcza widok sprzed pańskiego domu.

Masi, nadal wpatrzony w obraz Patrizii, zrobił kilka kroków naprzód.

- A gdzie właściwie pani studiowała?

- Na uczelni artystycznej w Stanach.

- Na uczelni artystycznej! - W głosie Masięgo zabrzmiało rozbawienie. - I czegoż to uczą na amerykańskiej uczelni artystycznej? - Nie czekając na

odpowieź, przyjrzał się bacznie obrazowi. - Nigdy specjalnie nie wierzyłem w uczelnie artystyczne.

Miał głęboki głos i staranną, nienaturalną wymowę, jakby nauczył się angielskiego, czytając książki, a nie rozmawiając.

- Szkoła nikomu nie da czegoś, z czym się nie urodził. Właściwie tylko wszystko człowiekowi utrudnia. Tylko samo życie, jego treść, może dać nam to, co potrzebne w malarstwie, zgodzi się pani?

- Tak - potwierdziła cicho Patrizia. - Tylko się spakuję i już sobie idę. Jeszcze raz przepraszam...

- Proszę zostać.

- Słucham?

- Proszę zostać.

- Ale przecież pan tu mieszka.

- No to co? Niech pani robi, co chce. Nie mam zbyt wielu gości, więc może pani zostać i malować. Widok z „I Perazzi” stanowi własność wszystkich. Przyjaciele mówią, że w głębi duszy jestem socjalistą.

Masi odwrócił się i poszedł w stronę domu. Po chwili Patrizia usłyszała trzaśnięcie drzwi; wokół willi znów zapadła cisza, w której słyhać było jedynie szum pinii i warkot samochodów, dobiegający z leżącego poniżej miasteczka.

Przez kilka chwil stała po prostu bez ruchu, patrząc na drzwi do willi Masiego. Pozornie nic się nie zdarzyło - ale jednocześnie poznała swego ojca. Swego ojca, Massimiliana Caracciego. Potrząsała jego ręką, czuła jego mocne palce, oplatające jej dłoń. Niewiele wydarzyło się między nimi, padło tylko kilka słów, przy czym Patrizia, tak samo jak jej dwudziestodwuletnia matka, wciąż powtarzała *mi dispiace*, przepraszam. *Mi dispiace*. Za co przepraszała tego człowieka - człowieka, który przecież powinien był ją przeprosić?

Słowa Masiego, a raczej ich zwyczajność, zbiły Patrizię z tropu. Spodziewała się potwora, ludojada, kogoś władczego, o grubym, schrypniętym

głosie - a nie smukłego, smagłego, melancholijnego mężczyzny, który wyszedł na dwór, aby po prostu zmieść liście z maski samochodu.

Powoli, jakby w zwolnionym tempie, Patrizia podniosła paletę i zaczęła mieszać farby. Z trudem skupiała się na tym zajęciu, intensywnie nasłuchując odgłosów dobiegających z willi: dzwonek telefonu, trzaśnięcia drzwiami, gwizdka czajnika. Mimo to udało jej się skończyć żaglówkę, po czym wzięła węgiel i zaczęła szkicować serpentyne drogi, widocznej na pierwszym planie.

Masi nie ukazał się przez resztę ranka. Co on właściwie robi? - zastanawiała się Patrizia. Około południa zdała sobie sprawę, że jest głodna, i przypomniała sobie, że umówiła się z Andrea na lunch. Na myśl o ich ostatnim spotkaniu ogarnęło ją zmieszanie i zdenerwowanie. Spakowała sprzęt i zapukała do kuchennych drzwi, które uchyliły się po chwili, ukazując Masiego z niezadowoloną miną i telefonem komórkowym przy uchu.

- Czego pani znów chce?

- Zastanawiałam się, czy mogłabym zostawić tu rzeczy i zejść do miasta na lunch.

Masi zamruczał coś do telefonu i rozłączył się.

- I pewnie chce pani jeszcze, żeby panią podwieźć?

- Dziękuję, mogę pójść pieszo - odparła chłodno Patrizia.

- Niech pani nie będzie śmieszna. Pójdę włożyć buty.

Znalazłszy się w lancii, Patrizia usiłowała patrzeć przed siebie, choć trudno jej było się powstrzymać od częstego zerkania na ojca siedzącego za kierownicą. Prowadził szybko, nie przejmując się ostrymi zakrętami stromej drogi ani wyraźną obawą Patrizii.

- Dokąd panią zawieźć? - zapytał, gdy znaleźli się u stóp wzgórza.

Gdy powiedziała mu, że umówiła się z przyjacielem na lunch w *pensione* „Monte Christo”, parsknął wzgardliwie.

- Wybrała pani chyba najgorszy hotel w Porto Ercole.

- Był najtańszy - wyjaśniła Patrizia.

Po raz pierwszy Masi spojrzał na nią współczująco.

- Niełatwo jest być artystą, co? - Nie czekając na jej odpowiedź, dodał: - Zwłaszcza w Ameryce. We Włoszech szanujemy sztukę. Dlaczego? Bo tutaj sztuka może być niebezpieczna. Może pobudzić ludzi do czynu. Każdy rząd na świecie, który chce przykręcić śrubę obywatelom, kim zajmuje się przede wszystkim? Artystami, oczywiście. W Stanach artyści uważani są za marzycieli. Za głupków.

Najwyraźniej był dumny ze znajomości tego amerykańskiego epitetu, który powtórzył jeszcze raz.

- Wciąż pytacie: „Jaki jest zysk ze sztuki? Gdzie są pieniądze?”. - Wzruszył ramionami. - Lepiej być artystą niż biznesmenem z teczką. Ci ostatni tylko mnie nudzą.

- Jeżeli można, przyjdę po południu, żeby zabrać rzeczy - powiedziała Patrizia, wysiadając z samochodu.

Masi lekceważąco machnął ręką.

- Jak pani chce! - zawołał i odjechał z rykiem silnika.

Speszona Patrizia przez chwilę patrzyła za oddalającym się samochodem, lecz nie miała wiele czasu, by zastanawiać się nad tym, co czuje, gdyż po pięciu minutach nadbiegł Andrea i zniecka pocałował ją w usta.

- Widzisz? - zawołał podniecony. - Już nie proszę, tylko robię. - Roześmiał się. - Wydawało mi się, że przyjemnie będzie urządzić piknik na dworze, więc pozwoliłem sobie...

Patrizia przyjrzała mu się uważnie. Nie ogolił się rano i lekki zarost nadawał mu atrakcyjny, beztroski wygląd, podkreślając jeszcze nieprawdopodobnie turkusową barwę jego oczu.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Zobaczysz.

Poprowadził ją drogą wzdłuż portu, a potem w górę kamiennym zboczem, aż doszli do zarośniętej winnicy. Andrea zrobił kilka kroków i postawił papierową torbę po lewej stronie kwitnącego żółto krzaku janowca.

- Zjemy tutaj - oznajmił, wyjaśniając, że znajdują się dokładnie na miejscu starożytnych etruskich umocnień, wykorzystywanych jeszcze podczas wojny z Hiszpanią.

- Patrz, jaki stąd widok - powiedział. - Widać Elbę i Giglio, a w bardzo pogodne dni, gdy powietrze jest przejrzyste, można dostrzec nawet Korsykę.

- Skąd tyle wiesz o Porto Ercole? - zapytała Patrizia, lecz Andrea tylko wzruszył ramionami.

- Wkrótce zobaczysz, że większość Włochów dobrze zna swoją historię. To nieduży kraj.

Po chwili otworzył torbę.

Patrizia nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie oczekiwała takiego lunchu, jaki przygotował Andrea. Wszystko wyglądało bardzo prosto: bochenek chłopskiego chleba, kilka ząbków czosnku, pojemnik sera mozzarella, dojrzałe czerwone pomidory i mała buteleczka oliwy z oliwek, kupiona w sklepie. Pokroiwszy chleb na kolanach, Andrea skropił go oliwą i ułożył na nim grube plastry pomidorów, ozdobione kawałkami czosnku i płatkami mozzarelli.

- Spróbuj - rzekł zachęcająco, podając pierwszą kromkę Patrizii.

Przyjęła ją z wahaniem, lecz kiedy ugryzła, jej kubki smakowe eksplodowały. Andrea, który bacznie ją obserwował, otwierając butelkę czerwonego wina, zawołał zachwycony:

- Lepsze niż u McDonalda, co?

- Znacznie lepsze - potwierdziła ze śmiechem Patrizia. Andrea wręczył jej wino w papierowym kubku.

- Przepraszam za te naczynia - rzekł uroczyście - ale to wszystko, co miałem w samochodzie.

Siedząc pod śródziemnomorskim słońcem na zboczu wzgórza pośród żółtych janowców i wonnego rozmarynu, popijając wino i leniwie gawędząc z Andrea, Patrizia straciła całkowicie poczucie czasu. Dwie godziny później, Zdjąwszy buty, wciąż leżeli na trawie. Andrea opowiadał o swoich studiach podyplomowych na rzymskim wydziale architektury.

- Myślę, że pojedę do Stanów, kiedy skończę, i zatrudnię się w jakiejś firmie. Może założę własny interes.

- Czy to możliwe, by ktokolwiek chciał wyjechać z Włoch? - zapytała cicho Patrizia.

Andrea wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko.

- Włochy nigdzie nie uciekną.

Po chwili położył rękę na dłoni Patrizii. Spojrzała na jego silne, smagłe palce i poczuła dziwne podniecenie.

- Tak się cieszę, że znów cię widzę - powiedział miękko Andrea. - Czy wiesz, jak rzadko spotykam dziewczynę, która naprawdę mi się podoba? Dla mnie to niezwykle. Jestem... - Wzruszył przepraszająco ramionami.

Zapadło milczenie.

- ...wybredny - podpowiedziała Patrizia nieśmiało. - Chyba o to chodzi.

- O, to słowo mi się podoba. To świetne słowo. A więc wybredny.

Nauczyłaś mnie nowego słowa, teraz ja ciebie nauczę. - Myślał przez chwilę. - *Le vertigini*.

- Co to znaczy?

- Jakby to powiedzieć... - Dłoń Andrei zawirowała w powietrzu. - Zawrót głowy?

- *Le vertigini* - powtórzyła Patrizia.

- *Le febbre*. Gorączka.

- *Le febbre* - szepnęła.

Przyłapała się na tym, że myśli o Ericu, ale jednocześnie nie mogła oderwać wzroku od Andrei. W tej chwili w Nowym Jorku był ranek; Eric

właśnie wstał z łóżka i sięgał po „New York Timesa”, dostarczonego pod drzwi mieszkania. O ile pamiętała, jego wczesnoporanne rytuały na ogół się nie zmieniały. Za chwilę ogoli się i weźmie prysznic, po czym usiądzie do śniadania, zje dwa jajka sadzone, po raz drugi umyje zęby i wyruszy do odległej o sześć przecznic szkoły.

Gdy jednak Andrea pochylił się nad nią i pocałował ją lekko, a jego usta miały nikły posmak wina, natychmiast zapomniała o Ericu. Odwróciła się ku Andrei i oddała mu pocałunek, rozchylając wargi. Po chwili oboje opadli na trawę, ciężko dysząc.

- Patrizio - usłyszała głos Andrei.

- Tak?

- Mówisz, że jesteś we Włoszech pierwszy raz. Ale masz na imię Patrizia. Jak to się stało? Na pewno płynie w tobie włoska krew.

- To długa historia - odparła Patrizia po chwili milczenia. Musiała być bardzo ostrożna. - Mój ojciec był Włochem - powiedziała wreszcie.

- Ach tak? Skąd pochodził?

- Z Rzymu.

- Jeszcze żyje?

Patrizia zeszywniała na chwilę.

- Nie. Zmarł, zanim się urodziłam.

- Więc nigdy nie znałaś ojca? A jego rodzina? Masz tu jakichś krewnych? Chcesz kogoś odwiedzić? Ciotki, stryjostwo, dziadków?

- Nie - rzekła Patrizia i aby zakończyć wątek, położyła palec na ustach Andrei. Po chwili pochyliła się nad nim i tym razem pocałunek trwał jeszcze dłużej. Ale gdy poruszyła ręką, jej wzrok padł przypadkiem na zegarek - dochodziła czwarta. Wstała niepewnie. - Andrea, muszę wracać.

- Wracać dokąd?

- Po prostu... wracać.

- Coś ty taka tajemnicza?

- Nie jestem tajemnicza - odparła, zapinając sandały.
- Jesteś. Przyjeżdżasz do Porto Ercole, a potem pojawiaasz się i znikasz.

Teraz mówisz, że musisz wracać. Ale do czego?

Patrizia nie odpowiadała, pośpiesznie zbierając swoje rzeczy.

- O co chodzi? Gdzie ci się tak śpieszy? Zrobiłem albo powiedziałem coś złego? - dopytywał się Andrea.

- Nie chodzi o ciebie - odparła, świadoma wykrętności tej odpowiedzi.

Nie chciała mówić Andrei nieprawdy. Spojrzała na niego.

- Po prostu muszę... malować. Mówiłam ci.

- Malować? Przecież malować możesz zawsze i wszędzie, prawda?

Szli drogą wzdłuż wybrzeża w stronę *pensione* Patrizii. Rybacy na pomostach wyjmowali z pojemników z lodem świeże ryby o mętnych oczach i ładowali je do beczek pod dyktando stojących na nabrzeżu sprzedawców.

- Nie rozumiem - powtarzał w kółko Andrea. - Ty i ja ledwie...

- Wyjaśnię ci to innym razem. - Patrizia zatrzymała się przy wejściu do hotelu „Monte Christo”. - Chciałabym, żebyś wiedział, że to było piękne popołudnie.

- Doprawdy? - Nadąsał się odrobinę. Patrizia impulsywnie pocałowała go w usta.

- Tak.

- Więc kiedy będę mógł znów cię zobaczyć?

- Jutro - odparła bez zastanowienia. - Mam nadzieję. - Otworzyła drzwi *pensione*.

- Kiedy jutro? - zawołał za nią Andrea. - O której?

- Na kolacji.

- O ósmej, Patrizio! - krzyknął.

Idąc przez mały hol, widziała jeszcze na chodniku jego sylwetkę i czuła na sobie stropione spojrzenie.

Wróciwszy do pokoju, opadła na niewielkie łóżko. Co ja wyprawiam najlepszego? - zadawała sobie w kółko pytanie. Nie szukała na nie odpowiedzi, był to dla niej jedynie ciąg słów, który powtarzała zarówno pod prysznicem, jak i później, gdy ubierała się na spotkanie z ojcem. Andrea stanowił niespodziewaną komplikację. Uświadomił jej, jak niewiele myślała o Ericu od chwili przyjazdu do Włoch, a to ją przestraszyło.

Andrea także wzbudzał w niej przestach, ale z innego powodu; po raz pierwszy, odkąd pamiętała, była zainteresowana mężczyzną, który ją podniecał, przy którym czuła się zupełnie bezbronna.

A może to wszystko nie miało nic wspólnego z Andrea, być może zawiniło sierpniowe słońce, lejące się z nieba na Monte Argentario? Albo czerwone wino, sączone z papierowego kubka? Albo niezwykłość sytuacji, w jakiej obecnie się znalazła, gdy jej poczucie tożsamości było bardziej zachwiane niż kiedykolwiek?

Ku zdumieniu Patrizii niebo zachmurzyło się i wkrótce zaczął kropić deszcz, najpierw małymi, lekkimi kroplami, przybierając na sile, gdy chmury przesunęły się w kierunku portu. Zaczekała, aż deszcz ustanie, i podążyła z powrotem na górę do „I Perazzi”, lecz kiedy dotarła do willi Masiiego, z zaskoczeniem stwierdziła, że jej przybory malarskie - farby, płótno i przenośne sztalugi - zniknęły.

Masi otworzył drzwi po drugim stuknięciu.

- A, to pani, Anno. Przypuszczalnie szuka pani swoich rzeczy. Zabrałem je do środka. Malowała pani wodę, ale nie sądzę, by pani chciała, aby woda zalała płótno. - Patrzył na nią z uśmiechem. - No, proszę, niech pani wejdzie.

Zbita z tropu tą wielkodusznością, Patrizia weszła do salonu, wciąż nie mogąc uwierzyć, że udało jej się przeniknąć do domu ojca.

Oto były jego meble - fotel z wygiętym oparciem, kanapa barwy *ecru* z dwiema pomarańczowymi poduszkami, półka pełna książek, których tytułów nie rozumiała, gdyż były po włosku. Oto jego obrazy - miska brzoskwiń, dwa

rysunki przedstawiające ptaki oraz kilka nowoczesnych prac, tak naiwnych, jakby wyszły spod ręki dziecka. Wiele obrazów wisiało na ścianach, lecz większość leżała w w stosach na podłodze. Tym bardziej zdziwiła się, że ojciec powiesił jej płótno obok kominka.

- A więc - zagadnął, gdy usiadła się na kanapie - próbuje pani namalować żaglówkę?

- Owszem - odparła niepewnie Patrizia.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie? - odcięła się bez zastanowienia, zaskoczona.

- A w ogóle co to jest żaglówka?

- Jak to co to jest?

- To znaczy, czym ona jest? Czy żaglówka to zwierzę? Owoc? Warzywo?

Mapa pogody?

- Żaglówka jest rzeczą - odparła Patrizia niechętnie, czując wzbierający gniew. - Przedmiotem.

- Dla kogoś, kto nie jest malarzem, żaglówka oczywiście jest rzeczą.

Dlatego pani, *signorina*...

- Anna - powiedziała Patrizia, odkaszlnąwszy. - Anna Dineen.

- Dlatego pani jest malarką, a inny człowiek, nazwijmy go Joe, malarzem nie jest. Dla Joego żaglówka to przedmiot, wykonany z drewna i - *como se dice* - włókna szklanego. Liny zrobione są z konopi i szorstkie w dotyku. Żagiel uszyto ze specjalnej tkaniny. Jest tam koło sterowe i siedzenia, żeby pasażerowie nie narzekali przy złej pogodzie. Teraz jeszcze dodajmy piknikowy lunch i mamy żaglówkę. Racja?

Masi przyglądał się jej bacznie i Patrizia przez dobrą chwilę musiała wbijać sobie do głowy, że nie jest jego córką, lecz osobą nazwiskiem Anna Dineen.

- Racja - powiedziała wreszcie.

- Ale kiedy malujemy żaglówkę, patrzymy na coś zupełnie innego, prawda?

- Niewątpliwie - potwierdziła Patrizia bez przekonania, niepewna, do czego zmierza Masi.

- Kiedy pani maluje, nie patrzy pani na realne przedmioty, ale na kształty. Patrzy pani na kolory i ich połączenia.

Musi pani być lojalna wobec tego, co widzi pani oko, a nie wobec tego, co pani naprawdę wie. - Śmiech Masiego pozbawiony był ciepła i humoru. - Malując, musi pani zapomnieć o tym, co pani ma przed sobą. Zapomnieć, że widzi pani drzewo, dom czy żaglówkę. Zamiast tego musi pani pomyśleć: „Aha! Tu widać niebieski kwadracik, tam biały trójkąt, a za nim widzę podłużny kształt o pięknej brązoworóżowej barwie”. - Masi przerwał. - A potem musi pani te kształty i barwy namalować, dokładnie tak, jak je pani postrzega. - Wzruszył ramionami. - Radzę pani, aby malowała pani to, co istotnie pani widzi, a nie to, co pani myśli, że widzi.

- Ludzie na uczelni mówili...

- Ach, proszę nie słuchać ludzi. - Zauważyła, że Masi ma zwyczaj mówienia, jakby się zastanawiał, choć tak nie było. - Na świecie jest za dużo ludzi, z roku na rok coraz więcej, i większość z nich myśli dokładnie tak samo. Niech pani słucha swego głosu wewnętrznego, Anno. I życzliwie dodał: - Oczywiście może pani także słuchać mnie, jeżeli pani będzie miała ochotę. Znam się na tym, wie pani? Kiedy nie jestem zajęty wyganianiem obcych ze swego terenu, pracuję jako marszand, a więc - jak to mówią? - to pani szczęśliwy dzień.

- Handluje pan dziełami sztuki? - Patrizia usłyszała własny głos.

- Tak. - Masi zdawał się zniecierpliwiony pytaniem. - Pani maluje w stylu realistycznym - powiedział z namysłem. - Powinna pani uprawiać malarstwo przedstawiające. Wydaje mi się, że to wynika z samotności, jaką w pani wyczuwam. Mam rację? Moim zdaniem, trzeba mieć dużo czasu i komfortu

psychicznego, aby być impresjonistą, aby pozwolić sobie na malowanie rzeczy, których nie widać. Nie sędzę, aby pani była taką osobą. Nie znam pani, ale... - Znów wzruszył ramionami. - A więc, Anno, kiedy pani odkryje, kim jest, będzie pani mogła uprawiać malarstwo, które do pani pasuje.

- Ale jak mam odkryć, kim jestem? - Patrizia zaczerpnęła tchu, nie do końca wierząc, że naprawdę zadała swemu ojcu takie pytanie.

Śmiech Masięgo był głośny i zaraźliwy.

- Wszystko się w końcu wyjaśni. Nie ma zmartwienia. Brak pani pewności siebie, i tyle. - Odchrząknął. - Tak czy inaczej, mam dosyć mówienia swoją nie najlepszą angielszczyzną. Jest pani głodna, Anno?

Patrizia nie czuła najmniejszego głodu. Po posiłku, który zjadła z Andrea, wciąż była syta, ale z jakiegoś powodu odpowiedziała bezwiednie:

- Tak, chętnie bym coś zjadła.

Przypomniawszy sobie o manierach, Masi zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką.

- Tak na marginesie, nazywam się Massimiliano Caracci. Miło mi panią poznać. Proszę mnie nazywać Masi.

- Cześć, Masi - powiedziała Patrizia słabym głosem. Złożył jej ironiczno-uroczysty ukłon.

- Witaj, Anno. W co się tak wpatrujesz? Podoba ci się to, co widzisz?

Patrizia, która w skupieniu wpatrywała się w obraz za jego plecami - brudnobiałe płótno, przecięte pasem czerwieni - teraz cofnęła się o kilka kroków.

- To jeden z najbardziej znanych obecnie włoskich malarzy - ciągnął Masi. - Kiedy patrzysz na ten obraz, co widzisz?

- Niewiele - odparła po chwili Patrizia. - Przypomina ślepą ścianę. Jakby zapraszał, by widzieć w nim, co nam się podoba. - Zawahała się. - Właściwie nie za bardzo lubię takie malarstwo.

- Tak się składa, że jestem przedstawicielem tego artysty.

- Och, bardzo przepraszam - powiedziała pośpiesznie, speszona.

- Nie musisz. Myśl samodzielnie. Ja również nie gustuję w takiej sztuce, w ogóle nie za bardzo lubię sztukę współczesną, ale - Masi lekko cmoknął - to jest nowość i dobrze się sprzedaje. Osobiście wolę starszych malarzy i bardziej tradycyjne malarstwo. Czy umiesz gotować? - zapytał nagle. - Oczywiście, pewnie nie. Amerykanie lubią, jak wszystko jest gotowe natychmiast. Wiesz, na przykład, jak się robi *ragu*?

- Nie - odparła Patrizia.

- Widzę, że muszę cię wiele nauczyć. Chodź ze mną.

Weszła za Masim do dużej, nieporządnej kuchni. Z garnka na kuchence, w którym dusiły się pomidory z przyprawami, płynął odurzający zapach.

- To naprawdę bardzo łatwe - mówił Masi jakby do siebie, mieszając w garnku. - Mam nadzieję, że wrócisz do Ameryki, będąc świadoma przynajmniej jednej rzeczy: że jest czas i że nie ma czasu. To znaczy, że wszyscy umrzemy, niektórzy raczej wcześniej niż później. Ale będąc tego świadomi, nie powinniśmy się śpieszyć i zapominać o tym, co i w jaki sposób widzimy, smakujemy lub robimy. Podejź tu, proszę.

Poczuła, że dotyka jej ramienia, nie w sposób intymny, lecz jak profesor zwracający uczniowi uwagę na coś niesłychanie ważnego.

- Na początek - rzekł - bierzemy jedną łodygę selera naciowego wraz z liśćmi. Jedną cebulę. Jedną marchewkę. Zieloną pietruszkę. Kielbaski, które trzeba rozciąć i wyjąć z nich mięso, po czym zrobić o tak... - Kciukiem i palcem wskazującym wykonał ruch, jakby coś kruszył. - Skórki można wyrzucić, nikomu się na nic nie przydają, z wyjątkiem tych biednych owiec, które nosiły je kiedyś w brzuchu. Czasem dodaję też trochę *prosciutto* albo bekonu. Teraz trzeba dodać *conserva*.

- Co to jest *conserva*? - zapytała Patrizia. Nigdy nie była wielką kucharką - Lizzie też nie - ale zawsze chciała się nauczyć gotować.

Masi zerknął na nią spod oka, wyraźnie nie znając angielskiego odpowiednika.

- *Conserva*? To... wysuszone pomidory. Widzisz - sięgnął do szafki i wyjął miedziane sitko - trzeba włożyć je do tego i zostawić kilka dni na słońcu. Oczywiście, pod przykryciem. - Ciągnął lekcję dalej: - Więc dodajemy szklanekę *conserva* do cebuli, selera i mięsa, a potem oliwę z oliwek, sól i pieprz. I wszystko dusimy. Nie dodajemy wody. - Pogroził ostrzegawczo pięścią na niby. - Oto mój przepis na *ragu*.

Podczas gdy Masi wykladał niewielkie ilości *ragu* na lśniące wstążki makaronu, Patrizia rozglądała się po kuchni. Najwyraźniej była to kuchnia kogoś, kto traktuje gotowanie poważnie; na haczykach wisiały przybory z nierdzewnej stali i rozmaite garnki, wyglądające na kosztowne.

- Jak długo pan tu mieszka? - zapytała w końcu Patrizia.

- Jak długo? - Masi znów na nią zerknął. - Po pierwsze, ja tu nie mieszkam. Mieszkam w Rzymie. Tam się urodziłem i wychowałem. - Roześmiał się. - Nie masz pojęcia, jak trudno mnie wyciągnąć z Rzymu! Ale latem podoba mi się także i tutaj, szczególnie, że w Rzymie jest za gorąco. A poza tym mój lekarz... - Nie dokończył i zamiast tego zapytał: - Byłaś kiedyś w Rzymie?

- Raz. - Właściwie nie było to kłamstwo, choć Patrizia nie przyznała się, że w istocie wyjechała z Rzymu przedwczoraj i, co więcej, odwiedziła galerię Masiego. Nagle przeszył ją lęk - czy aby nie powiedziała Becky, jak się nazywa? Z ulgą przypomniała sobie, że jednak nie.

- Rzym to piękne miasto - mówił Masi. - Jest również bardzo tajemnicze. - To w ogóle tajemniczy kraj, a turystom może się wydawać złowrogi. Ale lubię mówić, że Rzym jest jak ostryga - ukrywa perły przed ludzkim wzrokiem. A potem nagle wyciągasz rękę i znajdujesz klejnot.

Słowa ojca zmroziły Patrizii krew w żyłach. To właśnie, według Sarah, Masi powiedział Lizzie pewnego dnia przed dwudziestoma dwoma laty. Kiedy

dokładnie to było? Patrizia wyteżyła pamięć i przypomniała sobie. Wtedy, gdy pokazywał jej matce obraz Caravaggia na tyłach kościoła w pobliżu Piazza Navona. Wtedy również ugotował posiłek, czym oczarował Lizzie, podobnie jak teraz czarował ją, Patrizię. Przez głowę Patrizii przesuwały się inne sceny z życia matki: Lizzie i Masi, jadący na skuterze do restauracji w żydowskiej dzielnicy Rzymu, aby spróbować smażonych kwiatów cukinii; rozpacz Lizzie, gdy uznała, że zniszczyła obraz Halsy; jej omdlenie na ulicy i pobyt w szpitalu. Świat jest jak schody: jedni na nie wchodzi, a drudzy schodzą. Jeśli urodzisz to dziecko, nie chcę już nigdy widzieć ani ciebie, ani jego.

Ostatnie zdanie sprawiło, że Patrizia ocknęła się z oszołomienia, w jakim trwała od chwili wejścia do kuchni. Odwróciła się, by odpowiedzieć Masiemu, który w obu rękach trzymał już miski z makaronem.

- Czy wiesz, że Caravaggio zmarł tutaj, w Porto Ercole?

Wstrząśnięta faktem, że wymienił nazwisko człowieka, o którym właśnie myślała, Patrizia zapytała impulsywnie:

- Skąd pan wiedział, że myślę o Caravaggiu?

- A tak było? - Masi wzruszył ramionami. - Nie wiem. - Powtórzył gest. - Może dzisiaj widziałas jego ducha.

Patrizia wpatrzyła się badawczo w twarz Masiego, doszukując się w niej czegoś, co mogłoby wskazywać, że ojciec podejrzewa, kim ona jest, ale jego mina pozostała niewzruszona.

- Zjemy? - zapytał.

Kolację zjedli na tarasie za domem - osłoniętej pergolą obszernej platformie z desek, gdzie rolę stołu spełniało koło młyńskie. Wszędzie było mnóstwo kwiatów, lecz poza tym willa miała skąpe wyposażenie. Wyraźnie była to siedziba mężczyzny przywykłego do samotnego życia i Patrizia nie wiedziała, co o tym myśleć. Z jednej strony, fakt ów zdawał się potwierdzać odwieczne samolubstwo ojca, z drugiej jednak, pamiętała o Becky, kobiecie spotkanej w rzymskiej galerii.

Jedzenie było znakomite. Kluski zwane przez Masięgo *maccheroni*, doskonale korespondowały z czerwono-brązowym *ragu*, smaki i przyprawy rywalizowały ze sobą, lecz nie przytłaczały się nawzajem, a całość uzupełniały lekko przyprawiona sałata, świeży chleb i czerwone wino.

- Jest pan wspaniałym kucharzem - powiedziała Patrizia w pewnej chwili, lecz gdy Masi skłonił głowę, przyjmując komplement, w duchu skarciła się za wygadywanie takich banałów.

Ku swemu zdumieniu nie mogła się zmusić, by nienawidzić tego człowieka. Z trudem przychodziło jej także wiarygodne przedstawienie szczegółów swego życia. Gdy Masi zapytał, skąd pochodzi, odparła:

- Z Chicago.

Kiedy chciał się dowiedzieć, czy tam mieszkają jej rodzice, skłamała, że oboje nie żyją. Nie lubiła posuwać się do kłamstwa, lecz w tym wypadku był to jedyny sposób, aby osiągnąć cel.

- Wybacz mi - powiedział Masi i dodał: - To przykre stracić oboje rodziców, będąc osobą tak młodą. Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa - odparła Patrizia. W przyszłym tygodniu wypadały jej dwudzieste trzecie urodziny, o czym zupełnie zapomniała.

- Na szczęście w tym kraju doceniamy znaczenie rodziców - rzekł Masi z nieoczekiwanym ogniem. - Ja codziennie myślę o swoim ojcu i matce. - Roześmiał się cicho. - Dobrze i źle.

- Jak został pan marszandem? - zapytała Patrizia.

- Jak? Nie wiem. Pewnie miałem szczęście. Zawsze chciałem obracać się wśród malarzy i obrazów. A ponieważ pochodzę ze skromnej rodziny, łatwiej mi było awansować.

Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, ciągnął Masi, udało mu się tanio - za trzysta dolarów amerykańskich - kupić obraz na wyprzedży pewnego majątku.

- Bardzo prosty i dowcipny. Przedstawiał żyrafę, powieszoną za szyję na krześle. Nie było na nim podpisu. Co miała oznaczać ta powieszona żyrafa, he?

Dwa miesiące później dostaję telefon od prawnika, zarządzającego owym majątkiem. Mówi mi, że popełnili omyłkę i teraz chcą odkupić ode mnie obraz z powrotem. I proponują - Masi obliczył szybko w pamięci - tysiąc dolarów. Amerykańskich. Odkładam słuchawkę. Dwa dni później znów dzwonią. Tym razem dają dwa tysiące dolarów, ale ja wciąż odmawiam. Domyślam się już, że to musi być dobry obraz, prawda? Zanoszę go do znawcy. Ten mówi, że to Magritte, być może podarunek dla właścicielki majątku. Nigdy dotąd niewystawiany.

Co dwa tygodnie prawnik dzwonił do Masiego, proponując mu coraz wyższe sumy za zwrot obrazu.

- A więc już wiedziałem, że malowidło jest bardzo cenne. Ale Magritte czy nie Magritte, obraz to również rzecz. Przedmiot. Więc kiedy kwota sięgnęła czterystu tysięcy dolarów - wzruszył ramionami - zgodziłem się. Być może jestem słaby. Ale za te pieniądze otworzyłem własną małą galerię. I okazało się - zamilkł na chwilę - że całkiem dobrze mi idzie.

- Pewnie mógł pan poświęcić dużo czasu swojej pracy - usłyszała własny głos Patrizia. - Nie mając rodziny i innych zobowiązań. Był pan kiedykolwiek żonaty? - zdobyła się na śmiałość, by go o to zapytać.

- Żonaty? Ja? Skąd. Widzisz na moim palcu obrączkę? I dlaczego pytasz? Patrizia poczuła się nieswojo, lecz usiłowała zachowywać się naturalnie.

- Bez powodu.

- Przykro mi, że cię rozczaruję, droga Anno. Jesteś ogromnie atrakcyjną dziewczyną, ale mógłbym być twoim ojcem. - Masi roześmiał się. - A poza tym, jak to mówią w Ameryce, marna ze mnie partia.

Początkowo Patrizia nie zrozumiała, o co mu chodzi, lecz nagle dotarło to do niej. Nigdy w życiu nie czuła się równie zawstydzona.

- Nie to miałam na myśli - plątała się, zakłopotana.

- Twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność - przerwał jej. Jego głos był życzliwy. - Powtórz, ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Moje dziecko jest dokładnie w twoim wieku.

Patrizia osłabła, słysząc te słowa, które zdawały się dobiegać zewsząd i znikąd. Odchyliła się na oparcie krzesła i dotyk chłodnej wikliny chwilowo przywrócił jej równowagę. Miała świadomość, że zapadła pełna oczekiwania cisza. Czy Masi ją podejrzewał? Czy bawił się z nią? Jeżeli wiedział, że ona, Patrizia, jest jego córką, to wybrał sobie właściwą chwilę, by to skomentować. Jednak on siedział wpatrzony w ciemność na trawniku i łuk portowych świateł poniżej.

- Ma dwadzieścia dwa lata - powtórzył cicho, jakby nikogo przy nim nie było.

- Gdzie mieszka pana córka? - zapytała Patrizia miękko. Masi spojrzał na nią z nagłym błyskiem w oku.

- Mówiłem, że mam córkę? Zdaje mi się, że wspomniałem tylko o dziecku.

- Nie, nie mówił pan - rzuciła pośpiesznie, przestraszona. - Nie wiem dlaczego, po prostu przypuszczałam...

Nieruchomy wzrok Masiego zmroził dziewczynę. Miała wrażenie, że część jego osobowości jakby zgasła.

- Przypuszczenie było słuszne - rzekł szorstko. - Tak w życiu bywa. Ona mieszka w Ameryce, jak ty. - Wstał nagle, wyraźnie zdenerwowany. - Jej matka nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Trudno się temu dziwić... zresztą, kto wie... ale ludzka ciekawość... - Nie kończąc myśli, zwrócił się wprost do Patrizii: - Czy podać ci coś jeszcze? Kawę? Kawałek sera?

Patrizia przyglądała się, jak Masi zbiera talerze i znika w kuchni. Wówczas wstała i poszła za nim, nie całkiem pewna własnych pobudek.

- Jeszcze raz, ile lat ma pana córka?

Widziała tylko plecy Masiego i jego łokcie, poruszające się przy splukiwaniu naczyń i wstawianiu ich do zmywarki.

- Tyle, co ty. Dwadzieścia dwa.

Z jego ust wydobyło się coś w rodzaju gwizdu.

- Skądinąd to dziwne, kiedy przypomnę sobie, jaki sam byłem w tym wieku. Wydawało mi się wtedy, że wiem o życiu wszystko, co należy wiedzieć. A w rzeczywistości ten dwudziestodwuletni chłopak - taki skupiony na sobie, taki dobrze zorientowany, a naprawdę kompletnie zdezorientowany - nie wiedział nic. Gdy patrzę teraz wstecz, czasem miałbym ochotę go udusić.

- Dlaczego? - zapytała Patrizia, wstrzymując oddech. Masi zdawał się jej nie słyszeć.

- Tak to jest, prawda? Czasem spoglądamy wstecz i nawet nie poznajemy osoby, którą byliśmy.

- A co się panu wydawało, że wie, mając dwadzieścia dwa lata? - dopytywała się dziewczyna, ale właśnie wtedy rozmowę przerwał dzwonek telefonu.

- Innym razem - mruknął i podniósł słuchawkę. - *Pronto* - usłyszała Patrizia.

Nie rozumiała, o co chodziło w rozmowie, która odbywała się wyłącznie po włosku. Wiedziała tylko, że oto widzi ojca takim, jakim musiał się wydawać Lizzie tamtego ostatniego popołudnia na Piazza Navona. Żyły wystąpiły mu na czole, a brązowe oczy zmieniły barwę na straszną czerń. Pod koniec rozmowy zaczął wręcz krzyczeć na osobę po drugiej stronie słuchawki i gdy się rozłączył, nie mógł opanować gniewu.

- Nie do wiary! - powtarzał w kółko. - Tyle czasu, pięć tygodni, a on robi mi coś takiego!

- Co robi? - zapytała Patrizia. Nagle poczuła się nieswojo, jakby nie było już dla niej miejsca w pokoju. - Kto taki?

- Za trzy tygodnie mam wystawę, rozumiesz? W swojej galerii! Na wernisażu będzie cała prasa, dziennikarze i mnóstwo przyjaciół. To pokaz prac młodych artystów. A teraz jeden z nich postanowił wyjechać z dziewczyną na

wakacje do Genewy - do Szwajcarii, jakby nie miał dokąd! I nie namalował dla mnie obrazu. Dzwonił już z drogi. - Masi zaczął przedrzeźniać artystę. - „Taki jestem szczęśliwy, bardzo ją kocham, nie mogę malować, kiedy jestem zakochany”.

- A może ja coś panu namaluję? - Patrizia przeraziła się własnych słów, ledwie je wymówiła. Widziała tylko mroczne, przenikliwe spojrzenie ojca, a za nim wciąż odkręcony kran i rząd lśniących, miedzianych garnków. - Nieważne - rzuciła i szybko ruszyła do wyjścia. - Ogromnie dziękuję za kolację.

- *Dile si nuovo*. Przepraszam... Powiedz to jeszcze raz.

- Nic nie mówiłam - mamrotała Patrizia. - Zaproponowałam tylko, że spróbuję namalować obraz na pańską wystawę.

W panice rozejrzała się za żakietem, lecz nie mogła go znaleźć i przez omyłkę sięgnęła po coś, co okazało się rękawem swetra.

Masi szedł za nią korytarzem.

- Chcesz coś dla mnie namalować? Na wystawę? O to mnie prosisz?

Nie potrafiła odczytać wyrazu jego oczu. Czy z niej drwił? Traktował ją protekcjonalnie? Po co, ach, po co pozwoliła tym słowom wymknąć się z ust?

- Jak szybka jesteś? - zapytał nagle Masi. Mina Patrizii wskazywała, że nie rozumie pytania.

- Pytam: jak szybko malujesz? - powtórzył niecierpliwie.

- To zależy - odparła zaskoczona.

- A od czego? Od czasu? Od pieniędzy? Od natchnienia?

- Chyba od czasu.

- Trzy tygodnie.

- Co trzy tygodnie?

- Skończysz w trzy tygodnie?

- Nie wiem, czy potrafię...

- Nie mówię, że zaakceptuję twój obraz. Wiesz o tym. Ale jestem... - Masi urwał. - Pieniądze to dla ciebie problem, mam rację? Zakładam, że nie

mieszkaś w najgorszym hotelu w Porto Ercole dla przyjemności, prawda? - Patrizia przytaknęła, zażenowana. - Na tyłach mojej willi jest domek gościnny, który czasami udostępniam artystom, jeżeli są grzeczni. Teraz jest wolny. Zapraszam. - Wyjaśnił, że studio składa się z sypialni, łazienki, małej kuchni i, co najważniejsze, pracowni. Ze względu na położenie w połowie wysokości wzgórza domek jest cichy i ustronny. - Możesz tam zamieszkać. - Patrzył na nią wyzywająco. - Co na to powiesz?

Patrizii na chwilę odjęło mowę. Miała wrażenie, że w jej wnętrzu rozgrywa się osobliwa bitwa.

- Dlaczego okazuje mi pan zaufanie? - usłyszała własne słowa.

- Dlaczego? - Masi wzruszył ramionami. - Kto mówi, że okazuję ci zaufanie? Ale jestem realistą. A jeśli okażesz się złym człowiekiem lub złą artystką, w co wątpię - parsknął swym bezradnym śmiechem - po prostu cię wyproszę.

- Muszę iść do hotelu po rzeczy.

- Zawiozę cię i poczekam na zewnątrz.

- Nie, dziękuję, to znaczy... - Patrizia spieszyła się. - Właściwie jestem umówiona na kolację. Z mężczyzną.

Czy jej się wydawało, czy przez twarz Masiego naprawdę przemknął cień rozczarowania?

- Tajemnice? Cóż, o nic nie będę pytał.

Pięć minut później pędzili w dół fioletową lanią. Masi jechał szybko i wyglądał na całkowicie zaabsorbowanego prowadzeniem wozu. Wysadziwszy Patrizię przed *pensione* „Monte Christo” powiedział tylko:

- *Le vidro domani*. Do jutra.

Stojąc na chodniku, Patrizia poczuła się dziwnie rozdarta między swoim ojcem i Andream. Myśl ta rozbawiła ją - oto ona sama właśnie odwzorowywała typowy dylemat z życia typowej amerykańskiej córki. Czyż nie tego właśnie chciała? Lecz nie odczuwała zadowolenia, a podczas kolacji jej nastrój jeszcze

się pogorszył. Andrea był naburmuszony i kłótlivy, zwłaszcza gdy Patrizia zdawkowo zrelacjonowała, co robiła w ciągu dnia.

- Malowałam. Co jeszcze mam ci powiedzieć, Andrea? Chłopak odłożył sztućce i spojrzał na nią ponuro.

- I znowu udzielasz mi odpowiedzi, które nie są odpowiedziami! O co w tym wszystkim chodzi?

- Jestem kobietą tajemniczą - odparła Patrizia, próbując obrócić wszystko w żart. - Matą Hari.

- Czasem myślę, że przede mną uciekasz. Albo że jesteś jakąś tajniaczką.

Wpatrzona w Andree, Patrizia nade wszystko pragnęła powiedzieć mu prawdę o swoim pobycie w Porto Ercole, prawdę o swym imieniu i o swoim ojcu. Lecz coś podpowiadało jej, że mogłaby Andree tylko rozczarować, zepsuć wszystko, co już się między nimi wydarzyło. Dotknęła jego dłoni.

- Co to było, co powiedziałeś do mnie po włosku tamtego dnia? - zapytała cicho.

- Nie pamiętam.

- Brzmiało to jak *stia cadenzo*. Coś takiego.

- Nie pamiętam - powtórzył Andrea. - Idź i sprawdź sobie w jakichś włoskich rozmówkach.

Mimo to rozstali się przyjaźnie, umówiwszy się na kolację nazajutrz, co wyraźnie podniosło Andree na duchu.

- Chyba jestem trochę znudzony i niespokojny - przyznał przed odejściem. - Nie mam tu nic do roboty, wciąż tylko czekam na spotkanie z tobą. *Penso che stia cadendo nell'amore con tel* - wyrwało mu się nagle.

- Proszę, znów to powiedziałeś!

- Bo to dla mnie takie niezwykle uczucie!

- Co?

- To, że wydaje mi się, że jestem w tobie zakochany! Patrizia wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Ja też - powiedziała zniecka i pocałowała go lekko w usta. Mimo że starała się zachować spokój, jej głos był niewyraźny i zdyszany: - Dobranoc, Andrea.

Następnego dnia po śniadaniu spakowała się i wymeldowała z *pensione*. Dwadzieścia minut później siedziała w taksówce, jadąc pod górę do willi ojca na Via dei Pantera. Otworzyła drzwi domku gościnnego kluczem, który dał jej Masi, i rozpakowała ubrania w sypialni. Wciąż oszołomiona, wspominała to, co powiedział jej ojciec, odwożąc ją wczoraj do *pensione*.

- Mogę mówić wprost. Masz spory talent - rzekł Masi, gdy jechali ciemnymi, pustymi ulicami miasteczka. - Nie traciłbym na ciebie czasu, gdyby było inaczej. - Umilkł. - Muszę powiedzieć, że trochę mi cię żal z tego powodu.

- Żal? - zdumiała się Patrizia.

- Lepiej być miernotą. To łatwiejsze i mniej frustrujące, zgodzisz się ze mną?

Patrizia nie wiedziała, co powiedzieć. Od chwili gdy po raz pierwszy ujrzała Masiego, dotkliwie odczuwała własną bezbronność. W obliczu tej bezbronności jej gniew prawie całkowicie zniknął, choć próbowała odzyskać władzę nad sobą. Bezskutecznie. Masi nie tylko jej nie odpychał; przeciwnie, uwaga, jaką jej poświęcał, oczarowała ją. Dostrzegał, kiedy jej kieliszek był pusty lub kończył się chleb. Wypytywał o jej życie, o wrażenia z Włoch, o upodobania w dziedzinie sztuki, o ulubionych artystów. Dyskutował z nią o historii Włoch i Ameryki.

Nie daj się nabrać, pouczyła się surowo Patrizia w pewnej chwili. Tak właśnie postępował z twoją matką, zadawał jej mnóstwo pytań, sprawił, że czuła się jedyną kobietą na świecie, najpiękniejszą, najbardziej interesującą...

- A co powiesz o Renoirze? - zapytał Masi przy obiedzie.

- Kocham Renoira - odparła Patrizia, która po Lizzie odziedziczyła miłość do tego artysty i do barwnej zmysłowości jego dzieł.

- Chyba trochę mi przypominasz kogoś, kogo kiedyś znałem. Ona również była Amerykanką i bardzo kochała obrazy Renoira.

Zdarzały się również inne momenty, gdy Patrizia przyłapywała Masiego na spoglądaniu przez okno lub na wpatrywaniu się w zamyśleniu we własne dłonie; wyraz jego oczu w podobnych chwilach był tak melancholijny i nieodgadniony, że wzbudzał w niej lęk. Raz, gdy zauważył, że na niego patrzy, uśmiechnął się z wysiłkiem:

- Musisz mi wybaczyć. Ostatnio bywam bardzo zmęczony. Wydaje mi się, że im jestem starszy, tym gorzej znoszę upał.

Teraz Patrizia układała ubrania w szafie, jednocześnie zerkając przez okno. Z jednej strony pod słońcem południa promieniała brzoskwiniową barwą willa ojca, z drugiej grupa ubogich łodzi rybackich z terkotem wypływała w morze po migocącej wodzie zatoki. Patrizii podobało się wszystko tu na górze - dom, pergola, zapachy, wiatr, a najbardziej widok na port. Nigdy w życiu nie mieszkała w równie pięknym miejscu. Zapowiadał się cudowny dzień, a orzeźwiający wiatr niósł lekką woń świeżego rozmarynu.

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka po przebudzeniu Patrizia ustawiła sztalugi na trawniku z tyłu domu, przygotowując się do pierwszego dnia prawdziwej pracy. Pamiętała o ostrzeżeniu Masięgo, że ze względu na ustawiczny niedostatek wody władze Porto Ercole w niektóre ranki odcinają jej dopływ bez uprzedzenia, i przygotowała sobie odpowiedni zapas do mieszania farb.

Nigdy w życiu nie czuła takiego zdenerwowania. Wydawało się jej, że malarstwo, jakie dotąd uprawiała, było zaledwie próbą kostiumową, przymiarką do czekającego ją teraz zadania. Temat jej obrazu był prosty: port w Porto Ercole, zmienne Morze Tyrreńskie, kręta droga, przepływająca w oddali łódź żaglowa, a nad nią kilka obłoków o dziwnych, ulotnych kształtach. Ale kompozycja obrazu? Czy była właściwa? A może należy wyrzucić dotychczasową pracę i zacząć od nowa?

Zbyt wiele i zbyt szybko się stało, pomyślała Patrizia. Co się z nią działo? Czyż nie tego właśnie chciała, czyż nie na to miała nadzieję? Czyż nie pragnęła zbliżyć się do ojca z zamiarem zdradzenia go, zadania mu bólu? Czyż nie chciała zranić go równie głęboko, jak on niegdyś zranił jej matkę? Równie głęboko, jak ona, Patrizia, czuła się zraniona, od chwili gdy ostatecznie zrozumiała, że nie ma ojca? Czyżby zapomniała, po co w ogóle przyjechała do Włoch?

Ale jej plan, od początku mętny i nieokreślony, legł w gruzach, gdy ujrzała i usłyszała Massimiliana Caracciego. Na razie miała wrażenie, iż dzięki sile swej osobowości to Masi kontroluje ją, a nie na odwrót. Choć przedstawiła się ojcu jako osoba obca, spotkała się z ciepłem, dobrocią i gościnnością. Lecz dostrzegła w nim także oznaki innych cech - cech, które, wedle słów Sarah Bogan, przysparzały wiele bólu Lizzie - uporu, porywczowości, żądzy dominacji.

Jednakże gdy Masi pochwalił jej malowanie, zareagowała w sposób, który ją samą wprowadził w zdumienie. Nie dość że nie chciała go już zranić, lecz

odkryła, że pragnie, by był z niej dumny. Wkroczyła w życie ojca z zamiarem zniszczenia go, a zamiast tego stwierdziła, że po dwudziestu dwóch latach, jakie minęły od chwili, gdy opuścił jej matkę na Piazza Navona, ona, Patrizia, nadal go potrzebuje. Jak to się stało, że kilka komplementów Masiego - „jesteś ogromnie atrakcyjną dziewczyną”; „masz spory talent” - odmieniło sposób, w jaki postrzegała samą siebie?

Nie chodziło o to, że nikt dotąd jej nie doceniał. Wykładowcy na uczelni bez końca chwalili jej zdolności wykorzystywania koloru. Właściciel galerii w Chicago, który umieścił kilka jej obrazów w kawiarni przy Michigan Avenue, powiedział, że usłyszał tyle pochwał i zachwytów, iż postanowił przedłużyć wystawę o kolejne trzy miesiące. No i była jeszcze Lizzie.

Za życia Lizzie między matką i córką zawsze występowała pewna rywalizacja, choć dziewczynie niezręcznie było to przyznać. Gdy siedemnastoletnia Patrizia oznajmiła swój zamiar zostania artystką, Lizzie skwitowała to chłodno: „No cóż, wielu ludzi pragnie zostać artystami, gdy dorośnie”, choć później przeprosiła, że nie odniosła się do ambicji córki serdeczniej. Gdy Patrizia przeniosła się do Nowego Jorku, któregoś wieczoru Lizzie oznajmiła jej przez telefon, że wraca do malowania. „Może kiedyś, ktoś zechce wystawić moje prace” - zażartowała, lecz Patrizia odłożyła słuchawkę z uczuciem, że w jakiś sposób obraziła matkę.

A może dopiero teraz, patrząc wstecz, była w stanie zrozumieć, jak trudno było Lizzie mieć córkę, która zamierzała zostać artystką? Owej Lizzie, która jako nastolatka ślęczała nad biografiami wielkich malarzy i zgłębiała barwy palety Renoira, Lizzie, która mając lat dwadzieścia parę sama chciała malować? Czasem Patrizia zastanawiała się, jak matka przeżyła rezygnację ze swej pasji - najpierw z malarstwa, potem z konserwacji dzieł sztuki. Jak się czuła, chodząc codziennie do pracy, gdzie nie mogła wykorzystać nawet ułamka swoich możliwości? Czy pogodziła się z faktem, że takie jest życie, czy też żałowała straconych szans, bezpowrotnie przepuszczonych okazji?

Patrizia przypomniała sobie, jak jasny i dziewczęcy był głos Lizzie w niektóre poranki, jak nieznajomo dźwięczał jej śmiech. Ten głos i śmiech sprawiały, że Patrizia czuła się tak, jakby wcale nie znała swojej matki, jakby twarz, którą Lizzie na co dzień ukazywała córce, była jedynie przybraną maską, wygodną tożsamością. Jakby prawdziwa Lizzie, ukazująca się na mgnienie w śmiechu i porannym brzmieniu głosu, owa młoda, uparta i nieco szalona Lizzie, pozostała gdzie indziej, być może we Włoszech, pochylona nad stołem, czyszcząca obraz, myśląca o Masim.

Oczywiście, w życiu matki byli obecni mężczyźni.

Na przykład brodaty Ron w muszce, o profesorskich manierach, albo lekko przygarbiony, nudnawy Peter, oraz inni adoratorzy. Ale Lizzie nie była zakochana w żadnym z nich; jak kiedyś wyznała Patrizii, wolała być sama, niż wiązać się z kimś, kto nie budzi w niej żadnych emocji.

Wczesnym rankiem w drzwiach domku gościnnego zjawił się Masi, niosąc na tacy kilka butli wody, „na wypadek, gdyby w nocy zachciało ci się pić”. Przeszedł się po pokojach, sprawdzając, czy wszystko w porządku, aż wreszcie, zadowolony, skinął na Patrizię, aby usiadła na kanapie w saloniku.

- Pewnie się dziwisz, dlaczego pozwalam ci korzystać z mojej pracowni - rzekł z poważną miną. - I pewnie zadasz sobie pytanie, kim jest ten człowiek. Czy proponuje mieszkanie u siebie każdej napotkanej osobie? Czy zupełnie mu odbiło? - To potoczne określenie najwyraźniej sprawiło mu przyjemność. - Odpowiedź brzmi: nie. Ale chyba oboje możemy wyświadczyć sobie przysługę.

- Jaką przysługę?

- Cóż, jeżeli twoja praca będzie dostatecznie dobra, kto wie?

Zapadła cisza.

- Kto wie co? - zapytała wreszcie Patrizia, lecz Masi nie odpowiadał.

- Daj mi znać, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała.

- Wszystko mogę kupić później w miasteczku... - odparła, lecz urwała, widząc zniecierpliwioną minę Masiego.

- Jesteś moim gościem - rzekł krótko. - Dostarczę ci wszystkiego, co trzeba.

Wychodząc, poinformował Patrizię, że został niespodziewanie wezwany do Rzymu i że wróci następnego dnia wieczorem.

- Przepraszam, że nie zostawiam ci samochodu - powiedział, dodając, że w garażu jest stary rower. - Oglądałem go dziś rano. Opony są - zrobił kółko z kciuka i palca wskazującego - w doskonałym stanie.

Jednak nie tylko Masi zajmował myśli Patrizii, lecz także Andrea. Andrea - samo wymawianie jego imienia, głośno lub po cichu, sprawiało jej dziwną, prawie grzeszną przyjemność. Nie zapomniała, że umówiła się z nim na kolację w *pensione* „Monte Christo”. Po odejściu ojca długo deliberowała nad tym, co na siebie włożyć, i w końcu zdecydowała się na prostą czarną sukienkę, podkreślającą jej ciemne oczy. O siódmej wieczorem podniecenie i niepokój Patrizii sięgnęły takich wyżyn, że schodząc na dół, do miasteczka, omal nie wpadła pod samochód.

Pod wpływem wymówek Andrei kupiła małe rozmówki włoskie, czując, że to nie fair, by cały ciężar kontaktu spoczywał wyłącznie na nim. Wiedziała już, jak po włosku powiedzieć „miska” (*la scodella*), „talerz” (*il piatto*), „serwetka” (*il tavogliolo*) i „stół” (*il tavolo*). Zawsze to jakiś początek, myślała, który na pewno sprawi Andrei przyjemność.

Zeszła krętą boczną uliczką do wejścia *pensione* „Monte Christo” i sprawdziła czas na zegarku; miała jeszcze pół godziny do nadejścia Andrei. Właśnie zamierzała pójść do kiosku, aby przejrzeć czasopisma, gdy dostrzegła chłopaka, wybiegającego z hotelu z wściekłą miną.

- Andrea! - zawołała. Odwrócił się.

- Nie mam pojęcia, co ty wyprawiasz, Patrizio - powiedział gniewnie. - Ale to kłamstwo, prawda?

- Co jest kłamstwem? - zapytała, czując nagły ucisk w żołądku.

Andrea zaczął mówić szybko po włosku, jakby do siebie, jednak jego ton był tak dobitny, że zwrócił uwagę kilku przechodniów. W końcu przeszedł na swą niedoskonałą angielszczyznę.

- Idę do ciebie do hotelu i co słyszę? Słyszę, że od dwóch dni tu nie mieszkasz. Że Patrizia Orman się wyprowadziła. To co ja mam myśleć?

- Andrea, rzeczywiście już nie mieszkam w *pensione* „Monte Christo” - szepnęła rozpaczliwie Patrizia. Zalała ją fala rozpacz. Jak mogła być taką idiotką, by umawiać się z nim przed *pensione*? Jak miała wytłumaczyć Andrei, że przeniosła się do domku gościnnego obok willi, wysoko nad zatoką, skoro wyraźnie powiedziała mu, że nie zna nikogo w Porto Ercole, a nawet w całych Włoszech?

- Dlaczego? Dlaczego się wyprowadziłaś? Dlaczego powiedziałaś mi, że tu się spotkamy? Nie chcesz mnie już widywać, o to chodzi?

Patrizia odczytała z jego twarzy, że fakt, iż bez uprzedzenia wyniosła się z *pensione*, dotknął go znacznie mniej niż myśl, że mógłby już jej nigdy nie zobaczyć.

- Andrea, cały dzień zastanawiałam się... - zaczęła z ulgą wyjaśniać.

- Och, szczerze wątpię...

- Ależ tak. Andrea, mogę to wyjaśnić.

Ale właściwie co i ile zamierzała mu wyjawiać?

- Czy jesteś tym, kim jesteś? Masz na imię Patrizia?

- Tak.

- Więc gdzie teraz mieszkasz? Gdzie sypiasz?

- Wytłumaczę ci wszystko przy kolacji - obiecała.

- Kolacja, no, nie wiem... - Andrea urwał dramatycznie, nadal zły i zbity z tropu, i zatrzymał się, aby zapalić papierosa. Zaciągnął się i wypuścił z ust długą, drżącą smugę dymu. - Nie wiem, czy chcę jeść kolację z kimś, kto mnie oszukuje. Kto próbuje mnie nabrać.

- Nie próbowałam cię nabrać - wykrztusiła Patrizia i chwyciła chłopaka za rękę, co najwyraźniej trochę go uspokoiło.

- No więc, co miałem myśleć? - dopytywał się, gdy szli ku centrum miasteczka. - Jednego dnia jesteś, a drugiego cię nie ma. Myślę sobie, może uciekasz ode mnie?

- Nigdy bym od ciebie nie uciekła.

- Dobrze, ale skąd miałem to wiedzieć?

- Ponieważ - rzekła Patrizia - nauczyłam się dla ciebie słowa „serwetka”. - I mimo woli po raz pierwszy od długiego czasu wybuchnęła niepoohamowanym śmiechem. Nie śmiała się tak od śmierci matki.

Andrea przyglądał się jej, rozchmurzony i nieco zakłopotany.

- Chyba jesteś szalona - usłyszała jego czułe słowa. - Co to znaczy, że nauczyłaś się dla mnie słowa „serwetka”?

- Serwetka. - Patrizia krztusiła się ze śmiechu. - *Il tavogliolo*. Dobrze mówię?

- No i co z tego? - Andrea udawał obrażonego. - Czy jestem serwetką? Nazywasz mnie serwetką?

- *Il tavolo* - jęknęła Patrizia.

- A teraz mówisz o mnie „stół”. To wszystko mi się nie podoba, o nie. Jestem mężczyzną, nie serwetką, nie stołem... - protestował, choć sam mimo woli zaczynał się śmiać. - Dlaczego właśnie te słowa? - spytał zaintrygowany, gdy wchodzili do restauracji. - Oczywiście cieszę się, że poznałaś słowo „serwetka”, ale powinnaś nauczyć się także innych słów.

- Na przykład jakich?

Andrea nie odpowiedział, gdyż zbliżył się do nich kelner i zaprowadził ich do wolnego stolika w głębi restauracji, która była długa, wąska i zatłoczona.

- *Un tavogliolo, per favore* - zwróciła się do kelnera Patrizia, gdy tylko zasiadła przy stole przykrytym obrusem w biało-niebieską kratkę, i na widok jego zaskoczony miny znów zaczęła chichotać.

- No dobra, teraz mi wyjaśnij - powiedział Andrea, gdy stanęły przed nimi dymiące talerze *linguine alle vongole* i *tortellini con prosciutto*. - Tylko proszę, bez żadnych głupstw o serwetkach. Jestem dumny, że się tego nauczyłaś, ale najpierw chcę, żebyś mi wszystko wytłumaczyła.

Patrizia z niechęcią myślała o tym, że nie może powiedzieć Andrei całej prawdy, ale czuła, że nie ma w tej sprawie wyboru.

- Poznałam pewnego marszanda - oznajmiła wreszcie, rozdarta. - Mieszka w willi „I Perazzi”...

Wyjaśniła, że ów marszand zainteresował się jej pracą i zaproponował, aby skorzystała z jego domku gościnnego, lecz Andrea znów się zdenerwował.

- Jak się ten facet nazywa? - zapytał.

- Massimiliano Caracci.

- No, to wszystko jasne. - Wymownie wzruszył ramionami. - Znam to nazwisko.

Patrizii zrobiło się niedobrze.

- Skąd?

- Znany handlarz sztuki nowoczesnej. Szanowany i sławny. Ma galerię w Rzymie, prawda, to ten sam człowiek? Czemu patrzysz na mnie taka zdziwiona?

Patrizia poczuła się wstrząśnięta faktem, że Andrea zna jej ojca ze słyszenia.

- Po prostu myślałam, że skoro Rzym to takie duże miasto...

- Wciąż ci powtarzam, że Włochy wcale nie są takie wielkie. Więc czego ten Caracci chce od ciebie?

Gdy Patrizia powiedziała mu, że próbuje namalować obraz na wystawę, która ma się zacząć za trzy tygodnie, Andrea popatrzył na nią ze zdwojonym szacunkiem.

- Gratuluję - powiedział cicho. - To prawdziwy zaszczyt.

- Cóż, może mu się nie spodoba...

- Ale że w ogóle cię poprosił - odparł Andrea. - Dziewięćdziesiąt dziewięć procent artystów we Włoszech dałoby wszystko, żeby w tej chwili znaleźć się na twoim miejscu. - Umilkł. - Więc podobasz się temu Caracciemu?

Pytanie zdziwiło Patrizię.

- Bardzo mnie zachęcał... - zaczęła.

- Nie rozumiesz. Pytam, czy ty mu się podobasz. Tak jak podobasz się mnie.

Patrizia pomyślała o nieporozumieniu, jakie zaszło w salonie Masiego, gdy ten odniósł wrażenie, że ona z nim flirtuje. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zażenowana i wspomnienie o tym sprawiło, że krew uderzyła jej do twarzy.

- Nie bądź śmieszny, Andrea.

- A jak niby powinienem zareagować? Mówisz mi, że mieszkasz w domu starszego mężczyzny, więc co mam myśleć?

- W domku gościnnym - poprawiła Patrizia - gdzie zajmuję się wyłącznie malowaniem.

Andrea lekceważąco machnął ręką.

- Ale ten domek gościnny jest blisko jego domu, prawda?

- Przysięgam, Andrea, to nie jest tak.

- Oczywiście. Rozumiem. Po co ci w ogóle ktoś taki, jak ja?

Patrizia napotkała jego dociekliwe spojrzenie.

- *Penso che stia cadendo nell'amore con tel* - powiedziała łagodnie.

Andrea nie rozumiał.

- Teraz mnie przedrzeźniasz!

- Nie przedrzeźniam. Mówię, jak jest. Poważnie.

Ku swemu przerażeniu Patrizia zdała sobie sprawę, że mówi prawdę, i przestraszywszy się własnych słów, skończyła posiłek w prawie zupełnym milczeniu, boleśnie świadoma skupionego na niej, przeszywającego spojrzenia Andrei.

- O co chodzi? - pytała kilkakrotnie, lecz on po prostu odpowiadał:

- Uwielbiam patrzeć na twoją twarz, to wszystko.
- Andrea? - Patrizia zdobyła się na śmiałość, gdy wychodzili z restauracji.
- Jak myślisz, co się teraz stanie?
- Jak to co się teraz stanie? To znaczy między tobą i Caraccim?
- Nie, to znaczy...
- Między tobą i mną? - Andrea zamilkł. - Nie wiem. Wiem, co chciałbym, żeby się stało. - Zaczerwienił się. - Chodź - powiedział nagle. - Idziemy, dobra?

Ruszyli drogą wzdłuż zatoki, zatrzymując się, aby podziwiać migocące światła jachtu zacumowanego w porcie, wyprzedzając zamożnych Włochów, odbywających pokolacyjną przechadzkę, patrząc na ludzi siedzących przy stolikach w kawiarenkach, rozmawiających z ożywieniem przy kawie i papierosie. Gdy minęli rząd zamkniętych na noc straganów rybnych, wzdłuż drogi wyrosły otoczone ogrodami domy mieszkalne. Nagle Patrizia nadzwyczaj wyraźnie ujrzała gwiazdy oraz duży, rozmyty księżyc, i poczuła zapach świeżego rozmarynu, zmieszany z całkiem przyjemną wonią świeżych ryb. Andrea chwycił ją za rękę.

- Pójdziemy rozejrzeć się trochę?

Na górze znaleźli starą drewnianą ławkę i przez następne kilka minut siedzieli wpatrzeni bez słowa w ciche piękno przed sobą - niewyraźne światła na rufie jachtu płynącego majestatycznie przez zatokę, oświetlone schody, prowadzące od portu do starożytnych etruskich umocnień, światła willi, ukrytych w górach. Gdy Andrea pochylił się, by ją pocałować, Patrizia żywo zareagowała, lecz gdy jego palce sięgnęły do guziczków jej spódnicy, odepchnęła go delikatnie.

- Co się dzieje? - mruknął Andrea, jakby w transie.
- Nie możemy tutaj.
- Czego nie możemy?
- Wiesz, o co chodzi.
- Więc gdzie? Proszę! Chcę z tobą być. Patrizia wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź ze mną.
- Iść z tobą dokąd? Do mojego samochodu?
- Po prostu chodź ze mną.

Poszli krętą drogą pod górę i przecięli wąską, asfaltową szosę, pilnie nasłuchując nadjeżdżających samochodów. Idąc między drzewami, tak znajomymi w ciągu dnia, które teraz zdawały się wyrastać z jednego czarnego pnia, nie odezwali się słowem. Minęli długi, zwirowany podjazd „I Perazzi”, oświetlony jedną przekrzywioną latarnią, i minąwszy willę, dotarli do domku gościnnego. Klucz Patrizii zaciął się w zamku i Andrea musiał jej pomóc. A potem, zwarci w pocałunku, runęli na łóżko Patrizii, po omacku szukając guzików, zamków błyskawicznych i napów.

Przez głowę Patrizii przemknęło mimowolne, pełne poczucia winy wspomnienie Erica i jego przyjaznego, nieco mechanicznego seksu, który dawał jej zadowolenie, lecz niewiele ponadto. Z jakiegoś powodu wyobraziła sobie Erica szczotkującego zęby w piżamie, a następnie plującego do umywalki. Dotknięcie Andrei było inne, lżejsze, bardziej umiejętne i elektryzujące. Ich ciała doskonale do siebie pasowały i Patrizia odkryła, że nienawidzi skóry, swojej i Andrei, gdyż ta ich rozdziela. Gdy było po wszystkim, odsunęła się od niego, lekko zawstydzona swoją namiętnością.

- Bardzo tu gorąco - powiedziała, nie mogąc znieść sztucznego brzmienia swego głosu.

- Hej! - zawołał cicho Andrea. - Hej, Patrizio, dokąd idziesz? Wracaj tu. - Odszukał porzucone na podłodze spodnie i wyjął z ich kieszeni paczkę papierosów. - Chcesz?

Patrizia z wahaniem pozwoliła sobie przypalić papierosa. Nigdy nie paliła, ale papierosy we Włoszech smakowały inaczej. Chociaż - gdzieś już to słyszała... Ktoś, kto przedtem nie palił, przyjechał do Włoch i wpadł w nałóg, żeby się nie wyróżniać...

Po chwili Patrizia zdała sobie sprawę, że była to jej matka.

Zdusiła papierosa i skrzywiła się.

- Faj. Za gorąco tutaj, żeby palić.

- Jesteś pewna, że to nie szkodzi, że jestem tu z tobą? - zapytał Andrea.

- Jestem pewna - odpowiedziała Patrizia z udawaną pewnością siebie.

Czuła się trochę winna, że przyprowadziła Andreę do domku gościnnego, prawie jak nastolatka przemycająca chłopca do domu pod nieobecność rodziców. A przecież, gdyby się nad tym zastanowić, czyż właśnie tak nie postąpiła?

- Skąd wiesz, że pana Caracciego nie ma? Wyjaśniła, że *signore* Caracci - bardzo uważała, by nie nazwać go Masi, co mogłoby sugerować zażyłość - wyjechał do Rzymu i wróci dopiero jutro po południu.

- Andrea? - zagadnęła cicho.

Odwrócił się do niej, delikatnie przesuwając palcem po jej nagim biodrze.

- Si.

- Pamiętasz, jak w restauracji zapytałam cię, co się teraz stanie, a ty powiedziałeś, że wiesz, co chciałbyś, żeby się stało? Co to miało znaczyć?

Andrea milczał przez chwilę.

- Chciałem powiedzieć - odparł w końcu - że chcę: być z tobą. Przez cały czas. - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - To mi się nigdy nie zdarza, wiesz? Żeby mi się ktoś aż tak podobał. Żebym czuł, że tak musiało być. Żebym czuł, że spotkałem osobę, którą miałem spotkać. To znaczy, Boże! -

Znów roześmiał się, zdumiony. - Wręcz widzę, jak się z tobą żenię! Dla mnie to fatalne!

- Fatalne?

Głos Andrei złagodniał.

- To znaczy, oczywiście chcę powiedzieć, że to świetnie.

Patrizia pragnęła mu wyznać, że czuje to samo. Że wyobraża sobie spędzenie z nim życia, wyobraża sobie... Lecz w owej chwili zalała ją lodowata

fala strachu. Andrea leżał na plecach, leniwie wachlując się jednym z jej szkicowników.

- Mam pomysł - powiedziała.

Woda w małym basenie Masiego, podgrzewana przez cały dzień gorącym włoskim słońcem, była tak ciepła, że prawie lepiała się do skóry. Nie było tu latarni, więc pływali po ciemku, czując pod stopami nagrzane kafle. Andrea zbliżył się do Patrizii od tyłu i objął dłońmi jej piersi, okrywając jednocześnie pocałunkami kark.

- Przestań - zachichotała Patrizia.

- Chcesz, żebym przestał, bo to lubisz - zaczął Andrea, gdy zniemacka do uszu Patrizii dobiegł warkot samochodu na podjeździe.

- O Boże... - szepnęła. - Musimy uciekać.

Trzasnęły drzwiczki i rozległy się kroki. Patrizia zdążyła wyjść z basenu, lecz była naga i ociekała wodą; oboje z Andreą szukali rozpaczliwie czegokolwiek, koszuli, spodni, żeby się okryć.

- Co zrobiłam z ubraniami? - jęknęła w popłochu. Nagle ujrzała je w myślach, leżące na podłodze sypialni w domku gościnnym, obok pośpiesznie ściągniętych dżinsów Andrei - nie wzięli ze sobą nawet ręcznika. Schylona, właściwie bez powodu, Patrizia skinęła na Andreę i pognęła do domku, a gdy znaleźli się w środku, padła z ulgą na łóżko. Serce jej waliło. Przez okno widziała fioletową lancję, zaparkowaną ukośnie na podjeździe. Co Masi tu robił?

Dlaczego tak wcześnie wrócił z Rzymu? A co ważniejsze, czy ich dojrzał, czy usłyszał ich głosy?

Patrizia długo czekała, leżąc na łóżku, aż wreszcie Andrea, wciąż ze znieruchomiałą z napięcia twarzą, powiedział:

- Chyba już po wszystkim. Właśnie zgasły światła w całym domu.

- Musisz iść - szepnęła.

Andrea przytaknął skinieniem głowy i w milczeniu szybko się ubrał.

- Kiedy się znów zobaczymy? - zapytał. Z bliska pachniał wodą, słońcą i słodką, i Patrizia głęboko odetchnęła tym zapachem.

- Jutro nie dam rady - szepnęła.

- No to pojutrze.

- Dobrze, pojutrze.

Dlaczego powiedziała mu, że jutro nie da rady? Nie miała przecież żadnych planów. Jednak powtórzyła:

- Pojutrze.

Gdy następnego ranka Patrizia wzięła do ręki pędzel, dochodziła już dziesiąta. Spędziła niespokojną noc, drzemiąc i budząc się nieustannie, wyraźnie widząc we śnie Andree. Nie pamiętała żadnych szczegółów swoich snów, oprócz tego, że Andrea walczył w nich z Masim, który wypędzał go ze swego terenu, używając jakiegoś narzędzia - łopaty albo miotły. Przebudzona szczebiotem ptaków, wstała późno i pijąc kawę, patrzyła, jak słońce wznosi się nad zatoką Porto Ercole.

Po drugiej filiżance kawy i śniadaniu złożonym z *cometti* jeszcze raz obejrzała wszystkie pomieszczenia domku gościnnego, szukając śladów, jakie mógł zostawić Andrea, po czym uspokojona, że nie ma żadnych oznak jego pobytu, ustawiła sztalugi na trawniku za domkiem. Jednak świadomość obecności Masiego w willi nie pozwalała jej się skupić, a gdy po kilku chwilach Masi wyszedł z domu, poczuła się jeszcze gorzej.

- *Buongiorno!* - zawołał. - I jak się dzisiaj miewa moja ulubiona artystka?

- Świetnie - odparła Patrizia tak beztrosko, jak umiała, unikając jego wzroku. - Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz z Rzymu.

- Plany się zmieniają.

Gawędzili przez chwilę, lecz Patrizia nadal nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Cóż, mówił Masi, w Rzymie jest jak w piecu. Czy Anna wie, ciągnął, że tak wielu kupców opuszczało Rzym w sierpniu, iż kilka lat temu musiał w to

wkroczyć rząd, wydając zarządzenie, by pewne sklepy i supermarkety pozostały otwarte? Ale on, Masi, lubi upał.

- Dobrze się wtedy czuję - powiedział, dodając, że taka pogoda przypomina mu dzieciństwo na Fiumicino. Nagle zapytał:

- Anno, czy palisz papierosy? Pytanie całkowicie zaskoczyło Patrizię.

- Nie - wykrztusiła z trudem. - To znaczy, czasem, w chwili słabości...

Masi wyciągnął rękę. Widząc na jego dłoni trzy lub cztery niedopałki, jeden swój, a pozostałe Andrei, Patrizia zupełnie straciła rezon.

- Więc chyba miałaś wczoraj sporo chwil słabości - powiedział Masi.

- Przepraszam - bąknęła Patrizia.

- A może należą do twego kolegi z basenu?

Zerkając na Masiego, Patrizia, ku swemu zdumieniu, ujrzała, że na jego twarzy maluje się nie gniew, lecz rozbawienie.

- Mogę to wyjaśnić... - zaczęła.

- A co tu wyjaśniać? Osobiście jestem zadowolony, że znalazłaś kogoś bliskiego. Ludzie sądzą, że miłość przychodzi łatwo, że wciąż się zdarza. Otóż wcale tak nie jest. - Masi zbliżył się o krok. - A ten chłopiec... jest dla ciebie dobry?

- Tak - odrzekła cicho Patrizia, wciąż nie mogąc się pogodzić z faktem, że Masi widział ją wczoraj w basenie z Andrea.

- To Włoch? Poznałaś go tutaj?

- Tak. - Patrizia ledwie słyszała swój głos.

- Bo jeżeli nie będzie dla ciebie dobry, musisz mi o tym powiedzieć. - Masi roześmiał się bezradośnie. - Bądź ostrożna, dobrze?

- Dobrze - przyrzekła Patrizia, dziwnie wzruszona jego słowami. - Naprawdę, bardzo przepraszam, że go tu przyprowadziłam. Po prostu... - głos jej się załamał - ...nie mieliśmy dokąd pójść.

Masi lekceważąco machnął ręką.

- Myślisz, że obchodzi mnie, że przyszedłeś tu z chłopakiem? Daj spokój. To twoja sprawa, co robisz. Po prostu nie chcę, żebyś paliła.

- Przepraszam...

- Zależy mi na tym. To okropny nałóg, który cię zabije. Obiecujesz?

Patrizię zdumiała postawa ojca. Bez pytania sprowadziła do jego domu młodego człowieka, z którym się kochała i pływała w basenie, a jedyną rzeczą, jaką martwi się Masi, jest palenie papierosów? Zbita z tropu, zgodziła się:

- Obiecuję.

- Dobrze. A teraz przejdźmy się trochę, masz ochotę? Milcząc, ruszyli zboczem wzgórza do brukowanej drogi.

Po jej drugiej stronie znajdowała się starożytna balustrada i schody prowadzące do morza. Masi zaczął wolno schodzić, po czym przekroczył balustradę, a Patrizia podążyła tuż za nim krętą ścieżką, prowadzącą do małej łąki, gdzie bujnie kwitły polne kwiaty.

Masi przeciął łąkę, tu i ówdzie podnosząc kawałek papieru, kamień albo gałąź o dziwnym kształcie. Widziane stąd morze miało opalizujący, niebieski kolor. Masi zatrzymał się przy wielkim głazie i skinął na Patrizię, aby usiadła obok niego.

Długo patrzyli na zielononiebieskie wody Morza Tyrreńskiego. Nawet o tej wczesnej porze panował upał, zdając się intensyfikować zapach sardynek, który Patrizia poczuła już wcześniej. Gdy o tym wspomniała, Masi poinformował ją, że w pobliżu znajduje się przetwórnia ryb.

- Czujesz nadchodzące *sirocco*? - zapytał znienacka. Wyjaśnił, że *sirocco* to wiatr śródziemnomorski, który wieje latem we Włoszech.

- Okropny - powiedział. - Wilgotny, porywisty, sprawia, że głowa zdaje się pękać i ma się ochotę kogoś zamordować. - Znow spojrzął na wodę. - Wiesz, to jedno z moich ulubionych miejsc w Porto Ercole. Mój ojciec wychował się w tym miasteczku, ale potem jego rodzina nie mogła już sobie pozwolić, aby tutaj

mieszkać. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Tu rozsypałem jego prochy, tak jak sobie życzył.

Ojciec Masiego. To znaczy dziadek Patrizii. Nie wiedziała nic o rodzinie swego ojca, choć przecież była to także i jej rodzina.

- Był pan z ojcem blisko? - usłyszała własny głos.

- To chyba zależy, co ma się na myśli, mówiąc „blisko”.

- A jaki był pana ojciec? Masi zmarszczył czoło.

- Miał dobre i złe strony, jak każdy - odparł. - Ciężko pracował na utrzymanie rodziny. Ale prawie nigdy go nie widywałem. Czasami w weekendy.

- Wzruszył ramionami. -

Dlaczego pytasz? A twój ojciec jaki był? Byliście sobie bliscy?

Zaskoczona pytaniem, Patrizia wpadła w popłoch.

- Ja również nieczęsto widywałam ojca - odparła pośpiesznie. - Więc nie, nie powiedziałabym, by był mi bliski.

- To jesteś taka jak ja.

Patrizia popatrzyła nań zaskoczona.

- Chyba tak - powiedziała w końcu cicho. - Chyba pod tym względem jesteśmy podobni.

- Każdy potrzebuje ojca - rzekł Masi zamyślony. - Nieważne, ile ma lat. Wszyscy potrzebujemy kogoś, kto powie nam, czy słusznie postępujemy, czy podejmujemy właściwe decyzje. Wszystkim nam potrzebne są słowa otuchy. Brakuje mi go. - Zamilkł, po czym westchnął ciężko. - Jak ci idzie malowanie?

- W porządku - odpowiedziała Patrizia. - Właściwie nie miałam czasu...

- A więc musisz stworzyć czas. Albo traktujesz to poważnie, albo nie. - Nagle głos Masiego stał się szorstki. - Jeżeli nie traktujesz tego serio, to marnujesz swój czas i mój.

Patrizia wpatrywała się weń, wstrząśnięta.

- Ależ jestem poważna - wykrztusiła w końcu.

- Dobrze. Tak myślałem. Więc czemu tracisz czas, chodząc ze mną na spacer? Następnym razem, kiedy zaproszę cię na przechadzkę, chcę, żebyś odpowiedziała: „Dziękuję, Masi, jesteś cudownym, ciekawym, uroczym towarzyszem, ale ja mam robotę”. Będzie mi szkoda, ale zrozumieć. Tak to jest.

- Zmrużył oczy. - Przejdziemy się nad wodę, Anno?

- Jasne - odparła bezmyślnie Patrizia.

- Nie słyszałaś, co do ciebie mówiłem? Zapytam jeszcze raz: przejdziemy się nad wodę, Anno?

Patrizia spojrzała nań, niewzruszona.

- Dziękuję, Masi, jesteś cudownym, ciekawym, uroczym towarzyszem, ale ja mam robotę.

- Dobrze. Wracaj do pracy.

Była to odprawa. Patrizia wstała niezgrabnie.

- No to do zobaczenia w domu - rzekła lekkim tonem, lecz Masi nie dał żadnego znaku, że ją usłyszał.

Wstępując na schody, obejrzała się jeszcze i ujrzała ojca, który siedział wpatrzony w wodę, ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi splecionymi za głową. Mała jej częśćka zapragnęła wrócić i zająć miejsce obok niego; wyczuła w nim dziś samotność i miała wrażenie, iż potrzebuje przyjaznego towarzystwa. Jednak w końcu odwróciła się na pięcie i powędrowała do pracowni.

Nigdy przedtem w całym swoim życiu - ani na uczelni, ani w galerii, a już z pewnością nie z własnej inicjatywy - Patrizia nie pracowała tak ciężko.

W ciągu następnego półtora tygodnia ostatecznie zrozumiała, co to znaczy poświęcić się sztuce. Z początku próbowała się opierać. Dlaczego miałyby spędzać każdą chwilę na malowaniu? Dlaczego nie mogła trochę pożyć - popływać, zdrzemnąć się, poczytać książkę lub spotkać się z Andreą po południu? Lecz w duszy wiedziała, że Masi ma rację: jeżeli ona traktuje swoją pracę poważnie, musi to udowodnić.

Jej pragnienie było bardzo proste - chciała namalować dla ojca niezwykle obraz. Chciała, żeby był z niej dumny. Miała również świadomość swojej żądy odwetu, pamiętała, że trzy tygodnie temu pragnęła go zniszczyć - zranić, zdradzić, uczynić mu dokładnie to samo, co on uczynił Lizzie dwadzieścia dwa lata temu. Ale teraz pragnienie to zostało zastąpione innym - chciała, by ojca zszokował jej talent, jej oko, technika, zaangażowanie, i wreszcie skończony obraz, który rzuci go na kolana.

Z początku drażniły ją ograniczenia, jakie narzucił jej Masi. Nazajutrz po ich wspólnym spacerze pojawił się w drzwiach domku gościnnego i zapytał, czy może obejrzeć to, co namalowała dotychczas. Niechętnie zaprowadziła go do pracowni, gdzie oparty o sztalugi stał jej obraz. Masi długo patrzył nań bez słowa, po czym odchrząknął.

- Niechlujne. Stać cię na więcej - rzekł leniwie. - Proponuję, byś zmieniła rozkład zajęć.

Nie była to prośba - dla Patrizii te słowa zabrzmiały bardziej jak polecenie.

- Za długo śpisz - ciągnął Masi.

- Tak?

- Tak. To do niczego. Pół dnia mija, zanim zabierzesz się do pracy. Chcę, żebyś zaczynała wcześniej rano. Poranki są najlepsze. Dlaczego? - Masi sam odpowiedział na to pytanie: - Bo nie tylko masz wtedy najwięcej energii, ale wciąż jesteś blisko swoich snów i nocnych marzeń. Podejrzewam, że dla ciebie czas, w którym śniesz, to jedyna pora, gdy pozwalasz sobie na swobodę, tak potrzebną twemu malarstwu. Czy to, co mówię, ma sens?

Oczywiście, każdy z jego artystów jest inny, kontynuował Masi, ale na ogół większość z nich maluje od rana do drugiej po południu, po czym robi przerwę na obiad i poobiednią drzemkę i znów podejmuje pracę, aż do zmroku.

- Również w twoim przypadku to się sprawdzi. Jutro spróbuj sama.

Patrizia, zdumiona własną śmiałością, burknęła:

- Mam własne życie, wie pan?

- A, chodzi o tego chłopca? Oczywiście, widuj się z nim, ile zechcesz. Samotność traci na znaczeniu, jeżeli nie jest świadomym odsunięciem się od ludzi. A poza tym on dobrze na Ciebie wpływa.

- Przecież nawet pan go nie zna.

- To prawda. Ale zmieniłaś się od czasu, gdy tu przyjechałaś.

Prawdopodobnie ten chłopak, jak on się nazywa...

- Andrea - podpowiedziała Patrizia.

- Prawdopodobnie Andrea ma z tym coś wspólnego, zgodzisz się?

- A cóż to ma znaczyć?

- Och... - Ojciec podniósł rękę, jakby chciał podrapać się w czoło, ale zrezygnował i pozwolił jej opaść. - Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

- Z przyjemnością - odparła Patrizia i, ku jej zdumieniu, Masi zaczął się głośno śmiać.

- Teraz wiesz, co to jest *sirocco*. Nienawidzisz mnie, prawda? *Sirocco* sprawia, że wszyscy nienawidzą się nawzajem.

Być może sprawiło to *sirocco* lub coś innego, ale Patrizia z zaskakującą łatwością wprowadziła ład w owe rozciągliwe, upalne dni lata w Porto Ercole. Budziła się wcześniej, o wpół do szóstej lub szóstej, robiła sobie termos kawy i wyciągała sztalugi na trawnik. Choć niechętnie to przyznawała, Masi miał rację; nowo wprowadzona dyscyplina nie tylko korzystnie wpływała na jej pracę, lecz sprawiała, że tym większą atrakcją stawały się spotkania z Andrea.

Trochę trwało, nim Patrizii udało się przekonać Andree, że choć ma dla niego mniej czasu niż poprzednio, tym bardziej drogie są jej godziny spędzone razem. On zabierał ją na przejażdżki po półwyspie Argentario, gdzie penetrowali małe wioski i miasteczka portowe w okolicy Porto Ercole. Któregoś dnia Patrizia zrobiła mu niespodziankę i wynajęła małą żaglówkę, po czym spędzili cały dzień na piaszczystej, ustronnej plaży, dostępnej tylko od strony wody. Jednak Andrea wydawał się coraz bardziej nieswój, a gdy wreszcie zapytała go,

co się dzieje, odparł, że martwi się rozpoczynającymi się na jesieni zajęciami na wydziale architektury.

- Jakie masz plany? - zagadnął pewnego popołudnia. - Zostajesz w Porto Ercole czy wrócisz ze mną do Rzymu?

Patrizia nie umiała odpowiedzieć na jego pytanie. Wiele zależało od tego, czy Masiemu spodoba się jej praca. Ale zdała sobie sprawę, że kwestia ta jest tylko zasłoną dymną, aby nie deklarować się wobec Andrei - Andrei, który stał się dla niej ważniejszy niż jakikolwiek obraz, ważniejszy niż jakikolwiek wernisaż, właściwie ważniejszy niż wszystko.

- Wiem tylko, że chcę być z tobą - powiedziała.

- Kocham cię, Patrizio - wyznał Andrea cicho.

Nigdy dotąd tego nie mówił i Patrizia wpatrzyła się weń oszołomiona.

- Ja ciebie też - odparła, po czym pośpiesznie wróciła do „I Perazzi” i znów wzięła się do pracy.

Przygotowania do zbliżającej się wystawy wyczerpały Masię. Znacznie rzadziej niż przedtem zaglądał do domku gościnnego i coraz więcej czasu spędzał, rozmawiając przez telefon. Był mizerny i blady; pomimo tego, co mówił Patrizii o swym ukochaniu lata, zauważyła, że prawie cały czas przebywa w klimatyzowanych pomieszczeniach willi, unikając nawet posiłków pod pergolą. Kilkakrotnie słyszała, jak zanosił się szarpiącym, chrapliwym kaszlem, którego ataki trwały pięć minut albo i więcej, i słyszać je było nawet w domku gościnnym.

Kiedy pierwszy raz zaproponowała, że ugotuje obiad, Masi oczywiście się nie zgodził.

- Jesteś gościem w moim domu - oznajmił stanowczo, lecz dwa dni później, gdy po południu przez godzinę krzyczał na kogoś przez telefon, przypomniał jej o propozycji.

Patrizia bała się trochę dla niego gotować, lecz - co ją samą zaskoczyło - kolacja, którą przyrządziła, najwyraźniej mu smakowała - risotto zapiekane z

botwinką i bekonem, sałatka z cykorii i erukii, świeży, wiejski chleb. Później, gdy odpoczywali przy małych filiżankach *espresso*, Masi zwrócił się do niej:

- Sądzę, Anno, że twoja obecność tutaj nie najgorzej mi zrobiła. - Uwaga ta była dziwnie oderwana, a głos Masiego pełen melancholii. - Chodzi mi o to, że dzięki temu miałem szansę... pewnie jedyną w życiu... aby być... - Lecz w tym momencie najwyraźniej zniechęcił się do tematu. - Mniejsza z tym.

- Z czym? - dopytywała się Patrizia.

- Nie wiem. - Masi umilkł. - Widzisz, jesteś w wieku mojej córki. - Zawahał się znowu. - Może mam teraz okazję dać ci trochę tego, co powinienem był dawać jej przez te wszystkie lata. Nie wiem... czy to się sprawdza? - W jego głosie pojawił się ostrzejszy ton. - Widzisz, od czasu do czasu posyłałem swojej córce różne rzeczy, ale podejrzewam, że matka jej ich nie przekazała.

- Kim była jej matka? - zapytała Patrizia, lecz Masi zdawał się nie słyszeć. Znowu umilkł, po czym zmienił temat.

W niektóre wieczory, zauważyła Patrizia, angielszczyzna Masiego była lepsza niż w inne dni, lecz dziś wyraźnie widziała, że wszystko, co mówi jej ojciec, musi przedzierać się przez barierę przekładu, toteż robiła sobie w duchu wyrzuty za to, że nie uczyła się pilniej włoskiego.

Jednak kilka dni później, gdy jedli w kuchni improwizowany lunch, Masi zwrócił się do niej:

- Zadałaś mi wtedy pytanie, na które nie odpowiedziałem. Zapytałaś, kim jest matka mojego dziecka. - Nie czekając na reakcję Patrizii, ciągnął dalej: - Była to piękna amerykańska studentka, konserwatorka dzieł sztuki, bardzo utalentowana. Kiedyś byłem w niej bardzo zakochany. Na imię miała Elizabeth, ale nazywałem ją Li. To takie - jak to się mówi? - zdrobnienie.

- Li - powtórzyła Patrizia, której serce tłukło się jak oszalałe.

- Li była bardzo... - Masi zaśmiał się nagle. - Myślę, że włoscy mężczyźni nie najlepiej wiedzą, jak postępować z takimi kobietami.

- Jakimi? - Patrizia, świadoma, że zadała pytanie nieprzyjemnym tonem, powtórzyła je ciszej, ale Masi zdawał się tego nie zauważać.

- Niezależnymi. Z kobietami, które wiedzą, czego chcą. Ja...

Widząc, że ojciec nie kontynuuje wątku, Patrizia zapytała ostrożnie:

- I co się stało?

- Zaszła w ciążę. Ze mną, oczywiście, choć oskarżyłem ją, że sypiała z innymi. Nie byłem gotów, by się ustabilizować i mieć dzieci. Jak wielu mężczyzn, chciałem najpierw zaznaczyć swoją obecność w świecie, zanim sprowadzę na ten świat dziecko. Mówiłem jej straszne rzeczy. Kochałem ją, ale... - Masi wzruszył ramionami. - Byliśmy na różnych etapach życia, i tyle. Nie jestem z tego dumny, ale cóż, to są fakty. Nigdy już nie pokocham takiej kobiety. I nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiłem. - Odkasznął. - Przekonasz się jeszcze, że większość Włochów to przyziemni realiści. Ale nie wiem, które z nas wtedy było większym realistą, ja czy Li.

Myśląc o tym, jak postąpił wobec jej matki, Patrizia poczuła przelotny niesmak do siedzącego przed nią mężczyzny, jednak uczucie to zniknęło, gdy Masi dodał:

- Jak już mówiłem tamtego wieczoru, być może mogę dać tobie, Anno, trochę tego, co ojciec powinien dać dziecku, którego nigdy nie dane mu było poznać.

- A co, pana zdaniem, ojciec daje dziecku? - zapytała Patrizia nieśmiało.

- Cóż, powiedziałbym, że to zależy od dziecka, prawda? Dziewczynka bardzo różni się od chłopca.

Patrizia zaczerpnęła głęboko tchu.

- Powiedzmy, że to dziewczynka. Masi zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sądzę, bym znał odpowiedź na twoje pytanie. Muszę to sobie przemyśleć. - Nagle jego głos się ożywił. - Tak czy inaczej, jestem ci bardzo wdzięczny, Anno, że pojawiłaś się w moim życiu właśnie teraz, gdy tak często

rozmyślam o przeszłości i moje uczucia w pewnych sprawach są... - przerwał - ...dość skomplikowane.

Przez kilka chwil Patrizia nie mogła ruszyć się z miejsca. Łzy napłynęły jej do oczu i choć odwróciła się, by Masi ich nie zauważył, i tak je dostrzegł.

- Czy powiedziałem coś przykrego, Anno? - zapytał łagodnie.

Patrizia przeprosiła go i zaczęła sprzątać ze stołu. W kuchni napuściła do zlewu gorącej wody i zanurzyła w niej talerze, miski i kieliszki. Teraz, gdy była sama, łzy popłynęły jej strumieniem; zdała sobie sprawę, że właśnie usłyszała najbardziej zbliżone do przeprosin zdanie, jakie kiedykolwiek mogło paść z ust jej ojca.

Kiedy wróciła do pokoju, ojciec spał, oddychając ciężko, z głową opartą o poduszki kanapy. Zauważywszy, jak chłodno jest w klimatyzowanym pomieszczeniu, Patrizia wzięła niewielki pled w czerwono-niebieską kratę i delikatnie okryła nim nieruchome ciało, starannie utykając brzegi, aby nie spadł, gdyby ojciec się poruszył.

- Śpij dobrze, tatusiu - szepnęła niemal niedosłyszalnie; Masi nawet na jawie nie zrozumiałby, co właściwie powiedziała.

Następnego dnia Patrizia dopiero po kilku godzinach zorientowała się, że są jej urodziny. Fakt ten trochę ją zaskoczył; w ogóle nie myślała o tym dniu i nikt, nawet Andrea, nie wiedział, że ona kończy dziś dwadzieścia trzy lata.

- Szczęśliwych urodzin, hej, ty tam - powiedziała do swego odbicia w lustrze. Zastanawiała się, czyby nie zrobić sobie urlopu - mogła zadzwonić do Andrei i umówić się z nim na lunch albo znów wynająć łódź i popływać wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu odosobnionych plaż. Wówczas jednak przypomniała sobie, że w obecnych okolicznościach data 31 sierpnia oznacza tylko jedno: do wernisażu Masiego pozostało dokładnie trzy tygodnie. Czując wzbierającą w piersi falę paniki, Patrizia wzięła się zatem do wykańczania obrazu.

Zacząła od poprawienia żagla łodzi, a potem, niezadowolona z nachylenia rufy, przetała ten fragment papierem ściernym i położyła farbę jeszcze raz.

Podretuszowała kilka szczegółów i skupiła się na kadłubie. Jak dotąd, nie potrafiła uzyskać pożądanej barwy, pomyślała więc, że spróbuje zmieszać farby, jakich dotychczas nie używała, zastosuje coś nowego, a jeżeli nie wyjdzie, zawsze będzie mogła to zmienić.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak swobodna, nigdy nie podejmowała tak chętnie ryzyka - i przez kolejne dziesięć godzin malowała jak w transie, nie zauważając, że przyszła i minęła pora lunchu, i nie dostrzegając długich cieni, które zaczęły kłaść się na trawnik trzy godziny później. O piątej po południu obraz Patrizii w niewielkim stopniu przypominał płótno, nad którym pracowała przez ostatnie dwa tygodnie.

Łódź żaglowa składała się białych trójkątów, przywodzących na myśl ostrość, pęd i wiatr, z pewnością niepodobnych do łodzi żaglowej; co się zaś tyczy wody, Patrizia zeskrobała wszystko, co dotąd zrobiła, i namalowała Morze Tyrreńskie takie, jakim je widziała - wzburzoną szaroniebieską masę, rozplywającą się w różowych smugach popołudniowego letniego nieba.

Dwie godziny później ostatecznie odłożyła pędzle. Czuła się wyczerpana, przerażona i dumna. Skończyła. Przez chwilę kusił ją, by wrócić i poprawić kilka szczegółów, lecz przyszedł jej na myśl komentarz Masięgo na temat pewnego mało produktywnego malarza, który każdy obraz malował co najmniej rok. Postanowiła zostawić płótno w spokoju i zaryzykować.

Kiedy Masi otworzył drzwi, ujrzał stojącą na progu Patrizię ze śladami farby na rękach i twarzy.

- Skończyłam! - zawołała, zdumiona własnym entuzjazmem.

Najwyraźniej przeszkodziła ojcu - gdy przechodził obok niej, zauważyła, że ma nieco obrzękłą twarz i czuć od niego alkohol - lecz ujrzawszy jej triumfalną minę, rzekł jedynie:

- No to chodźmy zobaczyć.

Patrizia nagle poczuła się głupio, zmartwiła się i złękła. Czy Masi dobrze się czuje? Co prawda, nie znała go zbyt długo, ale z tego, co wiedziała, nigdy

nie pił naraz więcej niż dwa kieliszki wina, dzisiaj jednak, sądząc z jego niepewnego kroku, musiał znacznie przekroczyć tę normę. A poza tym, co będzie, jeżeli uzna jej pracę za fatalną? Dogoniwszy go pod drzwiami domku gościnnego, przeżyła chwile strasznych wątpliwości - może powinna wrócić i popracować jeszcze trochę nad obrazem?

- Pewnie nie spodoba się panu to, co zrobiłam - zaczęła, lecz Masi tylko uśmiechnął się krzywo.

- Anno, proszę, myślę, że sam potrafię to ocenić.

Zatrzymał się kilka kroków przed sztalugami.

Patrizia wolała zostać w pobliżu drzwi, aby uciec natychmiast, gdyby reakcja ojca okazała się niekorzystna. Masi podszedł bliżej, po czym znów się cofnął, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, w końcu jednak zrezygnował i odwrócił się do niej. Nie mogła nic wyczytać z jego błyszczących oczu. Niepewnie wyciągnął do niej dłoń. Ich palce zwarły się na dłuższą chwilę, ale nadal oboje milczeli. Wreszcie Masi uwolnił jej rękę i uśmiechnięty ruszył ku drzwiom.

- Wiedziałem, że potrafisz - rzekł po prostu. - Dobra robota, Anno.

Czy tylko tyle miał do powiedzenia? Patrizia przez chwilę zastygła w miejscu, a potem zawołała do oddalającej się postaci:

- Dziękuję!

Masi był już w pół drogi do domu, jednak zatrzymał się i odwrócił głowę z tym samym krzywym uśmiechem, co poprzednio.

- Dziękujesz za co? Wszystko, co potrzebne, zawsze miałaś w środku. To ty tego dokonałaś. Jeżeli chcesz komuś dziękować, podziękuj samej sobie.

I ruszył ku domowi swoim powolnym, niepewnym krokiem.

Jednakże nazajutrz Masi był jak nowy - pobudzony, energiczny, pełen planów.

- Załatwiłem ci mieszkanie przyjaciela, którego do grudnia nie będzie w Rzymie - poinformował Patrizię, gdy wyjeżdżali z Porto Ercole. - To w pobliżu

Zatybrza, sędzę, że ci się spodoba. Możesz korzystać z mieszkania przez cały wrzesień, a potem porozmawiamy o dalszych obrazach, wystawach i w ogóle o przyszłości. - Umilkł na chwilę. - Masz wiele przed sobą, Anno - dodał cicho. - Jesteś jedną z tych artystek - i, jak podejrzewam, osób - które osiągną, cokolwiek sobie zamierzą.

Andrea nalegał, że to on odwiezie Patrizię do Rzymu.

- Dlaczego chcesz wracać z tym Caraccim? - dopytywał się.

Kiedy wyjaśniła, że czuje się zobowiązana wobec swego gospodarza, nadąsał się, ale w końcu doszli do porozumienia. Andrea miał jechać za nimi, „na wypadek, gdyby Caracci próbował z tobą jakichś sztuczek”.

- Patrizio, nie mogę się doczekać, by pokazać ci Rzym - niecierpliwił się.

Patrizia ze smutkiem patrzyła przez okno, gdy lancia opuszczała Monte Argentario i skręcała na południową autostradę w kierunku Rzymu. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze wróci do „I Perazzi”, ale podejrzewała, że tak się nie stanie. Masi zauważył jej nastrój.

- Każdego lata coraz trudniej mi wyjeżdżać. A szczególnie tego lata.

Patrizia zerknęła nań, spodziewając się, że powie coś więcej, lecz tylko zwiększył obroty klimatyzatora.

- Musimy skupić się na teraźniejszości, nie na tym, co minęło - uśmiechnął się. - Nie jest ci zimno?

- Nie, w porządku.

- A tak na marginesie... Chcę cię przeprosić za wczoraj.

- Co wczoraj? - zapytała Patrizia, choć świetnie wiedziała, o czym Masi mówi.

Patrzył prosto przed siebie, skrywając oczy za szklami ciemnych okularów.

- Nie byłem przygotowany na twoje odwiedziny, na to, że skończysz malować. Wczoraj była rocznica urodzin mojego dziecka. Zwykle w ten dzień pozwalałam sobie na odrobinę sentymentalizmu i trochę użalam się nad sobą.

Niezbyt mądry zwyczaj, muszę przyznać. - Odkaslnął. - Piję za zdrowie dziecka i zdarza mi się wypić za dużo.

Umilkł.

Podczas swego krótkiego pobytu w „I Perazzi” Patrizia dwukrotnie odczuwała pokusę, by ujawnić ojcu, kim jest. Było to tego dnia, gdy ujrzała go po raz pierwszy, i trochę później, gdy się spotkali i Masi podał jej rękę, ale od tamtej pory ani razu ta pokusa się nie powtórzyła. Teraz jednakże opanował Patrizia potężny impuls, by powiedzieć mu wszystko o sobie, o Lizzie, o tym, co wiedziała. Pragnęła powiedzieć: „Wczoraj były także moje urodziny, cóż za zbieg okoliczności, prawda?”. A potem patrzyłaby na minę Masiego, kojarzącego fakty.

Ale ojciec już myślał o czym innym.

- Na wernisażu będzie zwykle towarzystwo - mówił. - Spodziewamy się wielu osób w dniu otwarcia oraz licznych widzów w następnych tygodniach. Nie zamierzam pokazywać obrazów w jakiejś określonej kolejności - ciągnął - z jednym wyjątkiem. Twoje płótno będzie pierwsze, na jakie padnie wzrok gości po wejściu do galerii.

Patrizia nie mogła w to uwierzyć.

- Moje?

- Oczywiście. - Odwrócił się do niej. - Nic nie rozumiesz, prawda? Nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrą jesteś artystką. Wiesz, że to jedna z twoich najbardziej czarujących cech?

Rzymska dzielnica Zatybrze, gdzie zamieszkała Patrizia, była siedzibą artystów, którą wielu turystów porównywało z nowojorską Greenwich Village. Istotnie, istniało między tymi miejscami wiele podobieństw: wąskie, krzywe uliczki, liczne knajpki i kawiarenki uliczne, odświętny, modny tłum na ulicach. Apartament, który Patrizia przez następny miesiąc miała nazywać domem, był po prostu olbrzymi - sześć wysokich, wspaniale umeblowanych pokoi z

widokiem na Ponte Sisto. Wręczając Patrizii klucz, Masi podał jej także białą urzędową kopertę.

- Zaliczka za twoją pracę - powiedział. - I nie sądź, że jestem taki hojny. Wszystko to odbiję sobie z nawiązką po wernisażu.

Gdy wyszedł, Patrizia otworzyła kopertę i wyjęła z niej czek. Kwota wstrząsnęła nią - opiewał na osiemnaście milionów lirów, czyli około dziesięciu tysięcy dolarów, największą sumę, jaką jednorazowo zarobiła na malowaniu. Z ulgą odłożyła go do szuflady; zostało jej już tylko dwieście dolarów i zastanawiała się właśnie, jak sobie poradzi. Teraz nie musiała się martwić.

Ukończywszy obraz, mogła do woli spotykać się z Andrea, ale plan jego zajęć na uczelni okazał się nieoczekiwanie napięty. Patrizia nie wiedziała, czy smucić się tym, czy cieszyć. W sierpniu naprawdę była bardzo zajęta, ale teraz, gdy miała mnóstwo wolnego czasu, zdała sobie sprawę, że używała malowania jako pretekstu, by nie widywać się z Andrea zbyt często. Świadomość ta zbiła ją z tropu. Była w nim zakochana, to oczywiste; czemu zatem coraz bardziej go unikała? O ileż łatwiej przychodziło jej rozmawianie z nim przez telefon! W jego obecności zapominała języka w gębie, czuła się niespokojna i skrępowana, a gdy pytał, co się dzieje, wymyślała historie, które brzmiały fałszywie nawet dla niej samej.

Jednakże pomimo to starała się spotykać z Andrea co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu, zwykle na Zatybrzu, w dzielnicy, którą Andrea świetnie znał. Jedno popołudnie spędzili, zwiedzając średniowieczne kościoły, Santa Maria dei Sette Dolori, projektu Borominiego, oraz ulubiony kościół Patrizii, Santa Maria, gdzie znajdowały się dwunastowieczne mozaiki Cavalliniego.

Wróciwszy do mieszkania Patrizii, kochali się całymi godzinami, po czym Andrea palił papierosy, Patrizia zaś, pomna danej Masiemu obietnicy, odmawiała, gdy ukochany ją nimi częstował. W następnym tygodniu Andrea zabrał Patrizię do znanej restauracji „Casa della Fornarina” - ostatniego domu Margherity, córki piekarza, która pozowała do słynnego portretu Rafaela *La*

Donna Velata. W drodze powrotnej wręczył jej mały rożek, owinięty w papier, a kupiony od ulicznego sprzedawcy.

- To się nazywa *grattachecca* - oznajmił. - Lody polane czymś w rodzaju syropu. Najlepsza rzecz na świecie, spróbuj tylko.

- Nie chcę - odmówiła gwałtownie Patrizia. Andrea wpatrywał się w nią, zmieszany.

- Przepraszam, Andrea, oczywiście, dziękuję bardzo.

- Co się z tobą dzieje, Patrizio? - zapytał z urażoną miną.

Jedzenie. Smaki i zapachy Włoch. Nieruchomy upał Rzymu we wrześniu. Przystojny młody mężczyzna, oprowadzający dziewczynę po swoim mieście, pokazujący jej najciekawsze zabytki, proponujący miejscowe specjały, patrzący z dumą, gdy ta ich próbuje. Zatybrze, miejsce, gdzie znajdował się gabinet godnego zaufania ginekologa.

- Muszę iść, Andrea - rzekła Patrizia w popłochu, lecz znalazłszy się w mieszkaniu, zdenerwowana odkryła, że na sekretarce telefonicznej czeka na nią wiadomość od Masiego.

Od czasu powrotu z Porto Ercole rzadko widywała ojca. Zajęty gorączkowymi przygotowaniem do otwarcia wystawy, nie miał wiele czasu na spotkania i tylko zostawiał przyjazne, rozgadane wiadomości na sekretarce. Dziś informacja była konkretniej: dwóch klientów, Szwajcar i Włoch, wyraziło równocześnie chęć zakupu obrazu Patrizii. Masi wiedział, że trochę za późno ją o to pyta, ale czy Patrizia mogłaby zjeść z nim jutro lunch w małej restauracji w pobliżu Campo dei Fiori?

Kiedy następnego dnia Patrizia pojawiła się w trattorii, zdziwiła się, że ojciec nie jest sam. Podchodząc do stolika, stwierdziła zmieszana, że kobieta, obecnie zatopiona w intymnej rozmowie z Masim, to Becky z galerii. Na widok Patrizii Masi poderwał się na równe nogi.

- Anna! To jest moja przyjaciółka Becky, również Amerykanka.

Podając rękę Patrizii, Becky spojrzała na nią dziwnie.

- Czy ja pani nie znam... - zaczęła mówić, lecz Masi przerwał jej.

- Oto Anna, o której tyle ci mówiłem.

Krótko opowiedział, jak Patrizia zjawiała się pewnego ranka w jego willi w Porto Ercole, wyglądając „niczym urwis z ulicy” i zachowując się tak, jakby całe Włochy były przeznaczonym dla jej pędzla pejzażem.

- Ale okazało się, że to był mój szczęśliwy dzień. - Masi się roześmiał i dodał: - Mam nadzieję, że Anna też tak uważa.

- To niezwykła opowieść - powiedziała Becky, kiedy skończył. Cały czas zdawała się nad czymś zastanawiać, lecz dopiero gdy Masi zostawił je na chwilę, aby porozmawiać ze znajomym przy innym stoliku, spojrzała Patrizii w oczy.

- No, no, moje gratulacje - rzekła. - Wielu ludziom naprawdę podoba się pani obraz.

- Dziękuję - odparła Patrizia, unikając wzroku Becky. Zapadło milczenie.

- Cóż - powiedziała wreszcie Becky z przekąsem. - Nieźle to pani rozegrała.

- O co pani chodzi?

- Och, proszę pani. - Becky uśmiechnęła się ironicznie. - Przypadkiem zjawiała się pani u Masiego w Porto Ercole, mówiąc, że pani maluje? Co za niezwykły zbieg okoliczności!

- To nie tak, jak pani myśli... - zaczęła się tłumaczyć Patrizia, beznadziejnie zmieszana.

- Zdawało mi się, że pani mówiła, że Masi to znajomy pani matki.

- Bo tak jest...

- A pani przypadkiem jest artystką, która chce umieścić pracę na wystawie. - Becky ucięła wszelkie próby wyjaśnień. - No nie, doprawdy. Na swój sposób nawet podziwiam takie osoby jak pani. Zawsze dostają to, czego chcą.

Nagle Patrizia zrozumiała; Becky była zazdrosna. Z jej punktu widzenia Patrizia rywalizowała z nią o względy Masiego. Dziewczyna mimowolnie się roześmiała.

- Naprawdę, to nie jest tak, jak pani sądzi. Mogłabym być jego córką.

- I to ma mnie uspokoić? Niech pani nie będzie śmieszna. - Ale Becky uśmiechnęła się z satysfakcją. - Ale cóż, pobieramy się z Masim w przyszłym roku, więc w gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, co pani robi.

Wiadomość ta wstrząsnęła Patrizia. Podczas miesiąca spędzonego w Porto Ercole Masi ani razu nie wspomniał o Becky. Pobierają się? Mało prawdopodobne, mimo to Patrizia poczuła ulgę, gdy Masi wrócił do stolika.

- Poznałyście się już? - zapytał. - To dobrze. - I zwracając się do Patrizii, dodał: - Becky to moja kobieta Piętaszek. Dzięki niej zachowuję zdrowie psychiczne.

Przez cały lunch Patrizia rzucała ukradkowe spojrzenia na Becky, analizując stosunki łączące ją z ojcem, i zupełnie nie potrafiła skupić się na jego słowach.

- Sądzę, że to uczciwa cena - mówił Masi. - Nie możemy żądać zbyt wysokich cen za prace początkujących, bo klienci przestaną nas lubić. Nazwałaś jakoś swój obraz? - zapytał, zwracając się do Patrizii, a widząc, że kręci przecząco głową, powiedział: - To nic, coś wymyślimy. Staram się w miarę możliwości unikać prac *Bez tytułu*.

Patrizia nie miała pojęcia, jak udało jej się przetrwać lunch. Kiedy we trójkę wychodzili z restauracji, Masi poinformował Becky, że zamierza podrzucić ją do galerii, gdyż tego popołudnia musi jeszcze załatwić wiele spraw. Wysiadając z samochodu, Becky rzuciła Patrizii jadowite spojrzenie.

- A wy dokąd się wybieracie? - zapytała Masiego z udaną beztróską.

- Zamierzam pokazać Annie bardzo specjalny kawałek Rzymu.

Patrizia nigdy jeszcze nie widziała ogrodów tak wspaniałych jak watykańskie. Zieleń traw była tu niezemska, również klomby i pergole

ośniewały feerią barw, czerwieni, fioletów, oranży i żółci. Wspominając je później, mogłaby przysiąc, że dostrzegła kolory, które nie istniały, połączenia fioletu i seledynu, żółci i ochry.

- Szczęśliwie mam prawo wstępu do tych ogrodów - powiedział Masi, gdy szli ścieżką. - Pewien dostojnik watykański - nie, nie papież, słowo daję - jest artystą amatorem. Kilka lat temu podjąłem się go reprezentować. W zamian uzyskał dla mnie zezwolenie na przychodzenie tutaj. Wydaje mi się, że to najspokojniejsze miejsce w Rzymie. Przychodzę tu czasem po prostu, żeby pomyśleć, żeby pobyć w samotności.

Przystanął przed szpalerem wyniosłych drzew oliwnych.

- Anno, tak się cieszę, że mogłem cię poznać. Być częścią twego życia to zaszczyt - powiedział, a kiedy Patrizia zaczerwieniła się, dodał: - Mówię poważnie! Możesz pojechać, dokąd zechcesz, robić, co zechcesz.

- Dziękuję - odparła cicho Patrizia. Przez chwilę szli w milczeniu po nieskazitelnym trawniku, aż wreszcie Patrizia zdobyła się na odwagę, by zapytać:

- Kim jest Becky?

Jej głos zabrzmiał głucho.

- Becky? Och, pracuje u mnie w galerii.

- Naprawdę? Masi spojrzał na nią.

- Naprawdę.

- I rzeczywiście chce pan się z nią ożenić? Popatrzył na Patrizię wręcz z rozczarowaniem.

- A kto tak mówi?

- Ona. Becky.

- Tak? Ciekawe rzeczy opowiada.

- A to prawda?

- Nie. Nieprawda. - Masi wzruszył ramionami. - Pewnie, rozmawialiśmy o tym, ale dawno stwierdziłem, że wiele kobiet lubi rozmawiać o takich

sprawach. Społeczeństwo się zmienia, lecz kobiety od najdawniejszych czasów wciąż marzą, aby ujrzeć się w białej sukni ślubnej, sypać płatkami róż na lewo i prawo. - Zaczął parodiować sypanie kwiatami. - „Ach! Och! Ach!“. Co za banał! Becky to marzycielka. A poza tym jest bardzo spięta i wierzy, iż dzięki Włochom coś się w niej rozluźni. Stereotyp śródziemnomorskiego kochanka! Ale to, niestety, tylko stereotyp. - Masi zatrzymał się. - A więc, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, nie, nie zamierzam się z nikim żenić. Oczywiście, mam ogólniejsze powody, dla których nie chcę małżeństwa, ale nie będę teraz o nich mówił. - Roześmiał się szorstko, po swojemu. - Becky to świetny kompan. Lubię Amerykanki. Umieją się bawić.

Wiem, pomyślała Patrizia, dopóki ci się nie znudzą. Ale powiedziała tylko:

- Więc się pan nie żeni?

- Oczywiście, że nie. To nie byłoby w porządku ani wobec niej, ani wobec mnie. Masz jeszcze jakieś pytania?

- To znaczy, że puści pan ją kantem?

- Co za obrzydliwe sformułowanie! Nie, nie mam potrzeby puszczać Becky kantem. Na razie bardzo lubię jej towarzystwo.

Wówczas przed oczami Patrizii stanęła twarz Becky, zwykłej dziewczyny - skąd to? Z Buffalo? Z Vermontu? Dziewczyny z jakiegoś małego, ciasnego stanu na Północnym Wschodzie, której udało się wyjechać do Włoch, gdzie spotkała mężczyznę w średnim wieku, z pewnością stanowiącego miłą odmianę po amerykańskich chłopcach, jakich znała przez całe życie. Mężczyznę, który zapewne podbił jej serce swoją kulturą i wykształceniem, urokiem i poczuciem humoru, pełnym zainteresowania i podziwu spojrzeniem. Mężczyznę, z którym mogła długo rozmawiać o winach, jedzeniu, operze, piłce nożnej, polityce, historii, teatrze, matematyce, sztuce i artystach. Nic dziwnego, że się w nim zakochała. Ale wkrótce - i tego Becky jeszcze nie wiedziała - wszystko to miało się skończyć.

W piersi Patrizii wezbrała dawna furia, która, jak jej się zdawało, zesłała już na dalszy plan. Dziwne było przeżywać takie wzburzenie w najspokojniejszym miejscu w Rzymie - w ogrodach Watykanu, które miały skłaniać do kontemplacji i wywoływać prawdziwą błogość. Idąc w stronę bramy, miała świadomość, że przyśpieszyła kroku i zaczęła szybciej oddychać.

- Anno, co się stało? - zapytał Masi. - Czy źle się czujesz?

Patrizia obróciła się na pięcie.

- Źle? Dlaczego miałabym czuć się źle?

Patrzył na nią przez chwilę, aż wreszcie jego twarz rozluźniła się w uśmiechu.

- Masz tremę przed wernisażem. Na twoim miejscu poszedłbym do domu i odpoczął.

- Nie czuję się zmęczona.

- Anno...

- To nie jest moje imię.

Patrizia nie mogła uwierzyć, że wreszcie to powiedziała, i przez moment żałowała, że w ogóle otworzyła usta. Ale było już za późno.

- Co ty mówisz? - Masi podszedł bliżej. Roześmiał się. - Ach, rozumiem, nic nie mów... Teraz, kiedy odniosłaś sukces jako artystka, masz zamiar zmienić nazwisko na... Poczekaj, poczekaj, jak by cię tu nazwać...

- Wie pan, że kiedy moja matka była w moim wieku, także przyjechała do Rzymu?

Masi potraktował tę wiadomość dość obojętnie.

- Nie, nigdy o tym nie wspominałaś. Tak... - Wydawało się, że brak mu słów. - I co, podobało jej się nasze piękne miasto?

- Ma się rozumieć. Wręcz je uwielbiała. A wie pan, jakie było jej ulubione miejsce w Rzymie?

Masi patrzył na nią, zdumiony.

- A skąd mam wiedzieć?

- Piazza Navona.

Masi wzruszył ramionami.

- Piazza Navona to piękny plac. Dlaczego nie miałby być ulubionym miejscem turysty? Mogę sobie wyobrazić gorsze miejsca. Anno, dlaczego rozmawiamy o twojej matce?

- Już panu mówiłam, to nie jest moje imię - powtórzyła głośno Patrizia.

- A jak ci na imię? Zignorowała pytanie.

- Kiedy matka tu przyjechała, miała dwadzieścia dwa lata. I, tak jak ja, chciała być artystką. Ale pracowała także jako konserwatorka dzieł sztuki...

- Och.

- ...w Istituto dei Restauero. Twarz Masiego znieruchomiała.

- Zakochała się - ciągnęła Patrizia. - To znaczy, będąc w Rzymie, dość łatwo jest się zakochać, i tak też się stało w jej przypadku. Poznała cudownego, przystojnego, interesującego Włocha, który studiował na Giulioesaro, ale miał wiele planów na przyszłość. A moja matka, jak każda kobieta, słuchała tego, co mówił. Na przykład, chciał kiedyś otworzyć własną galerię sztuki...

- Natychmiast przestań - szepnął Masi.

- Pewnego dnia chciał jeździć samochodem, który zawsze podziwiał, lancją lub alfa romeo. Pewnego dnia chciał się ożenić i mieć dzieci. Nie mogli się zdecydować, jakie imię nadadzą chłopcu, ale gdyby urodziła się dziewczynka, mieli dla niej gotowe imię - Patrizia. Och, zaraz, zaraz, ten facet miał jeszcze jedno pragnienie, któregoś dnia chciał znaczyć tyle w swojej profesji, by mieć wolny wstęp do ogrodów Watykanu, może dlatego, że sądził, iż doda mu to klasy, uzupełni jego życie o pewne wartości, których na razie mu brakowało...

- Ty... Ty jesteś... - Masi urwał. - Nie mogę uwierzyć...

- Ale któregoś dnia ta amerykańska dziewczyna stwierdziła, że jest w ciąży - a propos, na imię miała Lizzie, choć ten włoski facet nazywał ją Li - więc poszła do jedynej osoby, która podobno ją rozumiała. Ten włoski facet...

- Tym właśnie dla ciebie jestem? - przerwał cicho Masi. - „Włoskim facetem”?

- I cóż jej powiedział? Powiedział, że jeżeli zdecyduje się urodzić dziecko, nie chce jej nigdy więcej widzieć.

- Mówiłem ci...

- A najlepsze jest to, że istotnie nigdy nie zobaczył dziecka. Mamy tu do czynienia z prawdziwym kandydatem na Ojca Roku.

- Patrizio...

- Och, i jeszcze sięgnął do skarbnicy swych mądrości, skąd wyciągnął świetne powiedzonko: *Il mondo e fatto a scale; c'e chi scende e c'e chi sale*. Czy poprawnie to wymawiam, tatusiu? Czy dobrze mówię po włosku, tatusiu?

- Tak - odrzekł cicho Masi. - Dobrze mówisz po włosku. Tego właśnie spodziewałem się po swojej córce. - Szybko wymamrotał w swoim języku coś, czego Patrizia nie zrozumiała, po czym znów przeszedł na angielski. - Patrizia - tak się nazywasz, prawda?

- Tak.

- Patrizio, chodź tutaj...

Lecz ona odwróciła się od jego wyciągniętej ręki.

- Czy masz pojęcie, co to znaczy dorastać bez ojca? - Podniosła głos. - Być w sytuacji mojej matki, wychowywać dziecko, nie mając pieniędzy? Czy wiesz, co w końcu musiała robić moja matka? Przyjęła pierwszą lepszą, beznadziejną posadę, jaką znalazła. Pracowała jako sekretarka na uniwersytecie, żeby móc opłacić swemu dziecku studia na uczelni artystycznej. Zbierała darmowe kupony i bez przerwy oszczędzała...

- Wysyłałem jej czeki...

- Może nie chciała ich realizować, nie do wiary, prawda? Po co jej były twoje parszywe pieniądze? Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie chcieliśmy twoich pieniędzy, chcieliśmy ciebie!

- Próbowałem...

- Byłyśmy biedne, Masi. Czy ty masz pojęcie, co to znaczy być biednym?

- A żebyś wiedziała, że mam...

- Żadnych wakacji i ciągle ten sam samochód, wrak, który mama prowadziła całe życie, aż w końcu ją zabił.

- Co to znaczy: w końcu ją zabił? - Masi znieruchomiał.

Łzy spływały po twarzy Patrizii.

- Tak! - krzyknęła. - Lizzie nie żyje! Zginęła w wypadku samochodowym pół roku temu! Moja mama umarła, nie ma jej, i nigdy już jej nie zobaczysz! I ja też nie!

Masi odwrócił się plecami; jego ramiona drgały. Nagle znów stanął twarzą do niej i zaczął spokojnie:

- Zrozum jedną rzecz...

- Nie ma tu nic do rozumienia. Wszystko jest zrozumiałe.

- Jesteś piękną dziewczyną - powiedział niespodziewanie.

- Przestań! - Patrizia zakryła uszy dłońmi.

- Jesteś podobna do nas obojga. W tej chwili widzę nas oboje w twojej twarzy.

- Wszystko mi jedno! - krzyknęła, a jej głos rozległ się echem w ciszy ogrodów. - Za późno! Świat to schody, a ty, Masi, jesteś teraz na samym dole. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. - Z każdym krokiem oddalała się od ojca. - Cieszę się, że mogłam cię poznać, staruszkule! - zawołała. Nagle przestraszyła się gołębia, który zerwał się z krzaka. - Niestety, masz pecha, bo jesteś taki sam, jaki zawsze byłeś, i na zawsze taki pozostaniesz. Szczerze mówiąc, żal mi ciebie.

I ruszyła pędem, zostawiając w ogrodzie ojca, bezustannie wołającego jej imię. Przebiegła przez rozległy plac Świętego Piotra i przywołała taksówkę, która zawiozła ją na Zatybrze. Kierowca przyglądał się ciekawie pasażerce, po której policzkach toczyły się łzy, ale nic nie powiedział. Dotarłszy do mieszkania, spakowała się pośpiesznie, wpychając przybory malarskie do jednej

torby, ubrania do drugiej, i gorączkowo sprawdzając, czy ma w kieszeni płaszcz paszport, portfel i pieniądze, które dał jej Masi a conto sprzedaży obrazu. Rozejrzała się, sprawdzając, czy niczego nie zapomniała. Nie. Było tak, jakby nigdy nie przyjechała do Włoch. Dla kaprysu nacisnęła guzik automatycznej sekretarki.

Nagrały się trzy wiadomości, wszystkie od Andrei. Pierwsza brzmiała: „Muszę się z tobą dziś spotkać, to bardzo ważne”. Druga była powtórzeniem pierwszej, na trzeciej zaś prosił żałośnie: „Proszę, zadzwoń do mnie. Kocham cię”.

Patrizia nie zadzwoniła. Jediną rozmowę telefoniczną przeprowadziła z firmą taksówkarską, gdzie zamówiła kurs na międzynarodowe lotnisko Leonarda da Vinci.

ROZDZIAŁ 6

Wpatrzona w niebo Patrizia przysłuchiwała się stojącej przed nią parze Włochów w średnim wieku, którzy dyskutowali o nowym nabytku galerii Holly Ardath. Płótno o rozmiarach dwa na cztery metry było chaosem niebieskich i pomarańczowych smug, które pod pewnym kątem przywodziły na myśl pożar na transatlantyku, pod innym zaś stanowiły wyraz dążenia artysty do stworzenia bezładu o wartości siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

- Czy mogę podać państwu coś do picia? - zapytała po włosku Patrizia.

Kobieta obejrzała się i odparła, że nie, dziękuję, wszystko w porządku. Wspominając początki swej pracy w galerii, Patrizia uznała to za wyraźny znak, iż ludzie ci życzą sobie zostać sami, aby spokojnie podjąć decyzję.

Holly z otwartymi ramionami powitała Patrizię; wręcz krzyknęła z zachwyty, gdy ta zjawiała się w galerii pewnego chłodnego, jasnego poranka pod koniec września. Niestety, pomimo zapewnień właścicielki, że zawsze znajdzie się tu praca, personel nie wymagał uzupełnień.

- Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś - powiedziała. - W zeszłym miesiącu musiałam dodatkowo zatrudnić dwie osoby. Gospodarka tutaj idzie w górę jak szalona.

Jednak musiała zauważyć przygnębioną minę Patrizii, gdyż po chwili odciągnęła dziewczynę na bok i złożyła jej propozycję: może przyjąć ją do pracy na pół etatu, co oznacza, że Patrizia będzie otrzymywać prowizje, ale nie uzyska żadnych świadczeń.

Rozstając się z Holly, Patrizia nie wiedziała, czy będzie ją stać na to, aby nadal mieszkać w Nowym Jorku. Manhattan wydał jej się brudniejszy, niż zapamiętała, bardziej hałaśliwy i zatłoczony. Po Rzymie znajome miasto zionęło jej w twarz niczym podmuch z pieca. Nie chodziło o to, że Patrizia podczas pobytu we Włoszech zapomniała o Stanach; w istocie, wiele razy słyszała utwory rockowe z angielskim tekstem, dobiegające z głośników w jakimś włoskim sklepie lub supermarkecie. Po prostu zapomniała, jak głośnie i natrętna potrafi być amerykańska kultura.

Nie mogła też przestać myśleć o Porto Ercole - o ciszy zatoki objętej łukiem wzgórz, o wąskich drogach i łagodnie kołyszących się łodziach, zacumowanych w starej przystani - ani o Rzymie i jego dzwonach, i gołębiach, o jego przeszłości, tak naturalnie związanej z teraźniejszością. Co gorsza, w czasie półtoramiesięcznej nieobecności Patrizii ceny wynajmu mieszkań ogromnie poszły w górę. Lucy, jej dotychczasowa współlokatorka, wyprowadziła się z miasta; dostała małą rolę w serialu telewizyjnym i wyjechała do Los Angeles, aby tam robić karierę aktorską. Kiedy Patrizia próbowała się dowiedzieć, czy są jakieś wolne mieszkania w jej dawnym budynku, stwierdziła ze zdumieniem, że przekształcono je w piętrowe apartamenty.

Ostatecznie wynajęła wąski, jednopokojowy lokal w kształcie litery L na dolnym Manhattanie, w połowie drogi między Chinatown a Little Italy, który na dodatek musiała dzielić z trzydziestopięcioletnią dziennikarką telewizyjną, na szczęście rzadko bywającą w domu. Podczas pierwszych kilku tygodni

przyłapywała się na tym, że ponuro gapi się przez okno na sznury rozwieszonych bielizny i pociągi podmiejskie, przejeżdżające ze stukotem przez Manhattan Bridge w kierunku Brooklynu. Delikatnie mówiąc, mieszkanie w Little Italy nie było tym samym, czym mieszkanie w Italii. Lecz z czasem, ku swemu zdumieniu, Patrizia zaczęła zadomawiać się w Nowym Jorku. Kupiła rośliny doniczkowe, półki na książki i plakaty na ściany, uszyła zasłony z tkaniny, którą znalazła w piwnicy domu matki, i w ramach odrobiny luksusu zafundowała sobie ekspres do kawy.

Odkryła, że po raz pierwszy czuje się u siebie. A także, że przyswoiła sobie włoski sposób myślenia o jedzeniu i gotowaniu. Nie robiła już zakupów w supermarketach, nie gromadziła zapasów, lecz codziennie chodziła na lokalny targ przy Union Square i zaopatrywała się w to, co było jej aktualnie potrzebne - pomidory, bazylię, paprykę, brokuły, świeże ryby. A ponieważ jej obecność w galerii była wymagana najwyżej dwa, trzy razy w tygodniu, okazało się, że może poświęcić większość czasu na malowanie.

Nie całkiem wiedziała, jak zmienił się jej sposób malowania, ale na pewno uległ przeobrażeniu, wiedziała też, że ma to jakiś związek z ojcem. Jednego była pewna: po raz pierwszy ktoś dla niej ważny (czy to w dobrym, czy w złym sensie) zachęcił ją do pracy. Ktoś towarzyszył jej na każdym kroku, czasem używając kija, a czasem marchewki, lecz zawsze pchając ją do przodu, aż wreszcie pomógł jej wyzwolić coś, co tkwiło w niej uwięzione przez dwadzieścia dwa lata.

Nie chodziło tylko o to, że Patrizii malowało się łatwiej, lecz o to, że bez przerwy chciało jej się malować, w każdej chwili, we śnie i na jawie. Bez przerwy o tym myślała - pracując w galerii, biegając w parku, pijąc rankami kawę. Czasem nie mogła się wręcz doczekać, kiedy wyjdzie z galerii, wróci do domu i znów zasiądzie do sztalug; nie wyobrażała sobie większego szczęścia niż to, że znajdzie się sama w swoim mieszkaniu i bez końca będzie pracować nad płótnem. W ciągu ostatnich kilku tygodni stworzyła pół tuzina obrazów.

Ale wciąż rozpaczliwie tęskniła za Andrea.

Od chwili powrotu z Rzymu wielokrotnie zastanawiała się nad swym postępowaniem. I wciąż dochodziła do wniosku, że słusznie zrobiła, nie dzwoniąc do Andrei i wyjeżdżając bez pożegnania. Cóż takiego miał jej do powiedzenia - że ich związek nie ma przyszłości i że nie chce już jej widywać? Z pewnością coś w tym rodzaju. Oczywiście, ponosiła pewną odpowiedzialność za to, że w ostatnich tygodniach oddalili się od siebie, ale nie tylko ona, prawda? W końcu podobieństwo między Andrea i jej ojcem wydawało się uderzające. Obaj byli przystojnymi, uroczymi, wysportowanymi Włochami. Obaj byli inteligentni, wymowni, dowcipni, umieli prowadzić rozmowę na wiele tematów. Obaj odznaczałi się intensywnością uczuć i nieumiejętnością ukrywania emocji. Obaj byli niezmiernie dumni ze swego rodzinnego Rzymu i swego kraju. Obaj kochali jedzenie, dobrą kuchnię. Obaj z upodobaniem adorowali amerykańskie dziewczyny.

Uczucia, jakie wzbudzał w Patrizii Andrea, przerażały ją: traciła równowagę i panowanie nad sobą, żyła namiętnością. Przerazenie - tak, to właściwe słowo. Ale nie umiała przestać o nim myśleć - a zapomnieć o nim było niemożliwością. Jego twarz stawała jej przed oczami we śnie, kiedy malowała, i kiedy marzyła w galerii, czekając, aż klienci podejmą decyzję. Była pewna, że nigdy nie przestanie go kochać. Ale jednocześnie uważała, iż miała sporo szczęścia, że udało się od niego uciec. Jeżeli w ogóle czegoś nauczyła się od Lizzie, to właśnie tego: nigdy nie odsłaniaj się przed żadnym mężczyzną.

Nadzwyczaj łatwo przyszło Patrizii przekonać samą siebie, że cały pobyt we Włoszech spędziła, tęskniąc za Erikiem.

Zadzwoiła do niego wkrótce po powrocie, na poły oczekując - wręcz mając nadzieję - że pod jej nieobecność związał się z inną kobietą. Z początku jego głos w słuchawce brzmiał oschle, a nawet ironicznie:

- Dziękuję bardzo, że skontaktowałaś się ze mną, kiedy byłaś we Włoszech.

Lecz gdy Patrizia opowiedziała mu o Masim i o obrazie - unikając najmniejszej choćby wzmianki o Andrei - najwyraźniej zmiękł.

- Chyba jednak miałaś rację - przyznała w pewnej chwili.

- W czym?

- W tym, że nie powinnam była spotykać się z ojcem. Eric długo milczał.

- Hej, słuchaj - powiedział wreszcie - może zjemy dziś kolację? Mam masę prac do poprawienia, ale wolę zobaczyć się z tobą.

Spotkali się na kolacji w małej, niemal pustej chińskiej restauracji w Chelsea. Przy powitaniu Eric nie próbował jej uściskać ani pocałować. Po prostu stał, patrząc na nią; to Patrizia podeszła i przytuliła się do niego.

- Bardzo za tobą tęskniłam, Ericu - powiedziała, czując pustkę w brzuchu.

- Ja za tobą też - odparł Eric. Opalony i przystojny, wyglądał lepiej niż kiedykolwiek.

- Jak tam Katie? - zapytała Patrizia.

- Znakomicie. Prosiła, żebym cię ucałował w jej imieniu. Kiedy podano jedzenie, Patrizia spojrzała na Erica.

- Dużo myślałam o tobie i chcę cię przeprosić.

- Przeprosić mnie? Za co?

- Za to, że mnie nie było, kiedy mnie potrzebowałeś. - Umilkła.

- No, to mów: naprawdę poznałaś ojca?

W ciągu następnych dwóch godzin Patrizia opowiedziała Ericowi wszystko. Jak pojechała do Rzymu i znalazła galerię Massimiliana Caracciego zamkniętą; jak spotkała Becky; jak pojechała taksówką do Porto Ercole (tu znów nie wspomniała o Andrei); jak udawała Annę Dineen; jak namalowała obraz, który wywołał entuzjazm ojca - i jak ostatni raz z nim rozmawiała. Eric słuchał w milczeniu.

- Boże, Patrizio - powiedział, gdy przerwała, by zaczerpnąć tchu - napisałem do ciebie setki listów.

- Nie dostałam żadnych listów.

- Oczywiście, że nie! Przecież nie miałem twojego adresu! Dlaczego, do cholery, nie skontaktowałaś się ze mną?

- Próbowałam!

- Jeden jedyny raz!

- Telefony wypadają za drogo. A poza tym - zawahała się Patrizia - nie bardzo wiedziałam, dokąd pojedę. Chyba - szukała odpowiedniego słowa - nie byłam gotowa.

- Gotowa na co?

- Gotowa, żeby się z tobą zobaczyć. Żeby się z tobą związać.

Te słowa nasunęły jej się odruchowo, lecz Eric pokiwał głową uradowany.

Mimo pewnych oporów znów zaczęła się z nim widywać, większość czasu spędzając w jego mieszkaniu przy Upper East Side, a resztę w pracy lub sama, malując u siebie w domu. Czasem odwiedzała ją Katie i wówczas Patrizia chodziła z nią na długie spacerunki do Central Parku i na wspinaczkę po skałach w Chelsea Piers, lecz przede wszystkim odwiedzała z dziewczynką muzea, pokazując jej obrazy Moneta i Renoira.

Eric. Katie. Malowanie. Małe mieszkanie w Little Italy. Patrizia wielokrotnie próbowała zrozumieć, dlaczego właściwie czuje się sfrustrowana, ale bez skutku. Czyżby był to skutek spotkania z Masim, dzięki któremu odkryła, że jej ojciec nie różni się od mglistej postaci, jaką wyobrażała sobie przez całe życie? Czy też, poznawszy wreszcie ojca, doznała spełnienia i w pewnym sensie nie miała już o kim marzyć? A może we Włoszech uległa przeobrażeniu, a tymczasem po powrocie stwierdziła, że Eric żyje tak, jak zawsze - nadal rano zjada dwa jajka sadzone, a wieczorem już o dziewiątej przebiera się w piżamę i siada na kanapie przed telewizorem ze stertą prac uczniowskich i miską lodów orzechowych na kolanach?

Wiedziała, że to nie fair wobec Erica, ale wciąż myślała o Andrei, nawet kiedy siedziała w samolocie do Wisconsin, aby podpisać akt sprzedaży domu

matki, który nabyło młode małżeństwo z trojgiem dzieci. Myślała o Andrei nawet wtedy, gdy kochała się z Erikiem, a potem nienawidziła siebie za tę cichą zdradę.

Niewielką sumę, jaką uzyskała ze sprzedaży domu matki, umieściła w banku i poprzysięgła sobie, że sięgnie do niej tylko w razie ostateczności. Lecz w ciągu następnych kilku miesięcy coraz częściej przyłapywała się na tym, że ma ochotę zrobić użytek z tych pieniędzy, mimo że interesy w galerii kwitły. W końcu zaczęła rozglądać się za pracą na pełnym etacie i nawet odwiedziła kilka galerii w SoHo, ale wszędzie słyszała tę samą odpowiedź: „Proszę przyjść na wiosnę, wtedy będziemy zatrudniać nowych pracowników”. Wracała do domu wyczerpana, nie bardzo wiedząc, czy będzie ją stać na dalsze mieszkanie w Nowym Jorku. Kiedy opowiedziała o tym Ericowi, zasepił się.

- Może byśmy się pobrali? - zapytał pewnego popołudnia.

Siedzieli na stołkach w jego kuchni, czekając na potrawy zamówione w japońskiej restauracji.

- Fajnie - odparła Patrizia, przekonana, że Eric żartuje. - Dzisiaj czy wystarczy jutro? Ale czekaj, nie, jutro nie mogę, muszę iść do pracy.

- Kiedy tylko zechcesz - powiedział Eric z pewnym smutkiem i po chwili Patrizia zdała sobie sprawę, że chociaż nie mówił do końca poważnie, to jednak chciał w ten sposób sprawdzić, jaka będzie jej reakcja.

Pełna poczucia winy z powodu swej niefrasobliwości przysunęła się i wzięła go za rękę.

- Byłabym okropną żoną. Wiecznie umazaną farbą i cuchnącą terpentyną.

Od tamtej pory nie rozmawiali o małżeństwie. I w pewne zimne, pochmurne styczniowe popołudnie Patrizia ostatecznie postanowiła, że wyjedzie z Nowego Jorku i wróci w swe rodzinne strony na Środkowy Zachód. Tego wieczoru miasto usiłowało sprostać zamieci, która przejściowo sparaliżowała jego funkcjonowanie, uniemożliwiła kursowanie autobusów i zablokowała samochody na autostradach. Patrizia spędziła rano w galerii, lecz w południe,

gdy śnieg zaczął padać na dobre, Holly kazała wszystkim - w tym czworgu klientom - wracać do domu.

- Wszyscy precz - powiedziała. - Sama wracam do domu i ulepię bałwana.

Wróciwszy do mieszkania, Patrizia stwierdziła, że pod jej nieobecność zamarzyły rury i kaloryfery nie grzeją. Zdenerwowana, usiłowała skontaktować się z właścicielem, ale bez skutku, a ponadto przy czwartej próbie wezwania hydraulika administratorka powiedziała jej, że w weekendy stawki za takie usługi są podwójne.

- To wyniesie około czterystu dolarów - oświadczyła, a zrozpaczona Patrizia nie miała innego wyjścia, jak się zgodzić.

Pod wieczór, już po wyjściu hydraulika, smętna usiadła na łóżku i spróbowała obliczyć, ile pieniędzy będzie potrzebowała na utrzymanie przynajmniej do lata. Nie wiedziała zbyt dobrze, na jakie prowizje może liczyć ze swojej galerii od Holly, spodziewała się też, że właściciel domu zrefunduje jej koszty wymiany rur, lecz i tak musiała stawić czoło przykrej prawdzie - jeżeli nie sięgnie po kwotę uzyskaną ze sprzedaży domu matki, pieniądze skończą się najpóźniej w kwietniu. Zdenerwowana i nieszczęśliwa, włożyła kurtkę i wyszła na długi spacer po śniegu. Gdy przechodziła Grand Street, powietrze rozdarło wycie syren, a po nim piskliwy sygnał pogotowia. Nowy Jork nagle wydał jej się miejscem nieznośnym, nienadającym się do życia. Jaki sens miała stała pogoń za pieniędzmi, życie wśród brzydkich budynków i zagonionych ludzi? Co, u licha, jeszcze ją tutaj trzymało?

Następnego dnia powiadomiła współlokatorkę, że pod koniec miesiąca wyprowadza się z miasta. Zamierzała wynająć lokum w rodzinnym miasteczku, małe mieszkanie z oddzielnym wejściem, być może nad jakimś garażem. W Argyle w stanie Wisconsin było mnóstwo pustego miejsca. Tam mogłaby utrzymać się za nieduże pieniądze, znaleźć dorywczą pracę i malować. Z czasem przeniosłaby się do Milwaukee, a może nawet do Chicago, w pobliże jezior i Instytutu Sztuki, gdzie spróbowałaby znaleźć mieszkanie lub nawet pracownię z

dobrym światłem. Jednak pomimo tych fantazji perspektywa pakowania manatków i zaczynania od nowa w innym miejscu, choćby dobrze znanym, wydała jej się przygnębiająca.

Największy problem, związany z wyjazdem z Nowego Jorku, stanowiło poinformowanie o tym fakcie Erica, choć Patrizia była prawie pewna, że odczuje on ulgę. Od chwili, gdy poruszył temat małżeństwa, co ona obróciła w żart, traktował ją znacznie chłodniej i, co gorsza, właściwie jej to nie obchodziło. Czy zatem wyjazd nie był najlepszym sposobem, aby z nim zerwać? Umówiła się z Erikiem na kolację w piątek na Upper East Side i zamierzała wówczas powiedzieć mu o wszystkim.

W ciągu następnych kilku dni Patrizia z ociąganiem podjęła pewne kroki: umówiła się z firmą transportową, by za trzy tygodnie przywiozła jej dobytek do Argyle, i poprosiła agencje wynajmu lokali w miasteczku, by poszukały dla niej niedrogiego, jednopokojowego mieszkania. Holly źle przyjęła wiadomość o wyjeździe Patrizii.

- Nie możesz opuścić Nowego Jorku! - zawołała. - Tu jest twoje miejsce! A poza tym, dobrze pamiętam, że powiedziałaś, że zaczynasz się tu zadomawiać!

- Owszem - przyznała Patrizia. - Wydaje mi się jednak, że moje miejsce jest w domu.

Po rozmowie z Holly Patrizia przebiegła szybko lodowatymi ulicami Nowego Jorku, by wreszcie znaleźć się w swoim mieszkaniu na trzecim piętrze. Jak zwykle, przede wszystkim podlała kwiaty i przejrzała pocztę. Nie było w niej nic ciekawego, kilka rachunków i czasopismo prenumerowane przez współlokatorkę. Następnie zapaliła światła, usiłując odciąć się od szarego, zaśnieżonego świata. Zrobiła sobie kubek zielonej herbaty i właśnie usiadła z nim w pokoju, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Przypuszczając, że to jej współlokatorka Sally, która notorycznie zapominała klucza, Patrizia powoli wstała i zawołała:

- Kto tam?

Wyjrzała przez wizjer, lecz dostrzegła tylko czubek głowy i jednodniowy zarost. Mimo to serce zaczęło jej walić. Z rozmachem otworzyła drzwi.

Na progu stał Andrea w szaliku i ciemnoniebieskiej kurtce i uśmiechał się szeroko do Patrizii. U jego stóp leżała czarna torba podróżna i biały worek z czerwonym uchwytem.

- Pamiętasz mnie? - powiedział.

Patrizia odruchowo rzuciła mu się na szyję i przytuliła się do niego z całych sił, wciskając twarz w miękki puch jego kurtki.

- Nie płacz - powiedział Andrea. - Myślałem, że na mój widok będziesz się cieszyć, a nie smucić.

- Nie jestem smutna - wykrztusiła Patrizia. - Jestem szczęśliwa.

Cofnęła się o krok i popatrzyła na niego.

- Wyglądasz świetnie - wybąkała. - Ale...

- Niech zgadnę. Chcesz mnie zapytać, co robię w Nowym Jorku, tak?

- Tak - odparła niepewnie, czując, że serce wciąż jej łomocze. Po chwili znów tuliła się do Andrei, szukając jego ust.

Gestem zaprosiła go do mieszkania.

- Usiądź. Pewnie właśnie przyjechałeś z lotniska albo coś w tym rodzaju? A w ogóle, skąd, u licha, wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Twój ojciec mi powiedział. Patrizia zamarła w pół kroku.

- Mój ojciec? - powtórzyła zdumiona.

- Tak. *Signore* Caracci. To przecież twój ojciec. To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

- No tak - przyznała Patrizia, po czym dodała pośpiesznie: - Słuchaj, Andrea, przepraszam, że ci nie powiedziałam, ale nie mogłam.

Andrea patrzył na nią dziwnie.

- Proszę, usiądź - powiedział.

- A skąd on wiedział, gdzie mieszkam?

- Zadzwoił do Sarah, przyjaciółki twojej matki.
- Do Sarah zapyła Puzia z niedowierzaniem.
- Tak do twojej matki ciżestnej. Z początku nie chciała z nim rozmawiać, ale kiedy wyjąłm.

Droga Panno Orman,

z żalem informujemy, że ojciec Pani, Massimiliano Caracci, zmarł na raka płuc w zeszłym miesiącu w wieku lat czterdziestu pięciu. Zgodnie z jego ostatnią wolą przekazujemy Pani załączony obraz. W razie wątpliwości chętnie odpowiemy na wszelkie Pani pytania.

*Z poważaniem
Roberto Pisanelli
adwokat*

Do oczu Patrizii napłynęły łzy żalu, połączonego z niedowierzaniem. To musiała być pomyłka: Masi zmarł na raka? Szybko rozerwała drugą kopertę i wyjęła kartkę maszynopisu. Spojrzała na podpis. List był od ojca.

- Nie umiem tego przeczytać, to po włosku - powiedziała, wręczając kartkę Andrei.

- Ale to chyba bardzo osobiste.

- Andrea, chcę wiedzieć, co napisał. Andrea wziął kartkę.

- Zrobię, co będę mógł. Odchrząknął i zaczął tłumaczyć niepewnie:

Droga Patrizio,

kiedy otrzymasz ten list, mnie już nie będzie. Niestety, zemściło się na mnie całe życie złych nawyków. Pamiętasz, jak będąc w Porto Ercole, często jeździłem do Rzymu? Mówiłem Ci, że jadę w interesach, ale to nie była prawda. Jeździłem do lekarza, który rok temu wykrył w moim lewym płucu małą plamkę. Więc warto, bym jeszcze raz powtórzył - proszę, nie pal. Oczywiście, to dla mnie bardzo smutne, ale bardziej jeszcze smuci mnie Twój los, bo czyjaś śmierć zawsze ma wpływ na innych. Chociaż odeszłaś rozgniewana i nie chciałaś mnie więcej widzieć, być może pomagała Ci czasem świadomość, że gdzieś na świecie masz ojca, który Cię bardzo kocha. Piszę ten list, żeby wytłumaczyć Ci, jakim człowiekiem jestem i - obawiam się - zawsze byłem.

Zawsze z trudem przychodziła mi stabilizacja u boku jednej osoby. Miałem uczucie, że utracę własną wolność, jeżeli wybiorę takie życie. Cały czas toczyła się we mnie walka między miłością do kobiety i umiłowaniem samotności. I zazwyczaj moja miłość - lub nawyk - samotności zwyciężała. Bardzo kochałem Twoją matkę, Lizzie, i bardzo ją skrzywdziłem. Jednak dokonania zwykle stają się najważniejszą rzeczą w życiu mężczyzny, który często przedkłada je nad miłość i rodzinę. To niestuszne, ale mężczyźni często tacy się rodzą.

Dwadzieścia dwa lata temu uważałem, że ważniejsze jest osiągnięcie sukcesu niż założenie rodziny. Miałem ogromnie wymagającego ojca i bardzo pragnąłem, by mnie kochał i akceptował. Niewiele bywał w domu, więc nie nauczyłem się od niego, jak być ojcem. Kiedyś zadałaś mi pytanie, co to znaczy być ojcem córki. Sądzę, że odpowiedź na to pytanie brzmi: być ojcem niczym nie różni się od bycia matką i oznacza wychowanie, opiekę, wsparcie, ochronę i obdarzanie swych dzieci pewnością siebie, aby mogły wyrosnąć na ludzi lepszych niż my sami.

Kupiłem ten obraz dla Ciebie, w chwili gdy zaczęło mi się dobrze powodzić, prawie piętnaście lat temu. Przypominał mi dziewczynkę - oraz artystkę, którą miałem nadzieję, się staniesz. Spójrz, jak wspaniale malarz oddał to piękne dziecko, całkowicie pochłonięte książeczką, którą czyta. Widać, że da sobie radę w świecie i wyciągnie naukę z błędów swych rodziców - a zwłaszcza ojca - i że będzie tym, kim zechce być.

Francuski tytuł tego obrazu brzmi: Le livre d'images. Auguste Renoir namalował go w 1898 roku, i choć nie przepadam za Renoirem - muszę przyznać, że jest dla mnie zbyt ckliwy - ten obraz bardzo mi się podoba.

Przesyłam go za pośrednictwem Twego przyjaciela Andrei, który, jak się okazuje, bardzo, ale to bardzo kocha moją córkę. Wiem, że nie potrzebujesz mojego błogosławieństwa, aby żyć z mężczyzną, że nie ma ono dla Ciebie

znaczenia, lecz zapewniam Cię, że Andrea to dobry człowiek, i byłbym szczęśliwy, wiedząc, że będzie przy Tobie do końca Twoich dni.

Z obrazem zrób, co zechcesz. Kilka miesięcy temu podobny obraz Renoira został sprzedany w domu aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku za wiele milionów dolarów. Mam nadzieję, że posiadanie go uwolni Cię od ograniczeń finansowych, jakie musiałaś znosić w swoim życiu.

Przepisałem na Ciebie również tytuł własności willi „I Perazzi”. Z nią także możesz zrobić, co Ci się spodoba (choć przyznam, że wolałbym, aby została w rodzinie). Nie sądzę, bym łatwo zapomniał dziewczynę siedzącą na moim trawniku przed sztalugami - dziewczynę, która wreszcie nabrała do siebie dość zaufania, by namalować to, co tak wyraźnie widziało jej oko. Mam nadzieję, że będziesz wracać do „I Perazzi”, aby malować lub robić, cokolwiek Ci przyjdzie do głowy. Teraz willa należy do Ciebie.

Nasze rozstanie nie było ładne. Byliśmy zagniewani i rozczarowani sobą nawzajem. Przykro mi. Przykro mi, że nie umiem się zmienić. Ale, życie, jak odkryjesz, nie jest bajką, jedną z tych, które niesłusznie stawia się nam za wzór zachowań ludzkich, gdy jesteśmy mali. Ludzie mają cechy dobre i gorsze. Życie nigdy nie jest czarno-białe, lecz składa się z wielu odcieni szarości. Im dłużej żyjemy, tym więcej bywa tych odcieni. Aż w końcu okazuje się, że jesteśmy już starzy - ale gdzie indziej rośnie dziecko, które uczy się, że życie to czerń i biel. I tak kręci się świat.

Przesyłam Ci całą moją miłość, Patrizio. Jestem z Ciebie bardzo, bardzo dumny.

Twój kochający ojciec

Patrizia nie mogła pohamować łez, choć nie bardzo wiedziała, dlaczego właściwie płacze. Nie chodziło o obraz - na razie nie miała śmiałości otworzyć tekturowej rury - już bardziej o list, który napisał jej ojciec, i o całe życie pełne gniewu i zamętu, jakiego list ten był podsumowaniem. Nie mogła uwierzyć, że

Masi, jej ojciec, odszedł. I nie mogła uwierzyć, że przez piętnaście lat przechowywał dla niej obraz. Obraz pędzla ulubionego malarza Lizzie, a co ważniejsze, obraz przypominający mu dziewczynkę, której nigdy nie widział.

- Wróciłeś do mnie. - Patrizia usłyszała własne słowa. Pomimo powagi chwili Andrea uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że do ciebie wróciłem. Mówiłem ci, że cię kocham.

Wyjaśnił, że gdy Patrizia nie odpowiadała na telefony, poszedł prosto do galerii Masiego, „mając nadzieję, że *signore* Caracci będzie wiedział, gdzie cię szukać”. Andrea zaczerwienił się, mówiąc o tym.

- Tak czy inaczej, twój ojciec wszystko mi powiedział. O twojej matce i o przeszłości. A także o stanie swojego zdrowia; od dawna wiedział, że umrze, od początku lata. Sądzę, że dobrze mu zrobiło to, że z nim byłaś. Miał okazję stać się ojcem dla dziewczyny, której nigdy nie poznał. - Andrea umilkł. - Właśnie on kazał mi cię odszukać. Powiedział: „Nie można dopuścić, by to się powtórzyło w następnym pokoleniu. To marnowanie miłości. Nie może pan skończyć jako głupiec, taki jak ja...”.

- Nie był głupcem - gniewnie zaprzeczyła Patrizia.

- Nie - rzekł cicho Andrea. - W żadnym razie.

Patrizia popatrzyła na Andree, po czym ostrożnie wyciągnęła obraz z rulonu. Blask dzieła Renoira wypełnił małe mieszkanko.

- O Boże! - jęknął z zachwytu Andrea, a Patrizia nie umiała nic do tego dodać.

- Nigdy nie sprzedam tego obrazu - powiedziała wreszcie.

Mówiła prawdę. Łatwiej by jej przyszło oddać krew lub jakąś część ciała, niż sprzedać Renoira. Po chwili dodała cicho:

- Mój ojciec mi go dał.

